

The image features a high-contrast, silhouette-style photograph. In the foreground, the dark outlines of a church with a prominent steeple and several large, leafless trees are set against a bright, glowing yellow and orange sky, likely during a sunset or sunrise. The overall mood is somber and reflective.

Wojciech Malec

WSPOMNIENIA

Biłgoraj 2015

WSPOMNIENIA

Redakcja:

Dorota Skakuj

Dominik Róg

Celina Skromak

Zdjęcia na okładce:

Jerzy Odrzywolski

Wydawca:

Gminny Ośrodek Kultury w Biłgoraju

Ul. Kościuszki 88, 23 – 400 Biłgoraj

ISBN: 978-83-933146-3-8

Biłgoraj 2015

Skład i druk:

Pikul Media Rafał Pikul

www.pikulmedia.pl

tel. 516 016 457

biuro:

ul. Kościuszki 30/5,

23-400 Biłgoraj



Wspomnienia Wojciecha Malca to interesująca publikacja o charakterze regionalnym. Takich, niestety, na naszym terenie brakuje. O ile jest stosunkowo wiele wspomnień odnośnie II wojny światowej, o tyle zarówno dla okresu międzywojennego jak też lat po II wojnie światowej takich publikacji, które zawierałyby bądź wspomnienia bądź opracowania odnośnie okolic Biłgoraja zwyczajnie brakuje. Żeby to uświadomić sobie szerzej wystarczy zastanowić się jak mało jest publikacji odnośnie poszczególnych wsi, nieliczne mają swoje monografie, jeszcze mniej jest takich, co do których ktoś opublikował pamiętniki, wspomnienia czy relacje. Wspomnienia Wojciecha Malca są prawdziwą kopalnią informacji dla tych wszystkich, którzy interesują się historią swojej Małej Ojczyzny – Bukowej. We wspomnieniach tych znajdziemy nie tylko historię budowy kościoła i szeroko opisanie towarzyszące temu trudności, ale również wiele informacji z lat II wojny światowej, m.in. o istniejącym, a mało znanym, niemieckim obozie pracy we wsi.

Bardzo interesujące są także informacje o charakterze etnograficznym, opisane dawne zwyczaje i sposób obchodzenia świąt oraz opis życia na biednej wsi biłgorajskiej w połowie XX wieku. Te wspomnienia to rodzaj nostalgii za dawnymi czasami, kiedy to według Autora żyło się lepiej nie tyle w sensie dobrobytu, bo tu Autor wielokrotnie podkreślał biedę na wsi, ale, że żyło się radośniej, pełniej, spotykając się z ludźmi, starając się wiele rzeczy wykonywać w grupie.

Te wspomnienia nie są monografią wsi, taką udaną próbę podjęła już bowiem Filia Biblioteczna w Bukowej wydając w 2011 roku publikację „Pachnąca lasem Bukowa. Monografia miejscowości”. Jednakże nakład tamtej publikacji został wyczerpany, natomiast „Wspomnienia” Wojciecha Malca są znakomitym materiałem źródłowym do dziejów miejscowości. Pisane wartko, ze swadą stanowią lekką lekturę, ale bogatą w treści.

Wojciech Malec pisał: Aby ocalić od zapomnienia, pragnę napisać zwyczaje panujące za moich lat dziecińczych. W miarę upływu czasu te zwyczaje zanikały, a obecnie młode pokolenie wcale się tym nie interesuje i opowiadania o tym, co zostało w pamięci z tamtych

czasów, biorą jako bajki dla małych dzieci. A przecież tak było, ludzie codziennie obcowali ze swoimi wierzeniami i obyczajami, które brano jako prawdziwe i obowiązkowo przestrzegano. Przekazywali sobie te wszystkie zwyczaje z pokolenia na pokolenie, z tego co mi przekazano, co kazano mi przestrzegać i co przestrzegałem, chciałem niektóre opisać.

Wojciech Malec przypomniał nie tylko dawne zwyczaje, opisał też najważniejsze, według niego, wydarzenia we wsi Bukowa i tymi wspomnieniami dzieli się z Czytelnikami.

Dorota Skakuj

Wojciech Malec – ŻYCIORYS

Ja, Malec Wojciech urodziłem się w Bukowej 16 kwietnia 1922 roku. Ukończyłem 5 klas Szkoły Podstawowej z wynikiem bardzo dobrym ze wszystkich zadań, jakie wtedy obowiązywały. Po ukończeniu szkoły pomagałem rodzicom w gospodarstwie rolnym.



W 1938 roku pracowałem przy regulacji rzeki Bukowa. Do moich obowiązków należało m.in. pomoc przy niwelacji rzeki, nadzór przy wykopach rzeki tj. wytyczanie trasy i zgodnie z planami szerokości i głębokości rzeki. Prace te wykonywałem również w czasie okupacji. Od 1946 roku pracowałem w Nadleśnictwie Kocudza. Początkowo jako pomoc w pracach biurowych, następnie jako sekretarz, a później główny księgowy. W 1972 roku w związku z likwidacją Nadleśnictwa Kocudza zostałem przeniesiony do Nadleśnictwa Biłgoraj na stanowisko sekretarza. W 1972 roku przeszedłem na rentę.

Od 1955 roku po dzień dzisiejszy pełnię funkcję Prezesa Ochotniczej Straży Pożarnej w Bukowej. W 1942 roku w czasie okupacji niemieckiej wstąpiłem do armii podziemnej, do Batalionów Chłopskich, w których działałem do roku 1944. Od roku 1974 do chwili obecnej jestem Prezesem Związku Kombatantów RP i Byłych Więźniów Politycznych Koła Gminnego w Biłgoraju.

Rozdział I

Moja wieś - Bukowa

Wieś Bukowa jak wiele innych wiosek położonych wśród lasów Puszczy Solskiej na pograniczu z Lasami Janowskimi niczym szczególnym się nie wyróżnia. Liche śródleśne gleby z daleka od miasta Biłgoraja (16-18km), brak dróg, mokradła. Ludzie mieszkali tu odcięci od świata i klepali przysłowiową biedę. Aby polepszyć swój byt zmuszeni byli uczyć się różnych zawodów, które dawały mieszkańcom jakieś takie polepszenie warunków bytowania. Od niepamiętnych lat mieszkańcy trudnili się wyrobem łubów na sita i przetaki, wyrobem łyżek drewnianych, wyrobem wrzecion, były wyrabiane i wypalane garnki, istniało też kowalstwo, wyrabiano siekiery, ośniki i inny sprzęt potrzebny w rolnictwie. Bardzo dużo było warsztatów tkackich, tkacze tkali płótno na swoje potrzeby, było też kilka warsztatów tkackich świadczących swoje usługi dla rolników z innych wiosek. Wypalano również węgiel drzewny na potrzeby kowali miejscowych i okolicznych wiosek. Z tych zawodów do dziś przetrwało kilku wykonawców łubów oraz jeden jedyny Frączek Antoni, który potrafi wyrabiać łyżki, umie też toczyć wrzeciona na ręcznej tokarce, ale obecnie ten produkt nikomu nie jest potrzebny.

Wieś leży nad rzeką Bukową (zwaną dawniej Bukowną), dopływem Sanu. Jej źródła biorą się z bagien pod Frampolem. Przepływa łąkami Korytkowa Małego, Korytkowa Dużego, Siedmiu Chałup, Andrzejówki i Bukowej. Jej pierwszym dopływem jest tak zwany dopływ rzeki Bukowej, który bierze swój początek z ogromnych bagien lasów Nadleśnictwa Biłgoraj i wpada przepływając przez wieś na nr 55, a wpada do rzeki Bukowa na łąkach nr 44. Od strony południowej płynie również rzeka zwana dopływem rzeki Bukowej, do której spływają wody z ogromnych bagien położonych na terenie dawnego leśnictwa Zagumnie, lasów Nadleśnictwa Biłgoraj.

Osada należała od 1644 do parafii Puszcza Solska. Nie zachował się żaden dokument mówiący o powstaniu wioski, nie wiadomo więc dokładnie, kiedy wioska została założona. Pewne jest jed-

nak, że Bukowa istniała już na początku XVIII wieku ponieważ widnieje na pochodzących z tego okresu mapach Ordynacji Zamojskiej. Były to prawdopodobnie początki jej istnienia - Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich podaje rok 1827: wówczas w Bukowej znajdowało się 12 domostw i gospodarstw. Żyło w nich 63 mieszkańców. W roku 1838 liczyła 12 domów i mieszkało w nich 62 osoby. Dane są zbliżone choć różnią się datą (różnicą jest 11 lat). Obecnie (2000 r.) Bukowa liczy 118 domów, w tym 55 murowanych i 63 domów drewnianych w których zamieszkuje około 660 mieszkańców. Wydaje się niemożliwe, żeby w ciągu 162 lat wieś tak się rozbudowała. Otóż we wsi Bukowa są 3 kapliczki z 1838 r. odległe od siebie o ponad 3 km. Pierwsza z nich stoi na nr 44, wykonana w konstrukcji ryglowej, być może wyremontowana przed II wojną światową, ale zachowała się deska na której wycięty jest rok 1838, druga kapliczka znajduje się na nr 88 i została wydłubana w kłodzie sosnowej z wyrzeźbionym w drzewie Jezusem Frasobliwym, który w 1995 r. został skradziony. W miejscu skradzionej figurki – samouk rzeźbiarz Ryszard Sobaszek zamieszkały w Biłgoraju wyrzeźbił identyczną jak ta, którą skradziono oraz na nr 163 podobnie jak nr 44 rzeźbioną figurkę św. Antoniego. Czyżby wieś w tych latach była taka długa i było tylko 12 domów. Niektórzy mówią, że pierwsze zabudowania powstały w XIV lub XV wieku, ale nie ma żadnych potwierdzonych dokumentów. Na nr 81 było pokarczmisko, od strony południowej drogi biegnącej przez wieś, tę powierzchnię w latach 30. XX w. wykupił od Ordynacji Zamojskiej Antoni Plizga. Z tego wynika, że stała tam karczma. Według opowiadań naszych ojców, dziadków, karczma tam była. Tam przegrywali w karty lub przepijali działki, pola, które mieli na terenach śródleśnych. Mówiono również, że przez Bukowę wiodła droga handlowa z Chełma do Galicji, a szewcy Żydzi jeździli tędy do Galicji, do Rudnika i Krzeszowa na targi z obuwem.

Miejscowa ludność jest wyznania rzymsko-katolickiego. Od początku swego istnienia należała do parafii Puszcza Solska. W roku 1951 rozpoczęto budowę kościółka drewnianego konstrukcji ryglowej i 25 VIII 1951 r., na skutek braku zezwolenia na budowę, wstrzymano prace przy kościele i położono plomby. Kiedy Władzy-

sław Gomułka doszedł do władzy, w dniu 13 XII 1956 r. Komitet Budowy Kościoła w Bukowej otrzymał zezwolenie na prowadzenie dalszych prac. 10 XI 1957 r. wybudowany Kościół p.w. św. Andrzeja Boboli został poświęcony i oddany wiernym. W 1993 r. wykonano złocone ołtarza głównego oraz dwóch bocznych ołtarzy. W 1974 r. uruchomiony został cmentarz grzebalny, a 30 lipca 2000 r., decyzją księdza biskupa prof. dra hab. Jana Śrutwy, Bukowa została parafią, a jej pierwszym proboszczem został mianowany ks. Krzysztof Gajewski, dotychczasowy wikariusz parafii Korytków Duży. Po wybudowaniu kościoła w Korytkowie w 1988 r. Bukowa zaczęła należeć do parafii w Korytkowie, a tym samym przestała do Puszczy Solskiej. Od dnia 30 VII 2000 r. Bukowa jest samodzielną parafią, jak już wyżej wspomniałem.

Ludność wsi Bukowa zajmowała się w przeważającej części rolnictwem. Gospodarstwa były jednak drobne, liczące do 5 ha ziemi. Przeważały gleby piaszczyste V, VI klasy, sporadycznie występowały gleby IV klasy b, c. Dochód gospodarstw rolnych nie wystarczał na utrzymanie rodziny. Dlatego też mieszkańcy Bukowej szukali dodatkowych źródeł utrzymania. Istniało wiele zawodów, które zaspokajały w pewnym sensie potrzeby materialne rodziny, a więc wyrabiano szereg przedmiotów takich jak łuby sosnowe, łyżki drewniane z brzozy lub olszowe, wrzeciona toczone ręczną tokarką wyłącznie z drzewa brzoźowego, które służyły w gospodarstwie, ale przede wszystkim przeznaczone były na sprzedaż kupcom przybywającym do wioski z Biłgoraja i innych miast. Dla bardzo wielu mieszkańców wyrób tych przedmiotów był jedynym źródłem utrzymania. Wyrabiano i wypalano garnki i dzbanki oraz różnego rodzaju miski. W Bukowej były dwa piece do wypalania garnków. Prawie w każdym domu był warsztat tkacki, w których wyrabiano płótno na własne potrzeby. Niektóre warsztaty tkackie świadczyły swoje usługi okolicznej ludności, która przynosiła różne rodzaje nici na wyrób płótna lnianego i konopnego.

Była tu jedna kuźnia i kowal, który świadczył swoje usługi kowalskie na potrzeby rolnictwa: wyrabiano siekiery, ośniki do wyrobu łubów łyżek i wrzecion, kuto wozy, wykonywano pługi, brony i inny sprzęt rolniczy, kuto konie. Kowal przy bardzo prymityw-

nym sprzęcie wykonywał swój zawód i ten zawód był poważany przez mieszkańców, gdyż wszystko, co kowal robił było potrzebne w rolnictwie. Istniało również wypalanie węgla drzewnego, który wywożono na jarmark do Biłgoraja i tam okoliczni kowale zaopatrywali się w węgiel bardzo potrzebny w kuźni.

Wykonywane było również na własne potrzeby powroźnictwo, a więc kręcono powrozy do pasienia krów, na lejce dla koni, postronki itp. Wiele osób znajdowało zatrudnienie w otaczających wioskę lasach przy wyrębie drzew oraz przy pracach zalesieniowych, przy których pracowali młodzi ludzie. W lesie do wyrębu potrzebni byli tak zwani topornicy (belczarze), którzy bardzo umiejętnie ciosali toporami podkłady kolejowe i tramwajowe przeznaczone na potrzeby krajowe oraz kupowali je handlarze zagraniczni do Anglii i innych krajów europejskich. Do pracy przy wyrobach podkładów przyjeżdżali topornicy ze wschodniej części kraju (nazywano ich chadziajami), którzy byli dobrymi fachowcami w tej dziedzinie. Zawód topornika był bardzo potrzebny we wsi, gdyż przygotowywali oni materiały do budowy budynków. Ciosali przy-ciesie, płatwie, krokwie i wiele innych rzeczy. W tym zawodzie były dobre zarobki. Byli też zawodowi traczę, którzy przecierali drzewo tzw. piłą podkładową, dla specjalnych warsztatów na bale, deski itp. Przy takim przetarciu pracowało trzech chłopów.

Było w Bukowej dwóch fachowców, którzy wykonywali świece (gromnice) z wosku pszczelego oraz było kilka pasiek pszczelich. Było kilku rolników, którzy umieli stawiać budynki z drzewa, nie brakowało również dobrych stolarzy, którzy wykonywali prace stolarskie jak drzwi, okna itp. Ponieważ w tym czasie wszystkie budynki były kryte słomą więc było kilku fachowców, którzy potrafili przykryć dom słomą na gładko lub w schodki. Krycie dachów słomą było fachową robotą.

Trudno jest mi powiedzieć, czy tych wszystkich zawodów mieszkańcy sami się nauczyli. Wydaje mi się, że tak, gdyż czasy były trudne. Panowała wówczas bieda więc zmuszeni byli wiele rzeczy się nauczyć aby dać sobie radę w życiu. Wyjątek stanowi tu wyrób z łubów na sita i przetaki. Wyrabiano również z łubów tak zwane miarki, pudelka do siewu zboża i inne rzeczy które przydawały się w gospodarstwie. Skąd się wzięło łubiarstwo i sitarstwo. To ostat-

nie wykonywali sitarze w Biłgoraju i okolicy. Wyrobu sit mieszkańcy nauczyli się prawdopodobnie od sitarzy, którzy przywędrowali tutaj z Mazowsza lub ariańskiego Rakowa. W wieku XVIII i XIX nastąpił rozkwit tego rzemiosła, będącego źródłem dobrobytu mieszkańców Biłgoraja. Głównym rynkiem zbytu sit i przetaków była Rosja, ale docierano również do Turcji. Łubiarstwo jest ściśle związane z sitarstwem. Ci, co umieją robić sita i przetaki, nie potrafią strugać łubów i odwrotnie - ci co umieją strugać łuby, nie potrafią robić sit i przetaków. Więc nie można robić sita czy przetaku jeżeli nie ma łubów, jest to podstawowy materiał do wyrobu tego produktu – najpierw musi być łub, żeby zrobić sito. Na pewno razem z przybyłymi fachowcami był ktoś kto tego zawodu ich nauczył i to się bardzo rozpowszechniło. Najwięcej łubiarzy było w Bukowej – prawie w każdym domu praktykowano to rzemiosło. Przynosiło ono zyski. Mężczyźni uprawiali ten zawód. Były odpowiednio dobre drzewostany sosnowe nadające się na łuby stąd też było dużo łubiarzy. Byli też łubiarze w sąsiednich wsiach Dąbrowicy i Ciosmach, ale nie tak liczni jak w Bukowej.

Nie było natomiast wśród mieszkańców dobrego zduna. Fachowcy ci byli sprowadzani z okolicznych wiosek np. Kocudzy, Ciosmów i z dalszych miejscowości. Budowa pieca w tamtych czasach wymagała fachowości. Jak sam widziałem, piec taki budowany był z gliny i małych okrągłych gładzików do 10 cm średnicy i mniejszych, co wymagało fachowo wykonanej zaprawy z gliny i poukładania tego wszystkiego w ścianki. Wykonany piec w ten sposób z gładzików i gliny był bardzo dobry i po rozgrzaniu bardzo długo trzymał ciepło. To tyle, co do wykonywanych zawodów, które zapamiętałem. Mieszkańcy wsi Bukowa byli prawie samowystarczalni.

W latach 1937-1938, uchwałą gminy Kocudza, do której Bukowa należała, uchwalono regulację rzeki Bukowej. Dopływ rzeki Bukowej wpada do rzeki Bukowa przepływając przez wieś Bukowa na północnej stronie wsi na łąkach gospodarstwa nr 44. Dopływami rzeki Bukowa są; rzeka Rakowa i rzeka Branew. Cała dolina rzeki Bukowa, rzeka i jej dopływ zostały (na podstawie uchwały Gminy Kocudza, do której to Bukowa należała przed II wojną) zmeliorowane w latach 1936-1944, na całej długości od gruntów Ujścia do

jej źródła (tj. łącznie z łąkami wsi Korytków Mały).

Mieszkańcy wsi Korytków, Bukowa, Andrzejówka byli zobowiązani w ramach tak zwanego szarwarku wykopać rzekę szerokości do 6 m, głębokości od 1 m do 1,5 m (zależy od terenu), szerokość dna 1,5-1,2. Mieszkańcy tych wiosek byli bardzo niezadowoleni, gdyż wymagało to ogromnego wysiłku. Do rozpoczęcia II wojny światowej rzekę dokopano od granicy gruntów wsi Ujście do łąk Marca Józefa nr 60. Wojna przerwała pracę, ale zaraz w roku 1940-1942 Niemcy zorganizowali obóz pracy w budynku Jargiely Wojciecha. Ogrodzono drutami i spędzono Żydów oraz Polaków i Ukraińców, którzy nie oddawali kontyngentów. Więźniowie wykonywali wykop rzeki Bukowa wraz z dopływem. W roku 1942 obóz zlikwidowano, Polaków i Ukraińców zwolniono, a Żydów umieszczono w kamieniołomach. Dalsze prace wykonywane były za pieniądze, mieszkańcy chętnie kopali rzekę i rowy po polu, które odwadniało miejsca, z których woda nie miała ujścia.

Od strony południowej wsi Bukowa przy drodze leśnej w odległości 1 km znajdują się pola uprawne o pow. 10-15 ha noszące nazwę „Kobyli-Grąd” oraz na tej samej wysokości, o nieco mniejszej powierzchni następne pola o nazwie „Szczyrk”. Tradycja ustna przekazuje, że w XVI wieku były tam osiedla ludzkie, pierwsi mieszkańcy wsi Bukowa. Władze, być może Ordynacji Zamojskiej, wytyczyły linię wioski i nakazały przeniesienie zabudowań na wytyczone miejsce, gdzie obecnie jest wieś Bukowa. Przy Ryczkowym wygonie przy drodze prowadzącej z Bukowej do Lasów Janowskich przed rzeką są wąskie łąki, a następnie wzniesienie - góra ciągnąca się z brzegiem rzeki w kierunku zachodnim, która ma długość około 500 m. Na tym wzniesieniu były również budynki mieszkalne, na które ludzie mieli nakaz i przenieśli swoje domostwa na wyznaczoną wieś.

Lasy wokół Bukowej były i są obfite w runo leśne. Zbierano tu bardzo duże ilości jagody czarnej, borówki czerwonej, żurawiny, łochyni i jeżyn. Występują również różnego rodzaju grzyby z prawdziwkami włącznie. Na zbiorze jagód i innych owoców leśnych w sezonie ludzie zarabiali pieniądze, tym samym zaspokajali swoje potrzeby w okresie przednowkowym.

Na gruncie tabelowym nr 25 (obecnie nr 80) w dawnych latach była

karczma. Właściciel tej działki na której była karczma, Plizga Antoni, w latach 30-tych musiał wykupić tę działkę tzn. pokarczmisko od Ordynacji Zamojskiej. Przy nadawaniu własności (trudno określić w którym roku) ze względu na karczmisko, taką powierzchnię, jaką zajmowało to miejsce odcięto od głównej działki na rzecz ojców Antoniego Plizgi. Na nr 69, 50 m od kościoła stoi ogromna lipa drobnolistna (obwód 650 cm, wysokość 28 m) - Pomnik Przyrody. Według opowiadań, pod tą lipą odpoczywał Tadeusz Kościuszko ze swoim wojskiem, gdyż wówczas tędy biegła droga do Biłgoraja przez Dąbrowicę. Mówi się, że były tam zakopane skarby, nawet niektórzy próbowali ich szukać różnymi wykrywaczami w czasie powstania.

W 1954 r. staraniem strażaków wybudowano remizę strażacką z pustaków cementowo-piaskowych. Ponieważ materiał ten nie był stały, postanowiono zbudować nową remizę przystosowaną do obecnych potrzeb. W 1984 r. rozpoczęto budowę. W 1988 roku oddano remizę do użytku. Budowę finansował Naczelnik Gminy Piotr Skubis. W 1995 r. rozpoczęto budowę Szkoły Podstawowej a w 1997 r. szkołę oddano do użytku. Budowa szkoły była finansowana przez Wójta Gminy Biłgoraj Franciszka Piętaka. Przewodniczącym komitetu budowy remizy i szkoły był Wojciech Malec prezes OSP w Bukowej, był on również członkiem Komitetu Budowy Kościoła w 1957 r. w Bukowej.

Rozdział II

Moje dzieciństwo

Urodziłem się 16.09.1922 r. akurat w tym roku wypadło, że 16 kwietnia 1922 r. była Wielkanoc a więc urodziłem się w bardzo ważnym dniu. Rodzice moi byli bardzo biedni, wiadomo, w tym czasie liczyło się kto miał dużo dobrego pola. U nas było tego pola około 8 ha, ale jakie to pole było, same górki piaszczyste na których nic nie rosło, jak mówi przysłowie brat brata nie urodził. Jedynie w tak zwanych Piskarach było trochę lepsze pole, było dużo łąki, ale niewiele było korzyści, gdyż było mokro i trawa nie chciała rosnąć. Siana ledwo wystarczało dla konia, krowy niewiele kosztowały tego siana.

Rodzina moja składała się z 8 osób - 3 siostry i 3-ch braci, a więc rodzina była duża i trzeba było ją jakoś wyżywić. Starsze rodzeństwo, kiedy już mogło trochę pracować szło na służbę do dziadka na Ciosmy. Nie było źle na tej służbie, bo to u dziadka, ale zawsze to służba. Więc troje z rodzeństwa służyło u dziadka: siostra Marysia, Kasia i Jan, natomiast brata Józefa i siostrę Zośkę oraz mnie służba jakoś ominęła. Kiedy sobie wspomnę moje dzieciństwo to rozpacz ogarnia. Na wsi panowała ogromna bieda. Brakowało jedzenia dla rodziny oraz paszy dla bydła. Nikt sobie nie mógł pozwolić na lepsze jedzenie bo nie było za co. Masło, jeżeli matka zrobiła, to po malutkim kawałku podzieliła między dzieci, a resztę musiała sprzedać, gdyż trzeba było kupić zapalki, sól, naftę - to były najpotrzebniejsze rzeczy w domu.

Ojciec trochę zarabiał strugając łuby, wyrabiał też łyżki, ale niewiele się zarobiło, gdyż drewno trzeba było kupić które w tym czasie było drogie, ale zawsze coś tam zarobił. Nie wystarczało jednak na utrzymanie tak dużej rodziny. Najgorszym okresem do przetrwania był tak zwany „przednówek” to znaczy przed zbiorami. Pamiętam, były dni, że nie było w ogóle co jeść, matka pożyczła u sąsiadów jakiejś tam mąki czy ziemniaków bo tych też nie było, aby zaspokoić głód rodzinie. Trochę było łatwiej kiedy dojrzewały jagody, ludzie chodzili zbierać a Żydzi skupywali jagody, to już trochę było łatwiej. Jagody były kupowane nie na wagę lecz na

koszyczki. Koszyczki miały rączki, ale kupujący jagody Żyd wyciągał rączkę koszyk się rozszerzył i bardzo dużo jagód wchodziło do tego koszyka, ale nie było wyjścia, jagody trzeba było sprzedać bo potrzebne były pieniądze.

Wiosną każdego roku młodzi ludzie a i starsi chodzili do lasu do zalesień. Praca była na dniówkę. 80 gr płacili za 8 godzin pracy było to bardzo mało zważywszy, że żywność była droga, dla przykładu 1 kg słoniny kosztował 1,80 zł, to przez to przez dzień pracy nawet by kilograma słoniny nie kupił.

Mieszkańcy wsi wyrabiali łuby, łyżki, wrzeciona z którymi chodzili po sąsiadach i sprzedawali za grosze, byli też garncarze, którzy wyrabiali i wypalali garnki - bardzo było ciekawe wyrabianie tych garnków, ale była to robota żmudna, trzeba było ukopać gliny, wyrobić garnki, ułożyć umiejętnie w piecu garncarskim a następnie przez jakiś czas wypalać. Kupcami na te garnki byli przeważnie Żydzi, którzy następnie sprzedawali je na straganach.

Prawie w każdym domu na Bukowej był warsztat tkacki na którym wyrabiano płótno na potrzeby rodziny. Każdy rolnik uprawiał len i konopie z których po odpowiednich przeróbkach wytwarzano tak zwane przędziwo. Cykl tej pracy był następujący: kiedy przyszła praca zbioru lnu czy konopi, a robiono to przez wyrywanie, następnie suszono, aby można było wymłócić nasienie, po omlóceniu len i konopie moczono przez jakiś czas w wodzie. W Bukowej nie było kłopotu, gdyż są dwie rzeki i to wszystko moczono w rzece. Kiedy dobrze wymokło, wyciągano z wody, suszono i przygotowywano to do międlenia. Zawsze tak wypadało, że międlenie lnu i konopi wykonywano po zakończeniu jesiennych prac polowych, a więc w październiku i listopadzie jak było ciepło. Międlenie odbywało się wspólnie z sąsiadami. Wykopywano głęboki dół głębokości do 1,5 m i szeroki 2x2, miejsce wokół dołu o większej powierzchni zastawiano deskami przed wiatrem, który nie sprzyjał, gdy mocno wiał.

Górną część dołu przykrywano tyczkami w odstępach, na których układano len czy konopie, na dole dołu zapalano ognisko i tym sposobem suszono by po dobrym wysuszeniu można było międląć. Do tego celu mocowano na kołkach międlice i suchy len czy konopie międlono.

Na międlicy międlono co z grubsza, natomiast były tak zwane cierlice, które czyściły włókno z drobnych paździerzy. Kiedy skończyło się międlenie, kobiety przystępowały do czesania włókna na szczotkach metalowych z gwoździ stalowych i w ten sposób oddzielano tak zwane przędziwo i pakuły. W okresie zimowym kobiety przystępowały do przędzenia nici z przędziwa na płótno lepszego gatunku które przeznaczano na koszulę, kalesony, prześcieradła, płachty i inne potrzebne rzeczy domowe, natomiast pakuły przędzono na worki i sienniki. Jak już wyżej wspomniałem w każdym domu był warsztat tkacki i kobiety same tkwały płótno, ja osobiście przez okres trzech lat robiłem płótno zarobkowo. Niewiele się zarobiło, ale zajęcie było. Był taki zwyczaj, że jak przynosili nici do tkania na wyrób płótna, to przynosili wówczas tak zwaną „legumijo”, bochenek chleba tak jakby zadatek. W okresie, kiedy brakowało żywności lub nie było pieniędzy na kupno, to bochenek miał swoje znaczenie. Jeżeli chodzi o przędzenie to odbywało się ono w okresie zimowym. Młode dziewczęta chodziły na prądkie do wybranego sobie domu u koleżanki i tam całymi godzinami przędły nici lniane czy konopne. Wspomnę, że z włókna konopnego kręcąno grube nici na kołowrotku na powrozy do pasienia krów oraz potrzebne na inne cele gospodarcze, wykęcąno również postronki do konnej uprzęży. Wyrabiano z tego włókna konopnego również uprząż konną tj. coś w rodzaju półszorków, uzdy oraz lejce. Zawsze na takich prądkach schodziły się wszystkie dziewczyny sąsiedzkie z kądziałami a było ich czasem od 5-12 i więcej osób.

Ażeby przybliżyć to w moim domu, gdzie się urodziłem, były organizowane takie prądkie. Dom, w którym się urodziłem i który dokładnie pamiętam składał się z izby o wym. 5 x 6 m, dużej sieni i dużej komory. Mój dom pochodził na pewno z XVIII wieku, był stary o bardzo wysokich progach (ok. 40 cm), małych drzwiach na drewnianych skrzypiących zawiasach o prostej klamce podnoszonej palcem przez dziurkę wywierconą w drzwiach. Mieszkanie było niskie od 2 - 2.20 m. Sufit ułożony z desek łupanych znacznej grubości położony wzdłuż mieszkania na belkach cienkich może 12x12 cm położonych w poprzek od wewnętrznej strony mieszkania, a dla wzmocnienia był wmontowany gruby belek położony wzdłuż mieszkania o średnicy 25x20 cm, który był głównym dźwi-

garem całego sufitu. Wszystkie belki były zdobione pięknymi rzeźbionymi kółkami, zdobione w środku różnymi cięciami, to było naprawdę artystyczne wykonanie, które zdobiło sufit i mieszkanie. Kółka były wycinane w dolnej części belki, natomiast z boku wycinane były napisy o treści religijnej np. „Boże błogosław temu domowi i mieszkającym w tym domu” lub inne o podobnej treści religijnej.

Jak pamiętam, w domu tym była podłoga z desek, ale ojciec opowiadał, że wcześniej było klepisko z gliny. Piec stanowił część wyposażenia izby. Piec był dużych rozmiarów, w którym nie było blach z fajerkami, a była po prostu płyta wykonana z gliny podparta słupkiem, a pod spodem tej płyty była „grupka” na drzewo, w okresie wiosennym przetrzymywano tam małe kury, a czasem przychodziła kura i zносиła tam jajka. Jeśli chodzi o gotowanie strawy, to ognisko paliło się na tej płycie i naczynia (baniaki żeliwne) stawiane były obok ognia i tak się gotowało. Jak było gotowanie wieczorem to baniaki ustawione były w ten sposób by nie przeszkadzały rzucaniu światła z ogniska, które oświetlało mieszkanie w przypadku braku nafty. Zresztą ludzie byli nauczeni wszystko oszczędzać i wykorzystywali ognisko z pieca na oświetlenie mieszkania. Z tej płyty w kierunku ściany był wybudowany piec chlebowy, a dym szedł w komin, który był nad płytą kuchenną. Zupełnie inaczej ogrzewało się mieszkanie. Otóż w sieni był wykonany komin dużych rozmiarów 1 x 1 m z 4 bali obitych kółkami okręconymi słomą (warkoczami ze słomy) i oblepiony gliną. Kiedy komin był nowy, to się wszystko trzymało, ale później glina oblatywała. Pamiętam, że ojciec płacił mandaty karne jak tylko zobaczyła policja, że komin jest uszkodzony i zagraża bezpieczeństwu pożarowemu i nie było się czemu dziwić. Kominiarz też zwracał uwagę, gdyż po wyjściu na dach do komina, bał się żeby się komuś nie zwałił, nie mógł więc dokonać swoich czynności i trzeba było płacić kary. Wracając do ogrzewania pieca mieszkania: otóż z tego komina, który stał przy ścianie był wymurowany tunel na wysokości podłogi, który prowadził do pieca ogrzewalnego. Ogrzewalny piec to kwadratowe miejsce, gdzie za pomocą wiosła tunelem wносиło się ogień i drzewo, który tak piec rozgrzewał w mieszkaniu, że nawet największe mrozy nie radziły. W mieszkaniu ciepło było całą noc, a rano znów

się napaliło i w dzień znowu było ciepło. Piec ogrzewalny, jak się okazało przy rozbiórce, zbudowany był z gliny i małych gładzików okrągłych o średnicy do 10 cm i mniejszych. Dom posiadał dwa bardzo małe okna, a przy piecu było zostawione miejsce dla ciela-ka. Był taki zwyczaj, że jak krowa się ocielila, przez dwa tygodnie cielę przebywało w mieszkaniu razem z ludźmi gdyż uważano, że cielę w zimie umarznie. Ten zwyczaj obowiązywał w zimie. W takim właśnie domu mieszkało nas 8 osób. W mieszkaniu było jedno łóżko dwuosobowe na którym spali rodzice, dzieci natomiast - gdzie kto mógł, ja przeważnie spałem za piecem na worku wypchanym słomą, przykrycie byle czym, reszta spała na ziemi na słomie i na ławkach. Wydawało się, że było dobrze, gdyż wszędzie było mniej więcej w ten sposób.

Jak byłem mały pamiętam takie swoje przeżycie, którego nie zapomnę do końca życia. Wówczas miałem może 4-5 lat. Ksiądz proboszcz z Puszczy Solskiej zapowiedział kolędę w Bukowej na kilka dni przed tym terminem. Miałem takiego wujka Jargie-ło Franciszka, który był kowalem i często przychodził do naszego domu. Przed tą wizytą księdza zacząłem się bać. Kiedy mój wujek zorientował się, że ja się boję, zaczął mnie straszyć księdzem, nie przypominam sobie, jakich używał argumentów, w każdym razie miałem takiego stracha, że matka nie mogła wytrzymać. A kiedy przyszedł ten dzień, że ksiądz miał chodzić po kolędzie, płakałem do tego stopnia, że matka powiedziała mi, że mnie schowa na piecu przed księdzem. I tak też zrobiła, kiedy ksiądz już był blisko, wsadzili mnie na piec (a piec był obszerny, mieściło się 4 dzieci), zastawili naokoło łubami, miałem tylko mały wgląd na mieszkanie, kazano mi cicho siedzieć. Ksiądz wszedł do mieszkania, odprawił swoje modlitwy, usiadł, zawołał do siebie dzieci, które były i zaczął rozdawać im obrazki. Jak ja zobaczyłem, że ksiądz bardzo grzecznie obchodzi się z dziećmi i rozdaje im obrazki, pomyślałem chyba, że nie dostanę obrazka i zacząłem się wiercić, stękać głośno, że dosłyszał ksiądz i zapytał matki, kogo wy tam macie na piecu. Matka zaczęła coś tam tłumaczyć, na pewno mówiła, że bałem się i mnie schowała. W każdym razie szybko mnie z pieca ściągnęli i ksiądz dał mi obrazek i byłem bardzo zadowolony. Kiedy ksiądz zdawał relacje z kolędy w którąś tam niedzielę, powiedział, że był

w takiej rodzinie, że matka nie miała dziecka w co ubrać i schowała dziecko na piec. To był wstyd dla rodziny. Na pewno nie było mnie w co ubrać, ale przecież jakąś koszulę miałem i mógłbym razem z dziećmi być z księdzem. Czy takiemu małemu dziecku można się dziwić, że się bało księdza? Wiadomo, że wszystkie dzieci były się księdza, ale nie do tego stopnia co ja, bo przecież dzieci małe nie widziały księdza, a że do kościoła było daleko, to nie miały żadnego kontaktu z księdzem. Osoby starsze zamiast tłumaczyć, że ksiądz lubi dzieci i nic im nie będzie, to straszono dzieci księdzem. Nie mieści mi się to w głowie, jak można było małe dziecko tak nastraszyć i to przez wujka.

W okresie jesienno-zimowym bardzo często odbywały się prądki, o których wyżej wspomniałem. Przychodziło bardzo dużo dziewcząt, przychodziły prądki jak też kawalerowie na randkę z dziewczynami, które po prądkach odprowadzali do ich domów. Na tych prądkach było bardzo wesoło. Śpiewali przeróżne piosenki ludowe, wesołe i smutne razem z chłopcami. Ponieważ umiałem trochę grać na skrzypcach a miałem i bębenek, to jakoś tam zagrałem, wszystko rzucało kądziele i tańczyło, a było z kim, bo kawalerowie byli i chętnych do tańca mieli. Było naprawdę wesoło. U nas były możliwości, bo palono ogień na kominku i nie trzeba było nafty na oświetlenie, prądko obsiadły naokoło piec i było im widno. Każdego dnia przygotowywało się szczyпки aby było czym palić na kominku. Były zupełnie inne czasy, młodzież inaczej się wychowywała, przede wszystkim rodzina cała była bez przerwy w komplecie i w jednym pomieszczeniu. Wszystkie rozmowy prowadzone były razem, wszyscy o wszystkim wiedzieli i informowali się nawzajem. Nie było radia, nie mówiąc o telewizji. Młodzi sami musieli myśleć jak się rozweselić i udawało im się to, cieszyli się i radowali z tego co mieli, zapominali o panującej biedzie i nędzy. Wieczory te były urozmaicane, bo w długie wieczory zimowe do naszego domu przychodziły również prądko. Było wesoło, gdyż cały czas śpiewano różne piosenki starodawne, bardzo piękne w słowach i melodii, że słuchało się z ogromnym zainteresowaniem. Na dokładkę przy tej okazji przychodzili mężczyźni, którzy umieli wyrabiać łyżki i wszyscy siedzieli wokół pieca na którym paliło się ognisko z przygotowanych szczyp (szczypy wycinano ze

smolnych pniaków sosnowych, szczypty te przygotowywano przez całe lato, przeważnie wycinali je pastuchy w czasie pasienia krów w lesie), które oświetlały całe mieszkanie. Na naftę nie było pieniędzy, a pieniądze zdobywano ze sprzedaży masła sera i jajek i to był jedyny przychód pieniędzy na potrzeby domowe. Czasem, jak była nafta, to świeciła się lampa, ale to zdarzało się bardzo rzadko. Najweselej było kiedy rozmowy zeszyły na przeróżne strachy jakie wszyscy opowiadali. Dla dzieci opowiadanie tych strachów było naprawdę przestraszeniem, ale ponieważ było jedno pomieszczenie i dzieci musiały tak jakby wszystko słuchać. Ja z siostrą Zosią byliśmy cały czas w domu i bardzo często szliśmy spać ze strachem, wszystkie dzieci musiały być wyprowadzane na załatwienie osobistych spraw przez mamę lub tatę, same nie poszły, bo się bały strachów, które słyszały opowiadań.

Do szkoły zacząłem uczęszczać w 1929 r. Szkoła była u Małyszki Jana (Buńka), nie pamiętam ile lat chodziłem do szkoły u Małyszki, później była szkoła tu, gdzie teraz jest, to znaczy u Zezuli, ostatnie 2 lub 3 lata chodziłem do nowej szkoły, która była oddana w 1936 r. albo 1935. Ukończyłem 5-tą klasę, do której chodziłem przez dwa lata, następne roczniki kończyły 4 klasy, z tym, że do 4 klasy chodzili 3 lata. Nauczyciele byli bardzo dobrzy, dzieci uczyli bardzo dobrze, kto chciał to skorzystał z tego nauczania. Moi nauczyciele to pan Cieplak z Zamościa, pan Abraniuk, pani Zebrowska, p. Szajner Florian, ale wszystkich nie pamiętam, było ich więcej. A była jeszcze pani Czerwówna, w której zakochał się Adam Dziduch, ale ożenić się nie mógł, gdyż on był prosty chłop, a ona bądź co bądź nauczycielka i jakieś prawo nie zezwalało w takiej sytuacji na zawarcie małżeństwa. Szkołę ukończyłem w 1936 r. Gdyby ojciec wyraził zgodę, być może ukończyłbym szkołę gimnazjalną. Był to rok, kiedy chodziłem ostatni rok do szkoły. Do ojca mojego zgłosił się kierownik szkoły Florian Szajner z propozycją o wyrażenie zgody na naukę w gimnazjum, gdyż w tym czasie było jakieś zarządzenie, że gmina miała obowiązek na swój koszt wykształcić jednego lub kilku uczniów. Ponieważ dobrze się uczyłem, kierownik szkoły rozmawiał z moim ojcem czy wyrazi zgodę na takie nauczanie. Ojciec nie wyraził zgody, pewnie z obawy, że mimo wszystko byłyby jakieś koszty na ubranie, obuwiu i inne, których nie byłby w

stanie pokryć, a może chodziło o to, że nie będzie komu pomagać w gospodarstwie. Jakieś przyczyny musiał podać, a ja sam też nie nalegałem, bo nie zdawałem sobie sprawy co to znaczy wykształcenie i tak pozostało.

Po ukończeniu szkoły pomagałem rodzicom w gospodarstwie, między innymi pasłem krowy. W 1937 r. została podjęta uchwała przez Urząd Gminy w Kocudzy (bo tam Bukowa należała) o przeprowadzeniu melioracji całej doliny rzeki Bukowej tzn. od początku wypływania rzeki Bukowa to jest od okolic bagien pod Frampolem. Po dokonaniu pomiaru przystąpiono do wykopu rzeki. Rzekę mieli kopać mieszkańcy wsi Korytków Duży, Mały, Andrzejówka oraz Bukowa w ramach szarwarku (w czynie społecznym). Każdy mieszkaniec miał wyznaczone ile ma w ciągu roku wykopać rzeki. Prace rozpoczęły się od końca wsi od Ujścia od tzw. Solówek. Wówczas pierwszym kierownikiem budowy rzeki Bukowa był pan nazwiskiem Panasiuk. Zorganizował biuro melioracyjne, w którym zaangażował na sekretarza Ludwika Łukaszczyka, a ja natomiast byłem kimś w rodzaju nadzorcy. Do moich obowiązków należało: pomoc przy niwelacji, pomoc przy wytyczaniu brzegu rzeki oraz w czasie wykonywanych wykopów zwracać uwagę na nachylenie skarp, szerokość rzeki górą, szerokość dna oraz głębokość rzeki. Szybko tę pracę pojąłem, ale nie pamiętam, czy płacili mi za to czy też było to w ramach szarwarku. Praca przy kopaniu w tym terenie była ogromnie ciężka. Trasa rzeki, która biegła prawie starym korytarzem, była porośnięta ogromnymi olszami, trzeba było to wykopać. Wymagało to ogromnego wysiłku. Ludzie pracujący przy kopaniu, strasznie zemścili i narzekali na radnych, którzy podjęli taką uchwałę. Ale nic nie pomogło, prace musiały być wykonane. Do 1 września 1939 r. do wybuchu wojny rzekę dokopano do Marca Józefa i na jakiś czas prace przerwano, wiadomo wojna.

Rozdział III

Jak przeżyłem II wojnę światową.

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że zbliża się wojna. Wiadomości radiowe (było kilka odbiorników radiowych na słuchawki, takie radio miał Plizga Adam, często go słuchałem) oraz w rozmowach bardzo często mówiło się o wojnie. W 1934 r. kiedy Hitler doszedł do władzy, wiadomości o jego poczynaniach nie dawały spokoju Polakom. W początku roku 1939, a i wcześniej, zaczęły coraz częściej pojawiać się nawoływania, by ludzie składali ofiary lub wykupywali specjalne bony na obronę przeciwlotniczą. W czasie ćwiczeń strażackich (byłem wówczas członkiem straży) Naczelnik Straży Adam Dziduch propagował sprzedaż tych bonów, były one w różnej cenie. Niewiele tego sprzedawano, gdyż ludzie nie mieli pieniędzy. Poza tym, ludzie mówili, że wojna będzie ale nikt sobie nie zdawał sprawy co to za wojna. Pierwszym takim sygnałem, że coś będzie był pobór żołnierzy wojsk technicznych saperów itp. Temu poborowi podlegał Józef Marzec, który był saperem i chyba Sokal, ale na pewno nie wiem. Pobór ten dokonany był w miesiącu marcu 1939 r., ale to wszystko nie było takie straszne. Propaganda Polska krzyczała na cały głos, że jesteśmy silni, zwarci i gotowi (Rydz Śmigły) oraz, że nie damy guzika od munduru oderwać. Była też propaganda, że Niemcy nie są przygotowani do wojny, że pokazywane czołgi są tylko makietami papierowymi. Wszystko to było odbierane jako prawda i Polacy czuli się, że nie dadzą korytarza, jakiego Niemcy domagali się na Pomorzu. Korytarz ten to autostrada, która miała połączyć Niemcy z Prusami Wschodnimi. Niemcy do Prus Wschodnich mieli dostęp tylko morzem. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Nie wiem w jakim miesiącu, ale chyba w sierpniu a może w lipcu, podpisany został układ o współpracy pomiędzy Polską, Francją i Anglią. To dla Polski była nadzieja, że nie jesteśmy sami, że w razie konfliktu będzie pomoc naszych zachodnich sojuszników, ale stało się inaczej, o tym później. Rząd polski wiedział, że wojna będzie i chciał wcześniej dokonać mobilizacji wojsk polskich.

Według różnych informacji, państwa zachodnie nie dopuściły do

mobilizacji, gdyż ciągle pertraktowano z Hitlerem i liczone się z tym, że może zapobiegnie wojnie. Niestety, Hitler czuł się tak silny, że nie poszedł na żadne ustępstwa. 28 sierpnia 1939 r. Rząd Polski ogłosił mobilizację powszechną wszystkich roczników rezerwistów. Pamiętam dokładnie ten dzień, to była straszna rzecz. Z mojego domu tej mobilizacji podlegał brat Józef oraz szwagier Stefan i Franek Kowalczyk oraz bardzo dużo chłopców podlegających służbie z Bukowej. Na wsi strach było słuchać, taki był płacz i lament. Wtenczas było wiadomo, że wojna wisi na włosku. I stało się 1 września 1939 r.

Komunikaty donosiły, że o godz. 5.00 z minutami Hitler wypowiedział wojnę Polsce. Mobilizacja była ogłoszona za późno, niektórzy żołnierze nie dojechali do swych jednostek. Niemcy wszczęli bombardowanie przygranicznych terenów oraz linii kolejowych i mostów. W komunikatach podawano, że Niemcy przekroczyli granice i prą naprzód, Wojsko Polskie broni się jak może, ale nie może podołać ogromnym ilościom żołnierzy niemieckich i ogromnej ilości sprzętu wojskowego, czołgi, samoloty i inną nowoczesną broń, której nie mógł nikt powstrzymać. Do większych starć doszło w rejonach Kłodzka, prawdopodobnie Wojsko Polskie zadało Niemcom poważne straty, ale o zwycięstwie nie było mowy. W dniach od 8 września pojawiły się pierwsze oddziały Wojska Polskiego wycofujące się na wschód, jak się później okazało, w kierunku Rumunii. Na drogach pojawiła się ogromna ilość uciekinierów, szli też przez Bukowę od strony Huty, Ujścia ci którzy uciekali, sami nie wiedzieli gdzie. Szli pieszo, rowerami i niekiedy furmankami. Uciekinierzy stwarzali ogromne przeszkody dla wycofujących się jednostek Wojska Polskiego. A nasi sojusznicy Francja, Anglia, owszem wypowiedzieli wojnę Niemcom, ale do działań wojennych nie przystąpili, zdradzili Polskę. Pierwsze bombardowanie tych terenów odbyło się 8 września 1939 r. eskadra samolotów najpierw zrzuciła bomby w Biłgoraju, lecąc w kierunku do Janowa Lub. Zrzucili 3 bomby w Andrzejówce, które jednak upadły z boku wioski, 2 bomby wybuchły na Płaksiwej Górze a 1 na łąkach na Krużyńcu, następnie poleciały nad Janów i zrzuciły kilkanaście bomb. Były duże zniszczenia i były ofiary w ludziach, gdyż w tym czasie był odpust w Janowie i było dużo ludzi, stąd też było tyle ofiar. Od

tego czasu zaczął się zbliżać front. Miasto Biłgoraj po zbombardowaniu zaczęło się palić, większa część miasta była zniszczona, spalona łącznie z kościołem.

Wojska Polskie przebywały w Bukowej i w Ciosmach. Niemcy ostrzeliwali Wojsko Polskie, które stacjonowało w Ciosmach. Artyleria niemiecka ostrzeliwała od Banach, dużo pocisków nie dolatywało do Ciosmów, niektóre przelatowały za Ciosmy aż w las na Pydowskich polach. W Ciosmach zostało zabitych kilku żołnierzy polskich, natomiast dużo żołnierzy zginęło na polu bitwy pod Banachami i wzdłuż szosy od Banach do Soli. Spoczywają oni na cmentarzu w Banachach i Soli. W Puszczy Solskiej również były walki wojsk polskich z Niemcami. Cała prawie Puszcza Solska była spalona, kościół jednak wytrzymał. Był uderzony kilkoma pociskami artyleryjskimi, ale uszkodzenia nie były duże. Przez Bukowę też przechodziły najpierw wojska polskie a następnie oddziały niemieckie. Pod lipą koło kościoła w czasie przemarszu był ustawiony karabin maszynowy, który zabezpieczał przemarsz a jednocześnie rozbijali pojedynczych polskich żołnierzy. Osobiście widziałem, jak żołnierz podchodził do Niemców oddawał broń, pas, ale nie wiem czy tych żołnierzy puszczała do domu czy też brali ich w niewolę. To były straszne dni. Mówiło się, że nie oddamy guzika od munduru a później oddaliśmy całą armię. Kiedy te wszystkie armie przeszły gdzieś w kierunku na wschód przez jakiś czas był spokój tylko samoloty niemieckie leciały gdzieś na wschód i z dołka było słycać detonacje, wydawało się, że wojna ma się ku końcowi. Było to przy końcu września 1939 r. ludzie przestali mówić o wojnie, naraz któregoś dnia zobaczyłem (nie tylko ja) tuman kurzu z kierunku od Dąbrowicy. Okazało się, że oddział Polskiej Kawalerii jechał od Dąbrowicy, w oka mgnieniu opanowali wioskę. Wszyscy byli zdziwieni skąd wzięło się Wojsko Polskie, wszystkim wydawało się, że Armii Polskiej już nie ma. Oddział kawalerii pojechał w kierunku Ujścia. Na drugi dzień, a było to na pewno w sobotę, przyszła wiadomość, że bardzo dużo Wojska Polskiego jest we wsi Szewce, Ujście, Kiszki, Momoty i dalszych wioskach za Momotami. Mówiono również, że oddziały polskie stoczyły bitwę z Niemcami pod Dozwolą goniąc ich aż do Modliborzyc. Niemcy wówczas wycofali się za linię Wisły zgodnie

z umową Ribbentrop-Mołotow, a tereny do Wisły miały objąć wojska radzieckie. Mówiono również, że od wojska można coś kupić, więc z Adamem Plizgą wybraliśmy się w niedzielę do Momot. Ja wziąłem ze sobą bochenek chleba. Bo można coś za chleb dostać. I rzeczywiście, po przyjeździe do Ujścia, Kiszek i Momot stwierdziliśmy, że jest bardzo dużo Wojska Polskiego i taborów. Za swój bochen chleba żołnierz dał mi nowy mundur wojskowy szewiortowy, na wozach taborowych mieli wszystko. Był jakiś samochód wojskowy, ale nikt nie zwracał na to uwagi. Adam Plizga kupił za 2 złote konia, później można było brać za darmo i zbieraliśmy się do domu. Na końcu Momot na dużej polanie zaczęło się gromadzić wojsko. Zatrzymaliśmy się z ciekawości co tam będzie. Kiedy wojsko się zebrało, a było ich bardzo dużo, przyszła grupa oficerów, był ksiądz i był już siwy młody oficer wyższej rangi. Później mówili, że to był dowódca jednostki pułk. Koc. Ksiądz przemówił do żołnierzy wygłaszając mowę pożegnalną, nie pamiętam, co on dokładnie mówił, ale to była mowa tak wzruszająca, że nie było człowieka, który by nie płakał. Dosłownie wszyscy żołnierze płakali, nawet ci, którzy byli przy wozach taborowych. Taką samą mowę słyszeliśmy we wsi Kiszki. Po tym wszystkim udaliśmy się do domu. Pod Kiszkami Adam Plizga znalazł worek, w którym były krupy gryczane. Okazało się, że jechała jakaś furmanka i worek zgubiła. Ponieważ na drodze był duży ruch, zdecydowaliśmy że pójdziemy do Bukowej drogą przez las. Kiedy dochodziliśmy do Bukowej zaczęło się ściemniać i naraz słyszemy krzyk: „Pastoj, ruki wierch” podeszli do nas żołnierze radzieccy i zaprowadzili nas do dowództwa, które było u Kaczora na końcu wsi. Po wylegitymowaniu skąd wracamy puścili nas do domu.

Do godziny 8.00 wieczorem było spokojnie. Po godzinie 8.00 zaczęły iść polskie oddziały do rozbrojenia, którego dokonywali żołnierze radzieccy. Miejsce rozbrojenia było koło Dziducha na polu przy drodze od strony południowej. Żołnierze podchodzili i rzucali swoją broń, tłumaczyli im, że po rozbrojeniu puszcza ich do domu. Stało się inaczej, wszystkich żołnierzy poustawiali w trójki i popędzili przez Dąbrowę w nieznaną stronę. Dużo żołnierzy i oficerów przebrało się w cywilne ubrania i jakoś poszli do domu. Rozbrojenie

Wojska Polskiego trwało od godz. 8.00 wieczorem w niedzielę do godz. 3.00 po południu w poniedziałek bez przerwy. Bardzo dużo było taborów, furmanek wyładowanych różnym sprzętem i towarem. Niektórzy żołnierze sprzedawali sukno mundurowe, obuwie, byli tacy, którzy nie pozwalali podejść do furmanek. Konie kawaleryjskie chodziły po polu z siodłami, niektórzy mieszkańcy brali te konie, siodła chowali a konie sprzedawali za grosze. Na przykład mój ojciec wziął konia, był przywiązany do płotu z siodłem i kocem. W polu nie chciał robić i sprzedał go za 2 złote. Konie wojskowe miały powypalane numery i nie trzeba było fachowca, aby poznał się, że to koń wojskowy. Zdarzały się wypadki, że Niemcy te konie zabierali. Żołnierze nie wszyscy szli do rozbrojenia, rzucali broń po polu, do rzeki, do rowów, wszędzie było pełno amunicji i innej broni. Byli tacy żołnierze oficerowie, którzy kazali broń zbierać i chować, tłumacząc, że ona się przyda.

Ja znalazłem skrzynkę w której były 3 lufy do RKM-u i trochę amunicji karabinowej, którą przechowałem i która w czasie działalności ruchu oporu bardzo się przydała. W naszym domu była grupa oficerów. Właśnie w tym czasie tragedii narodowej Żyd Abram chodził po wsi z handlem, kiedy go oficerowie zobaczyli, byli strasznie oburzeni, że Żyd w takim czasie handluje, ale nic mu nie mogli zrobić. W tym czasie wojska radzieckie sprzyjały Żydom, a Żydzi się bardzo cieszyli że przyszli ich przyjaciele. W Biłgoraju Żydzi chodzili z opaskami i bardzo sprzyjali władzy radzieckiej. Grupa oficerów, którzy przebywali w naszym domu, jeden z nich podarował mi lornetkę wojskową i powiedział mi żebym ją schował, bo może się kiedyś przydać i rzeczywiście tak było, przydała się, choć ja z niej nie korzystałem. Tak więc miałem schowane trochę amunicji do KBK, trzy zapasowe lufy do RKM-u, karabin francuski (bardzo długi) oraz siodło kawaleryjskie, prawie nowe. Od razu na drugi dzień przyjechali jacyś goście i skupywali broń i amunicję oraz wszelkie uzbrojenie jakiego dużo znajdowało się u mieszkańców wsi Bukowa. Ponieważ karabin, który posiadałem był bardzo długi, sprzedałem go za parę złotych, ale później znaleźliśmy z Adamem Małyszą w rowie dwa ręczne karabiny, które miałem aż do czasu przyścia Armii Radzieckiej w 1944 r. Z siodła szewc uszył mi buty, natomiast kulbaki z siodła wyrzuciłem do rze-

ki. W późniejszym czasie przyszli do mnie ci, którzy poszukiwali tych rzeczy, pokazałem im gdzie to jest i zabrali sobie.

Wspomnę jeszcze, że zaraz po mobilizacji powszechnej rezerwistów do wojska, kilka dni później zrobili mobilizację wozów konnych, uprząży na cele wojskowe. Do tej służby między innymi powołany był mój ojciec, dostał dwa konie i wóz, miał wozić rzeczy wojskowe. Ale długo tam nie był, gdyż jak mówił, pojedyncze samoloty nadlatywały na tereny i strzelały z broni pokładowej do wszystkiego co się ruszało. Jak opowiadał, zostawił wóz i konie gdzieś w okolicach Suśca. Kiedy zaczęły się bombardowania, był ogromny chaos, można powiedzieć nie było władzy, wszystko było w rozsypce, nikt nie panował nad sytuacją, ludzie z terenów zachodnich w dalszym ciągu gdzieś uciekali, bo sami nie wiedzieli gdzie iść. Mój brat, który był powołany na wojnę do Włodzimierza, pod koniec września powrócił do domu w pełnym umundurowaniu i wielu jego kolegów również. Natomiast szwagier Stefan był wzięty do niewoli niemieckiej, a brat Stefana, Wincenty Małek dostał się do niewoli rosyjskiej, ale na podstawie jakiegoś porozumienia między Rosjanami a Niemcami, Niemcy oddali wziętych do niewoli Ukraińców Rosjanom, natomiast Rosjanie oddali Niemcom polskich żołnierzy. Właśnie Małek Wincenty dostał się do niewoli niemieckiej, może to i lepiej bo gdyby był w niewoli u Ruskich, na pewno by zginął gdzieś w Katyniu lub innym miejscu zbrodni rosyjskiej.

Ponieważ w tym okresie byłem w wieku przedpoborowym, w początkach działań wojennych krążyły wieści, że ma być pobór młodych roczników do wojska. Były poważne obawy, że mogą zabrać do wojska i na wojnę. Ale sytuacja była katastrofalna. Armia Polska, choć stawiała opór, nie mogła się oprzeć takiej sile jaka szła na Polskę. Słyszało się, że Francja i Anglia wydała wojnę Niemcom, ale cóż z tego do działań wojennych nie przystąpiono, bo gdyby na zachodzie w tym czasie utworzony byłby drugi front sytuacja byłaby zupełnie inna. Ale cóż, nasi sprzymierzeńcy zdradzili Polaków i Polska pozostała sama stawiając duży opór. Przyszła również i na nich kolej, ale Polacy zapomnieli o zdradzie i na Zachodzie walczyli w ich obronie.

A więc po rozbrojeniu Polskiej Armii w Bukowej w niedługim czasie wojska radzieckie się wycofały a wkroczyły wojska niemieckie po raz drugi. Zaraz w początkowych miesiącach okolicę obiegła straszna wiadomość. Do Momot Dolnych przyjechali Niemcy, otoczyli wieś, spędzili chłopów na pola i rozstrzelali 16 lub 18 mężczyzn. Przyczyną tej tragedii było to, że był dokonany jakiś rabunek w Nadleśnictwie Janów. Zgłosili to Niemcom i podejrzenie padło na wieś Momoty Dolne i tam dokonali tego strasznego mordu. Co raz przychodziły różne wieści o dokonywanych aresztowaniach, rozstrzeliwaniach. Na przykład, obiegła wiadomość niby na pozór błaża a ile wywołała strachu wśród ludności, że do Janowa przyjechali Niemcy, którzy mają na czapkach trupie czaszki i obsadzili urzędy. Strach był nie do opisania. To było mniej więcej w tym czasie kiedy rozstrzelali chłopów w Momotach.

Od samego początku władze niemieckie wprowadzały swoje porządki i niektórzy twierdzili, że przyszedł dobry gospodarz. Pierwszej zimy 1939-1940 pojawiły się płotki przeciwniebowe w miejscach, gdzie mogło zawiewać drogi, tego się przedtem nie widziało i to robiło wrażenie. Ale były też i takie rzeczy, na przykład, kazano znieść do sołtysa żarna do mielenia, kto chciał hodować świnie - był obowiązek zgłaszania do władz pod odpowiedzialnością karną. Wyznaczono rolnikom kontyngenty zbożowe, mleczne i mięsne, które rolnicy musieli oddawać władzom niemieckim. Było to ogromne obciążenie. Za zdawane produkty rolne rolnicy otrzymywali skromne pieniądze, ale za to przydzielali dużo wódki, którą później nazywano kontygentówką. Była to tendencyjna robota Niemców, aby rozpić polskie społeczeństwo i to pozostało do dzisiaj. Zaczęły się łapanki do Niemiec, wykorzystywano do tego celu strażaków, którzy zdezorientowani pod strachem brali udział w tych łapankach. Bukowscy strażacy też brali udział, co gorsze, do tych łapanek przyłączali się ci mężczyźni, którzy nigdy strażakami nie byli.

Wiosną 1940 r. zgłosiło się kierownictwo regulacji rzeki Bukowa. Kierownikiem tej budowy był Tadeusz Bas, oraz Kiciński (imienia nie pamiętam) i zaczęli organizować pracę. Jako byłego pracownika melioracji zaangażowano mnie. Później przyjechali Niemcy i zaczęli organizować obóz pracy. U Jargieły Wojciecha był po-

stawiony duży zrąb na dom i zdecydowali, że to będzie na obóz w domu Jargieło Jana (w nowym domu, ten co jeszcze obecnie jest) zorganizowali komendę, a mieszkańcy tego domu musieli się przenieść do starej chałupy, która jeszcze stała. Plac wokół tego domu ogrodzili drutem kolczastym, postawili kuchnię oraz w części, która była blisko tego domu w komorze przygotowali łaźnię. Komenda składała się z trzech Niemców, komendantem był Niemiec polskiego pochodzenia, student Politechniki Warszawskiej o nazwisku Pecelt oraz dwóch warszawiaków, też Niemców polskiego pochodzenia o nazwisku Ginter, drugiego nazwiska nie mogę sobie przypomnieć. Komendant był młody, energiczny, natomiast Ginter był bardzo porządnym człowiekiem, nikomu nie powiedział złego słowa, ale ten drugi był niedobry, wymyślał różne musztry i przeganiał Żydów.

Teraz, kiedy obóz był przygotowany, to nagnali do obozu Żydów z Tarnobrodu, Biłgoraja, Frampola i innych miejscowości oraz rolników polskich i Ukraińców za nieoddawanie kontyngentów. Była to spora grupa ludzi, którzy pracowali przy kopaniu rzeki. Kierownictwo główne tzw. Wydział Urządzeń Wodnych był w Zamościu na czele którego stał kierownik o nazwisku Momot, zaś przy powiecie w Biłgoraju kierownikiem był Marchwiany, w Bukowej kierownikiem budowy był Baś, jak już wyżej wspomniałem. Pan Kiciński, który pracował tu pod innym nazwiskiem, jak się później okazało, był kapitanem marynarki wojennej, zresztą całe kierownictwo budowy rzeki, byli to ludzie prześladowani przez Niemców, a których to przeznaczono do pracy z innych terenów. Ja natomiast pracowałem z więźniami jako dozorca techniczny. Do moich obowiązków należało pilnowanie nachylenia skarpy przy pomocy tzw. szablonu, było to urządzenie dosyć ciężkie, belka 8 x 8 cm z wmontowaną krokiewką i przy pomocy wasserwagi (poziomicy) ustalano nachylenie skarpy. Moim obowiązkiem było również mierzenie głębokości rzeki oraz szerokości dna i góry rzeki. Kierownik brał mnie też do niwelacji, do tyczenia trasy łuków oraz ustalania szerokości rzeki na podstawie niwelatora. Pracy było dużo, gdy więźniowie kopali rzekę, głównie natomiast boczne rowy kopali i zarabiali mieszkańcy wsi, gdyż na te cele nie brakowało pieniędzy. Warunki

w obozie były trudne, ale nikt nie został zabity z wyjątkiem jednego przypadku.

Zawsze pozostawiano w kuchni 8 osób w celu przygotowania posiłków. Tego nieszczęsnego dnia też było zostawione 8 osób i odpowiedzialnym za tę grupę był niejaki Granda (prawdopodobnie Ukrainiec) i w tym dniu z tej grupy uciekło 2 osoby. Kiedy komendant dowiedział się o tym, zaczął się wściekać, podobno był pijany, pomagał mu w tym polski policjant nazwiskiem Pielak, który też był pijany. Zaczęło się niedobrze dziać. Nie wiem, czy ktoś zawiadomił naszą nauczycielkę czy sama może była na komendzie, bardzo prosiła komendanta żeby dał spokój, ale nic nie pomogło. Według wypowiedzi pani Heleny Gadzińskiej komendant Pecelt i policjant Pielak byli tak rozwścieczeni, że nikogo nie dopuszczali do siebie, nawet najlepszych znajomych. Byłem wówczas u Jargielów i z panią Gadzińską schowaliśmy się za oborami Jargieło Wojciecha w ogródku w dużych chwastach. Nie mieliśmy dobrze wglądu, gdyż zasłaniały nam duże zielska. Jednak słyszeliśmy krzyki tych 2 Niemców i policjanta. Wreszcie zauważyliśmy, że skazany Granda idzie w kierunku rzeki, po odejściu od zabudowań może 20-30 m pada strzał, a Granda pada na ziemię. Od razu więźniowie przynoszą go do furmanki, która stale była przy komendzie i szybko odjechali z rannym do szpitala w Biłgoraju. Niestety strzał był trafny i pan Granda zmarł w drodze do szpitala. To był jedyny wypadek w obozie w Bukowej, że Niemcy zabili człowieka. A ponadto, nie wiadomo, kto do tego człowieka strzelił Niemiec czy polski policjant, ale wszystko przemawiało, że strzelił policjant, gdyż był bardzo rozwścieczony i pijany, a poza tym był odpowiedzialny za ludzi, którzy pozostawali do przygotowania posiłków.

Po naradzie w Kierownictwie Robót Wodnych w Bukowej przydzielony byłem do zadań technicznych tzn. tyczenia trasy, rozbiwania szerokości oraz nadzoru nad wykonaniem rowów w polu, których było bardzo dużo, gdzie pracowali zarobkowo mieszkańcy wsi Bukowa i Andrzejówka. Do pracy przyszedł Władysław Malec z Andrzejówki, podoficer zawodowy Wojska Polskiego. Nastąpiły również zmiany w kierownictwie robót, pan Baś poszedł do Goraja, gdzie też regulowano rzekę Łada. Natomiast był pracownik o nazwisku Rydel (na pewno nazwisko przybrane), który poszedł

do Kaproni na kierownika, gdzie też regulowano rzekę Bukowa. Był tam też obóz pracy, ale nie wiem, czy tam byli Niemcy czy polscy policjanci. Były również zmiany w komendzie obozu w Bukowej. Według niesprawdzonych informacji, ale wiadomości krążyły, że komendant Pecelt był powiązany z Polskim Ruchem Oporu i Niemcy wysłali go na front wschodni, zabrali też tych Niemców, którzy byli od początku. Komendantów niemieckich było chyba trzech.

Zawsze na komendanta byli przysyłani trochę poważniejsi ludzie natomiast do pomocy przysyłani byli młodzi ludzie 18-20 lat, byli to Polacy niemieckiego pochodzenia z okolic Chełma i Zamościa. Mieli polskie mundury pomalowane na czarno, nie stanowili oni zagrożenia, ale mieli dziecinne rozумы i mogliby zrobić różne głupstwa.

Do pracy chodziłem w butach saperkach wojskowych, kiedy zobaczyli u mnie te buty, to chcieli mi je zabrać, gdyż mówili, że wszystkie wojskowe rzeczy po armii polskiej należą się im i musiałem schować, bałem się, żeby do domu nie przyszli bo u nich wszystko było możliwe. W obozie byli do pilnowania policjanci żydowscy, było ich chyba 2 - ch, którzy podlegali komendzie. Było później dowództwo żydowskie i tworzyli go Żydzi, 2-ch było z Czechosłowacji i 1 z Niemiec. Byli to bardzo uczeni ludzie. Jeden z nich miał tytuł doktora medycyny, nazywał się Szulc. Pracował w biurze melioracyjnym, byli wszyscy porządnymi ludźmi. Z tymi dwoma Czechami można się było dogadywać po polsku, mieszkali nie w obozie a w starym domu u Jargielów. Kiedy niemiecką komendę zlikwidowano, rodzina Jargielów przeniosła się do nowego domu. Bardzo często kierownik szkoły Szajner, pani Gadzińska i ja chodziliśmy do nich na rozmowy. Byli bardzo patriotyczni w stosunku do swojej czeskiej ojczyzny. Śpiewaliśmy razem pieśni patriotyczne oraz hymny państwowe. W czasie śpiewania hymnów wszyscy śpiewaliśmy na stojąco. Bardzo piękne mieli głosy i ładnie śpiewali. Przynosiliśmy im trochę żywności, głównie ziemniaki i kaszę, chętnie przyjmowali, bo nie bardzo mieli co jeść. Pewnego razu doktor Szulc poprosił mnie, żebym pojechał do Biłgoraja na dworzec kolejowy i kupił rozkład jazdy pociągów, a więc pojecha-

łem i kupiłem im ten rozkład. Za to podarował mi takie szczypce, prawdopodobnie było to narzędzie lekarskie, ale ja nie wiedziałem do czego to jest. Za jakieś parę dni przyszliśmy ich odwiedzić, nie zastaliśmy ich w domu, wyjechali w niewiadomym kierunku. Na pewno pojechali do domu, gdyż do tego potrzebny był rozkład jazdy, czy dojechali, Bóg raczy wiedzieć.

Na wiosnę 1942 r. obóz został zlikwidowany. Więźniów Żydów przeniesiono do obozu pracy w kamieniołomach i tam ich prawdopodobnie wykończono. Prace przy regulacji trwały dalej. Ludzie miejscowi mieli pracę i parę groszy zarabiali. Do darniowania skarp przyjechało 4 fachowców z Zamościa, którzy zakładali płotki i darniowali skarpy. Roboty było pod dostatkiem.

Rozdział IV

Okupacja i moja działalność w ruchu oporu

Powoli docierały do mnie informacje, że działa i tworzy się jakaś armia podziemna, jakiś ruch oporu. Nie zdawałem sobie dokładnie sprawy, ale docierała do mnie świadomość, że coś się dzieje wśród starszych mężczyzn, najbardziej wojskowych. Pierwszą osobą był Adam Dziduch, który wyjaśnił mi, że tworzy się armia podziemna przeciwko okupantowi i jako młody człowiek powinienem należeć do tej organizacji, która jest ściśle tajna i pod żadnym pozorem nawet najbliższej osobie jak ojciec i matka nie można nic powiedzieć. Ponieważ, jeżeliby się dowiedzieli Niemcy, czeka z miejsca kara śmierci łącznie z rodziną i sąsiedztwem, że to jest ogromna odpowiedzialność.

Wbrew temu co mogłoby mnie spotkać wyraziłem zgodę na przynależność do ruchu oporu pod nazwą Związek Walki Zbrojnej ZWZ. Adam Dziduch stwierdził, że jest w Bukowej placówka i dowódcą tej placówki jest kierownik szkoły Florian Szajner, a on jest jego zastępcą i obrał sobie pseudonim „Wierzbowski”. Wyznaczono termin złożenia przysięgi, którą wraz z innymi kolegami złożyliśmy w lesie na górach, za „Kozinówką”, tak nazywa się to bagno za którym są duże pagórki. Przysięgę złożyliśmy przed porucznikiem Janem Zaporą ps. „Wicher” w obecności Adama Dziducha, F. Szajnera i wielu innych kolegów już wcześniej zaprzysiężonych. Zaczęła się działalność w ruchu oporu, w której przybrałem pseudonim „Mewa”. Jak się później dowiedziałem, ruch oporu ZWZ rozpoczął działalność po zakończeniu działań wojennych od końca 1939 i 1940 r. Czym więcej Niemcy stosowali represji, tym szybciej wzrastały szeregi organizacji podziemnej.

W początkowej fazie należało szukać broni i amunicji, ale z tym nie było kłopotu, ludzie mieli tego pod dostatkiem (amunicji), broni też było dużo, ale zgłaszali się ludzie z różnych okolic i każdą broń wykupywali. Ja po złożonej przysiędze miałem broń tzn. karabin znaleziony w rowie, jak wcześniej wspomniałem, i byłem tak jakby uzbrojony. Wszyscy członkowie należący do ruchu oporu posiadali

broń i amunicję na wszelki wypadek, natomiast na placówce nie było broni maszynowej. Adam Dziduch, zastępca komendanta, postarał się o RKM ale bez lufy. Dobrze się złożyło gdyż ja miałem 3 nowiutkie. Ten RKM był tak zardzewiały, że musieliśmy cały rozebrać i wszystko wyczyścić i złożyć, przyniosłem nowe lufy, z których jedną wkręcono do RKM-u a pozostałe 2 przekazano na potrzeby do innych placówek. Próba tego RKM-u odbyła się w lesie wieczorem pod wielkim bagnem, strzelał jak nowy. Potrzeba było dobrej amunicji, gdyż ta, która była, nie była dobra, było dużo amunicji zepsutej. Dowiedzieliśmy się, że u Marca Adama stoi przy drodze duży dąb, na którym był zawieszony dużych rozmiarów wabik na pszczoły na wysokości do 5 m. Adam Dziduch zorganizował cztery osoby i poszliśmy do tego wabika. Małysza Adam (Kulasza) szybko wdrapał się do tego wabika, zerwał dno, z którego wysypało się na ziemię bardzo dużo dobrej amunicji. Po sprawdzeniu okazało się, że amunicja była dobrze przechowana, przeznaczona specjalnie do RKM-u. Ponieważ w Andrzejówce były prowadzone prace melioracyjne rowów na polach, które ja nadzorowałem, miałem dobry kontakt z ludźmi z ruchu oporu, gdzie była tam też placówka, której komendantem był Władysław Malec oficer zawodowy oraz zastępca Malec Antoni.

Kolportowałem prasę podziemną, którą nosiłem do Andrzejówki lub przynosiłem. Prasa podziemna była rozchwytywana przez członków ruchu oporu, były w niej opisane sytuacje na frontach oraz sytuacja w Polsce i innych krajach okupowanych przez Niemców. Prasa ta bardzo podtrzymywała ludzi na duchu i ludzie żywili nadzieję, że zwycięstwo nadejdzie, że będziemy wolni. Placówka w Bukowej utrzymywała kontakty z placówką w Andrzejówce, Ujściu, Ciosmach oraz w Korytkowie. W Ujściu komendantem placówki był kierownik szkoły o nazwisku Grudzień, który bardzo często odwiedzał naszego kierownika Szajnera. Coraz częściej pojawiały się oddziały partyzantki polskiej.

Za Szewcami stacjonował oddział partyzancki pod ps. „Ojca Jana”, z którym dowódcy placówek utrzymywali kontakty i przekazywali im potrzebne informacje. Organizowane były w porze nocnej ćwiczenia razem z placówką w Andrzejówce. Dowódcy zapoznawali młodych członków ruchu oporu z warunkami bojowymi, jak się

zachować w czasie walki, która mogła nastąpić w obronie przed Niemcami. W Korytkowie Dużym był tartak, którego kierownikiem był pan Kiszczak, który był dowódcą placówki. Pracował również oficer o nazwisku Homa. Utrzymywałem kontakty z por. Homą, z którym zapoznał mnie pan Szajner. Pan Homa pełnił jakąś wyższą funkcję w ruchu oporu, ale pewnie ogólnych członków nie zapoznawali z tą funkcją. Kiedy pan Homa poprosił mnie do siebie (mieszkanie w Korytkowie) i zaproponował stanowisko dowódcy drużyny w Bukowej w skład której wchodziło 8 osób, powiedziałem, że nie służyłem w wojsku i nie nadaję się na takie stanowisko. Powiedział mi, że mnie przeszkoli, a innego dowódcy drużyny nie widzi. Byłem kilka razy u niego w domu, przygotowywał mnie wojskowo i po takim kilkudniowym przeszkoleniu objąłem dowództwo nad drużyną składającą się z 8 osób.

Wszelkie ćwiczenia wojskowe prowadził Adam Dwiduch, kapral z wojska, pod okiem por. Szajnera. Pod koniec 1942 r. pojawił się w Bukowej nowy dowódca (chyba znał całą gminę) o nazwisku Jan Zapora ps. „Wicher”. W szkole przebywał na stałe pan Jan Zielonka, było to nazwisko przybrane, właściwie nazywał się Dominik Szajner, bliski kuzyn Floriana Szajnera, zawodowy porucznik, pilot lotnictwa. Jan Zielonka ukrywał się w Bukowej, pochodził z Zamościa, był tam członkiem ruchu oporu i pracował w jakimś urzędzie. Organizacja podziemna zleciła mu zdobycie z sejfu Gestapo w Zamościu planów wysiedlenia Zamojszczyzny. Akcja się udała i ruch podziemny wiedział w jakim czasie poszczególne wioski będą wysiedlane. Niemcy zorientowali się, że coś jest nie tak, gdzie tylko pojechali wysiedlać, nie było ludzi, gdyż organizacja informowała ludność o wysiedleniach. Niemcy zaczęli węszyć, że ktoś wiedział o ich planach. Pan Dominik Szajner musiał się ukrywać pod innym nazwiskiem i mieszkał w Bukowej do czasu wyzwolenia. Prowadził działalność w ruchu oporu jako oficer wywiadu i bardzo często przebywał w oddziale leśnym stacjonującym w lesie pod „Błogim Bagnem”, którego dowódcą był porucznik „Lanca”.

W miarę zwiększania się działalności partyzantki polskiej i radzieckiej zwiększały się również represje ze strony Niemców. Doszło do takiej sytuacji, że Niemcy mogli dojechać do wsi tylko w dużych grupach w obawie, że w każdej chwili mogli się spotkać z dużym

oddziałem partyzanckim.

Coraz częściej pojawiały się oddziały partyzantki radzieckiej. Prasa podziemna podawała stoczone walki oddziałów partyzanckich z wojskami niemieckimi, to nas budowało, a jednocześnie były obawy, że władze niemieckie będą prowadzić walkę bezpardonową w celu zwalczania tych oddziałów. Do takiej akcji na większą skalę doszło w 1943 r. Niemcy zorganizowali dużą ilość wojska i zrobili obławę na tereny lasów Puszczy Solskiej i Janowskich.

Wówczas, jak pamiętam, Niemcy wyszli tyralierą z lasu od strony Władysławowa, było to około godz. 1-ej po południu. Oddziały szły spokojnie, powoli, wydawało się, że nic nie będzie, jednak mężczyźni pochowali się gdzie kto mógł. Ja prawie w ostatniej chwili schowałem się w drwalce u stryja Adama Malca, po prostu stryjna zmusiła mnie abym się schował i to mnie uratowało, że mnie nie zabrali. W czasie tej akcji zabrali mojego brata Józefa a mógł tego uniknąć.

Schował się do piwnicy i kiedy już zrobiło się cicho, wydawało mu się, że Niemcy już przeszli, tylko co wyszedł z dołu Niemcy byli blisko i zabrali go i wywieźli do Niemiec. Bardzo dużo mężczyzn Niemcy zabrali ze wsi Ciosmy, Dąbrowica i ze wszystkich wiosek na południowej stronie powiatu. Rozsyłali do różnych obozów jak Zwierzyniec, Majdanek koło Lublina, Budzyń koło Kraśnika oraz wiele innych, które były rozsiane po całej Polsce. Po 2-3 tygodniach wywozili tych ludzi do prac przymusowych w tzw. III Rzeszy.

Był rok 1943, w dalszym ciągu pracowałem przy melioracji, ludzie z Andrzejówki i Bukowej pracowali jedni przy wykopie rowów, inni przy robieniu kołków z faszyny na mocowanie i zabezpieczenie skarp. Roboty było bardzo dużo, ja nadzorowałem odcinek rzeki do Andrzejówki, odcinek od Andrzejówki nadzorował Mалеc Władysław z Andrzejówki, natomiast w biurze pracował jako kierownik Jerzy Tyzenhaus oraz sekretarz Jan Zielonka, pracował również Czajka z wojska w stopniu sierżanta.

Pewnego dnia w porze południowej wracałem do domu ponad rzeką. Na wysokości domu Adama Dziducha zobaczyłem, że idzie kierownik Tyzenhaus w moim kierunku. Kiedy był bliżej zauważyłem, że idzie bardzo szybko, kiedy doszedł do mnie był strasznie zmieniony, zdenerwowany, mówi mi tylko żebym szybko szedł za

nim. W pewnym momencie zatrzymał się i powiedział mi, że dzisiaj rano było u niego w domu gestapo i że będzie łącznik z Biłgoraja i jak spotkam człowieka z czarnymi wąsami i powie, że jest od „Wyżła” mam go z nim skontaktować. I tak się stało, idąc z pracy do domu wieczorem zobaczyłem, że ode wsi idzie jakiś mężczyzna właśnie z czarnymi wąsami i kiedy doszedł do mnie powiedział, że jest od „Wyżła”, wiedziałem z kim mam do czynienia, zaprowadziłem go do Myszaka Franciszka, mego wuja, bo tam się chwilowo zatrzymał. Ja natomiast wróciłem do domu. Rano na drugi dzień odbyła się narada dowódców Szajnera, Jana Zielonki, Adama Dzikucha, był też Jerzy Tyzenhans. Na tę naradę proszony byłem też i ja. Narada odbyła się w lesie za Małkowym polem naprzeciw szkoły. Na tej naradzie ustalono, że ja mam się udać do Łubiarza do Biłgoraja, furmana, który miał konie służbowe dla celów melioracyjnych.

Łubiarz mieszkał w pobliżu mieszkania w którym mieszkał ojciec Jerzego Tyzenhausa, miał dwie córki. Właśnie furman Łubiarz zawiadomił Tyzenhausa, że było po niego gestapo. Pan Tyzenhaus mieszkał z żoną w domu mojej obecnej żony, w którym również było biuro melioracyjne. Więc, jak wyżej wspomniałem, miałem się udać do p. Łubiarza, który przywoła którąś z siostr do mnie. Ja siostrze miałem wytłumaczyć, że za dranką w szupce na drzewo są 2 dokumenty podpisane in blanco z pieczęciami niemieckimi i żeby jeden z tych dokumentów spalić, a drugi ja mam przywieźć. Szopa była obita drankami, jedna, za którą były dowody była znaczna, posiadała taką dużą łatę żywiczną i tam właśnie były te dowody. Zakazano mi również, żebym pod żadnym pozorem nie wchodził na podwórko lub do tego domu, gdyż budynek jest pod obserwacją gestapo, gdyż po przeciwnej stronie stacjonowały wojska niemieckie i też było gestapo. Z kolei powiedziano mi, że te dokumenty muszę przynieść. Na drugi dzień po naradzie udałem się do p. Łubiarza, który zawiadomił siostrę by przyszła. Kiedy przyszła, wytłumaczyłem jej co zrobić i za jaką dranką znajdują się dowody, które ma przynieść. Niestety, za jakiś czas przyszła i powiedziała, że tych dokumentów nie znalazła, gdyż tak jakby tej dranki nie rozpoznała. W tej sytuacji, choć było niebezpiecznie zdecydowałem, że pójdę

sam. I poszedłem, tyle, że wszedłem na podwórze i spojrzałem na tę szupkę, zaraz zauważyłem tę deskę (drankę), sięgnąłem ręką i wyciągnąłem 2 dowody, jeden kazałem spalić, a drugi siostra przyniosła w szafliku pod ziemniakami. Wszyto mi dowód w marynarce na ramieniu i szczęśliwie przyniosłem i oddałem p. Szajnerowi, który mu doręczył. Za dwa dni dostałem rozkaz do odprowadzenia pana Tyzenhausa do punktu kontaktowego w domu P. Bednarskiego, nie daleko, prawie w sąsiedztwie kościoła w Hucie Krzeszowskiej. Podróż odbyła się bez zakłóceń. Bednarski przyjął nas bardzo mile. Zostawiłem Tyzenhausa a sam wróciłem do domu.

Za parę dni ta sama historia z żoną Tyzenhausa, musiałem ją odprowadzić tak samo do p. Bednarskiego do Huty. Szczęśliwie wróciłem do domu, a kiedy byłem akurat na Ryczkowym Wygonie dała się słyszeć ogromna kanonada karabinów maszynowych i trwało to około 15-20 min. Jak się okazało później, partyzanci wracali z Ukrainy i wieźli na kilku furmankach zboże dla koni. Kiedy przejeżdżali przez szosę pod Solą prawdopodobnie rozbili jeden czy kilka samochodów. Niemcy wszczęli pościg za partyzantką. Było niebezpiecznie, gdyż jeden worek był dziurawy, owies sypał się i ułatwiał Niemcom pościg. Partyzanci musieli się zorientować, że jest pościg i w pewnym miejscu w lesie między Bukową a Hutą Podgórną gdzie droga biegła między bagnami, partyzanci ukryli się i kiedy szli w odpowiednim miejscu otworzyli ogień krzyżowy do Niemców. Niemcy nie mieli czasu otworzyć ognia i zostali prawie wszyscy wybici. W pościgu brało udział prawdopodobnie 78 Niemców, powróciło 16 lub 17. Ci, którzy ocalili, bez czapek kręcili się na drugi dzień po lesie. Gdybym wracał od P. Bednarskiego później o pół godziny, to było mnie to spotkało w lesie, gdyż to, co się zdarzyło było przy tej drodze, którą wracałem po odprowadzeniu żony Tyzenhausa.

W czasie I akcji niemieckiej w 1943 r. w tym domu lub na podwórku wydarzyło się jeszcze to: Otóż, kiedy Niemcy zbliżali się do wsi, każdy chował się gdzie mógł, w piwnicy, która była pod domem, pod podłogą w sieni. W piwnicy tej schowało się kilku mężczyzn, w tym gospodarz domu, mój teść Bartek, Jan Zielonka oraz Tadeusz Tutka. Na podwórku u Małyszki, tak ich nazywano, były zgromadzone taczki po obozie. Niemcy kiedy zatrzymali się

na noc, od razu zaczęli się zagospodarowywać. Rozbierali taczki, każdy w swoją stronę. Kiedy Zielonka dowiedział się, że taczki Niemcy rozbierają, przypomniał sobie, że w taczkach leży jego pistolet „Colt”, zamiast ostrożnie wyczuć czy jest ktoś ze swoich, napisał kartkę, że w taczkach jest pistolet i żeby go stamtąd wynieść. Kartkę podał przez szparę w podłodze i kartka wirowała zanim ja dostrzegli domownicy, a przecież Niemcy chodzili bardzo często po domach. Pierwsza zajęła się bronią moja żona, wówczas panienka, znalazła pistolet w taczkach, przyniosła go do obory, a z obory matka żony wyniosła w bagno i wdeptała w błoto. Proszę pomyśleć co by się stało gdyby tę kartkę znaleźli Niemcy. Pozabijaliby tych co siedzieli w piwnicy, spalili dom a nawet i sąsiadów. Wyglądało na to jakby ludzie niby dojrżeli nie zdawali sobie sprawy.

Drugi przypadek też w tym domu, pan Zielonka tam urzędował i przed akcją miał jakieś mapy i dokumenty organizacyjne, które zakręcili w snopki i wyrzucili na górę do innych snopków. Trzeba było trafu, że Niemcy brali słomę na spanie i natrafili na ten snopek. To szczęście od Boga, że była nauczycielka H. Gadzińska, która znała bardzo dobrze język niemiecki, zaczęła Niemcom tłumaczyć, że tu była szkoła (bo tak było) i to są mapy szkolne, zagałała ich i odstąpili od tych map. Wszyscy cierpli ze strachu, co by się wydarzyło, gdyby Niemcy rozszyfrowali te mapy. Przypomnę jeszcze, że pan Zielonka pracował w ruchu oporu na tym terenie jako wywiadowca i te mapy były niebezpieczne.

Z dużo gorszymi skutkami przebiegła druga akcja przeciwko partyzantom w czerwcu 1944 r. Wszyscy wiedzieli, że front radziecki się zbliża, prasa podziemna donosiła o wielkim zwycięstwie Armii Radzieckiej nad Niemcami. W lesie było coraz więcej partyzantki radzieckiej, która dokonywała różnych sabotaży, które poważnie utrudniały Niemcom prowadzenie frontu. Wobec takiej sytuacji Niemcy postanowili zorganizować dwie akcje przeciwko partyzantom. Mówiło się, że Niemcy coś szykują, kiedy na tydzień przed akcją w początkach czerwca samolot niemiecki rozrzucił ulotki wzywające partyzantów do wyjścia z lasu i poddania się władzom niemieckim. Wówczas było wiadomo, że coś się będzie działo. Nasze dowództwo placówki w Bukowej nie miało żadnych

informacji jak się należy zachować, co dalej robić, zwołano naradę, w której brał udział Adam Dziduch, Florian Szajner oraz Jan Zielonka i ja. Na tej naradzie postanowiono wysłać mnie do Biłgoraja do punktu kontaktowego, który mieścił się w restauracji pana Głęba na miejscu, gdzie obecnie mieści się dom towarowy. Był to nieduży domek drewniany i tam miałem otrzymać informacje i wytyczne co dalej robić. Jednocześnie ostrzeżono mnie, że między Bukową a Dąbrowicą w lesie mogą być barykady, żeby to miejsce z daleka omijać. O ile sobie przypominam, to poszedłem do Biłgoraja w czwartek, bo w niedzielę rano Niemcy już byli w Bukowej. Na drodze w lesie na tzw. Krzyżowych Drogach zauważyłem zawaloną drogę, poćcinane sosny leżą w poprzek drogi i ten teren był na pewno zaminowany, o czym mnie również uprzedzono na tej naradzie. Zgodnie z zaleceniami ominałem tę barykadę idąc bokiem co najmniej 200 m i wyszedłem na drogę jakieś 300 m za barykadą i zobaczyłem ślady butów żołnierskich, które szły od Dąbrowicy prawą stroną drogi, dochodziły do barykady na pewną odległość i drugim bokiem szły w kierunku Dąbrowicy. Ja natychmiast skręciłem w las na przełaj i wyszedłem na koniec wioski Morgi. Przechodząc przez drogę wiejską zauważyłem również ślady butów żołnierskich, co tym bardziej utwierdziło mnie, że Niemcy gdzieś są blisko. Wyszedłem na pole Blachy Józefa, mego kuzyna, a na polu jego syn Franek coś brał z pola na furmankę. Zdziwił się, że ja w takim czasie idę do Biłgoraja. Odradzał mi, żebym nie szedł, gdyż u nich, z kierunku Dąbrowicy idzie ogromna ilość wojska. Zresztą z pola jest widok na te drogi i gołym okiem widzę te oddziały. Ale miałem rozkaz żebym przywiózł jakieś informacje, na które wszyscy czekają. Pełen strachu i obaw mimo to ruszyłem w kierunku Biłgoraja. Na szosie wojsko szło kolumna za kolumną na Frampol i w kierunku Dąbrowicy. Wojsko mi nic nie mówiło, od czasu do czasu któryś z żołnierzy wołał do mnie różnymi imionami. Szybko dotarłem na punkt kontaktowy pana Głęba, którego znałem z widzenia, po wymianie hasła pan Głęb poprosił mnie do pokoju i kiedy powiedziałem o co chodzi, on mi oświadczył, żebym natychmiast wracał do domu i powiadomił wszystkich członków iludzi żeby się chowali gdzie kto może, broń pochować, gdyż na lasy idzie ogromna ilość wojska niemieckiego, nie wiadomo z ja-

kimi zamiarami ale zanoszą się na najgorsze. Natychmiast po rozmowie udałem się do domu tą samą drogą co szedłem do Biłgoraja. Rwałem do domu co miałem siłę, zostawiłem przecież karabin z amunicją w stodole w komorze za drzwiami, po prostu stał oparty o ścianę. Dałem znać do dowództwa placówki o sytuacji, a sam wzięłem się za chowanie broni i też miałem szczęście gdyż zakopałem skrzynkę tam gdzie zamykają wrota na pole. Okazało się, że Niemcy otworzyli wrota i w tym miejscu ustawili namiot, wystarczyłoby, żeby szpilka dotknęła skrzynki. Matka, kiedy zobaczyła, że Niemcy tam stawiają namiot to mdlała ze strachu. Nie miałem kryjówki dla siebie i poprosiłem Karpiaka Józefa żeby mi pozwolił schować się w jego piwnicy, która była pod domem. Zgodził się i w sobotę wieczorem wszedłem do piwnicy, było nas 4 a może 5-u, nie pamiętam, w każdym razie byłem ja, Karpiak Józef, Myszak Wojciech i Małek Wojciech, służący u Kulawego. Jak się później okazało Niemcy podeszli nocą z soboty na niedzielę od strony Dąbrowicy pod wieś Bukowa i okopali się, a rano w niedzielę żona Karpiaka poinformowała nas, że Niemcy idą dużą lawiną do wsi. Wszystko słyszeliśmy, gdyż piwnica była pod kuchnią. Naraz słyszemy ciężkie kroki żołnierskie i po polsku pada pytanie gdzie są chłopcy. I w tej sytuacji było dobre wyjście. Jak wiadomo, Wicek i Stefek Małek byli w niewoli niemieckiej, przysłali listy na specjalnych drukach o specjalnym nadruku w języku niemieckim, że dana osoba pisząca list jest jeńcem wojennym i przebywa w obozie jenieckim. Bardzo dużo osób pobrało te listy i w każdym domu był taki list. Kiedy żona Karpiaka pokazała ten list powiedzieli „gut, gut” i więcej nie pytali o chłopów. Na drugi dzień zaczęli spędzać ludzi i zwierzęta właśnie na podwórko do Karpiaka, był straszny płacz kobiet, ryk bydła, jakiś Niemiec w języku polskim uspokajał kobiety aby nie płakały. Za dwa dni poinformowano nas, że trwają walki w okolicach Momot, dawało się odczuć w piwnicy gdyż od pocisków artyleryjskich i bomb drżała ziemia.

W piątek uspokoiło się trochę, wyszliśmy z piwnicy i uciekliśmy do lasu w okolice „Wodзилугu”. Było to 2,5 km od drogi prowadzącej z Bukowej do Dąbrowicy. Było niebezpiecznie, gdyż wojska niemieckie po stoczonym bitwie na Porytowym Wzgórzu wycofywały się do lasów Puszczy Solskiej, gdzie później stoczyły bitwę

z partyzantami w okolicach Osuch. My natomiast mieliśmy wgląd na Płaksiwą Górę i widzieliśmy że od czasu do czasu przyjeżdżały konne patrole niemieckie. Po przespanej nocy na drugi dzień wycofaliśmy się stamtąd w lasy Nadleśnictwa Kocudza na tzw. góry „Robaki”. Ponieważ miałem lornetkę ze sobą postanowiłem pójść pod pola i zobaczyć co się dzieje we wsi. Gdy przyszedłem pod pole jakieś 100 m gołym okiem było widać jak żołnierze niemieccy kąpali się w rzece. Przestraszyłem się i natychmiast zawróciłem z powrotem. Czasami las mogli kontrolować ale jakoś nie było nikogo.

Wróć jeszcze do sprawy przed akcją dwa tygodnie. Otóż por. Zapora ps. „Wicher” coś wiedział na temat tej akcji, gdyż odbył naradę z wszystkimi członkami i zapowiedział, by wszyscy ze wsi z całym dobytkiem uciekali za szosę, to znaczy do wiosek położonych za Frampolem. Zalecił również, żeby pozostało kilku gospodarzy a przeważnie członkowie ruchu oporu, żeby było co jeść i z tego wynikało, że mieliśmy stawić opór przeciwko Niemcom. Tego dnia na noc prawie wszyscy wyjechali do lasu, co kto miał, brał ze sobą. Członkowie ruchu oporu chodzili oficjalnie z bronią, a nawet ci, którzy nie byli w organizacji broni powyciągali i chodzili z nią oficjalnie. Jedną noc przenocowaliśmy w lesie, ale na następną wszyscy wrócili do domu. Dzięki Bogu, że w tym czasie Niemcy nie przyjechali, gdyby tak, Bóg wie co by było, przecież z takim uzbrojeniem nie mogliśmy podjąć żadnej walki. Przed naszą akcją nawet dowódcy potracili głowy i gdyby ich posłuchano, byłaby to samozagłada. Pan „Wicher” i Szajner chcieli się wyrwać z tego okrążenia w okolicach Karolówki, ale niestety, pierścień okrążenia lasów był zamknięty i natrafili na gniazdo karabinów maszynowych, ledwo co uszli z życiem. Na czas akcji gdzieś się schowali ale nie wiem gdzie i u kogo.

W czasie II akcji niemieckiej w 1944 r. w Bukowej miało miejsce jeszcze takie wydarzenie:

Otóż Niemcy idąc tyralierą w kierunku lasów Kocudzkich w Majdanie (część wsi od Andrzejówki), schodzili z pola na łąkę i pod jednym z nich zapadła się ziemia, wpadł Niemiec do dołka i z bronią gotową do strzału zaczął krzyczeć, żeby ludzie, których tam zauważył, wychodzili z dołu. Może byłoby lepiej, żeby naj-

pierw ludzie wychodzili z tego schronu, oni jednak wypychali swoje szmaty, wówczas Niemiec wrzucił ostry granat do środka, ponieważ pierwszy wychodził Franciszek Karp, na nim się rozerwał granat i zginął na miejscu. Głaz Piotr był poważnie poraniony, ranny, ale niegroźnie, był też Julian Ostrowski oraz Jachosz Bronisław. Głaza Piotra Niemcy doprowadzili do domu Małyszaków, gdzie lekarz lub sanitariusze obandażowali rany i puścili do domu. W/w osoby zrobiły sobie schron, w którym schowanych było czterech mężczyzn tj. Franciszek Karp, Piotr Głaz, Julian Ostrowski i Bronisław Jachosz. Właz był słabo zabezpieczony, położona była tylko darni, ale kto mógł nawet przypuszczać, że Niemiec zapadnie się na tym schronie. W czasie tej akcji zostali znaleźieni w schronie w kupie gałęzi Jargieło Aleksander, Jargieło Franciszek oraz Jan Zygmunt, ze schronu pod stodołą wyciągnęli Jana Jargieło, Malca Feliksa, Bednarza Wojciecha. Myszak Marcin wracał furmanką z Biłgoraja. Żadnego członka ruchu oporu nie aresztowano, natomiast wszystkich aresztowanych trzymali parę dni w Biłgoraju na gestapo, następnie przewieziono do obozu na Majdanku, wszyscy przesiedzieli w Majdanku aż do wyzwolenia. Nikogo nigdzie nie wywieźli, nie mieli czasu, front zbliżał się szybko, wszyscy czekali na wyzwolenie i ono niebawem przyszło, które znowu zamieniło się w okupację, ale o tym później.

Jeszcze jedno wydarzenie: nie wiem na pewno, ale chyba w 1942 r. był pobór do junaków, obowiązywał rocznik 1922, któremu podlegałem. Zgodnie z zarządzeniem władz niemieckich w Bukowej było nas kilku z tego rocznika, ale nie wszyscy byli wezwani. Z Bukowej podlegałem ja, Myszak Wojciech, Małysz Jan (Małyszowski), Jargieło Franciszek, ale jakoś się wymigał. Zgłosiliśmy się na stacji w Biłgoraju, docelowo mieliśmy dojechać do Zwierzyńca, tam była zbiórka z całego biłgorajskiego powiatu. Pierwszy raz jechaliśmy kolejką, kiedy niespodziewanie maszynista dał sygnał, tak nas przestraszył, że gotowi byliśmy wejść pod ziemię, takiego gwizdka nikt nie słyszał. Przyjechaliśmy do Zwierzyńca, zbiórka była przed budynkiem Ordynacji Zamojskiej. Dowódcą tego całego zgrupowania był znany mi Turczyn, gdyż byłem z nim na kursie melioracyjnym. Na stacji kolejowej w Zwierzyńcu pomagaliśmy załadować jakąś maszynę na wagon - platformę, był to

ogromny wał i w czasie pchania po balach na platformę było mało siły, maszyna cofnęła się i rozgniotła palce u jednej nogi Małyszki Janowi tak, że krew wychodziła z butów. Narobił krzyku i dowódca Turczyn zwolnił go do domu i w junakach nie był. Nas natomiast załadowali na wagony towarowe - platformy i wieźli w kierunku na Lublin. Dojechaliśmy na stację Kanie około 10 km od Rejowca w kierunku na Lublin i tam nas rozładowali. Blisko torów pobudowane były baraki i my byliśmy tam umieszczeni. Zorganizowano zbiórkę i podzielono nas na drużyny po 16 osób. Mnie wyznaczono na dowódcę drużyny, byli w niej chłopcy z Bukowej i Andrzejówki, Kocudzy i Dzwoli. Do stacji Rejowiec chodziliśmy pieszo do pracy. Dobudowano drugi tor Lublin-Rejowiec. Czasem udało się pojechać pociągiem, ale rzadko kiedy. Prace nadzorowali tzw. „fortarbijterzy”, nie byli to dobrzy ludzie, za byle co bili chłopaków. Mnie jeden uderzył pałą w plecy, gdy poszedłem do bliskiego domu kupić chleba i mleka. Zauważył mnie i zdążył mnie tylko raz uderzyć bo uciekłem, ale paski u drewniaków popękały, Wojtek Myszak też oberwał. Koleją Lublin - Rejowiec często widzieliśmy transporty uzbrojenia, które Niemcy wieźli na wschód, nawet przewozili samoloty bez skrzydeł oraz duże ilości żołnierzy, a ze wschodu bardzo często żołnierzy z odmrożonymi nogami i rękami, obandażowanymi twarzami. Kiedyś wracaliśmy z pracy z Rejowca i dowódca kompanii Turczyn zatrzymał pociąg na trasie, natychmiast zatrzymał się pociąg a Niemcy myśleli, że może napad na pociąg, wyskoczyli w drzwiach z karabinami do nas, ale szybko dowódca rozumiał po niemiecku, powiedział co to za brygada, zabrali nas i dowieźli do stacji Kanie. Widzieliśmy, że pociąg wiozł żołnierzy niemieckich z frontu z odmrożeniami o których wspominałem wyżej. Jeśli chodzi o nasze umundurowanie były to ubrania robocze granatowe, berety, koszule i też wydawali kalessony oraz obuwie drewniaki, jeżeli chodzi o wyżywienie to było słabe. Na 16-tu dwa bochenki chleba i czasem może 30 dkg kielbasy, na 16 osób nie było czym dzielić, ale każdy dostał po plasterku. Zaraz na drugi dzień chłopak z Kocudzy coś tam ukradł któremuś z junaków, od razu była zbiórka i chłosta za popełniony czyn.

Pracowaliśmy zawsze przy stacji w Rejowcu i pewnego razu semafor zatrzymał pociąg wiozący żołnierzy węgierskich na front.

Wszyscy gapiliśmy się jak pociąg powoli się zatrzymuje, akurat naprzeciwko mnie zatrzymała się kuchnia wojskowa. Kucharz zauważył biednych chłopaków i pokazywał na migi czy nam się chce jeść, pokiwałem głową, że tak. Pokazywał mi, żebym przyniósł jakieś naczynie, ale nie miałem. To on znalazł jakiś worek papierowy, kazał mi trzymać a sam kładł świetnie pachnącą grochówkę. Niestety grochówka była gorąca i papier prawie natychmiast przemókł i grochówka wyleciała na kamienie, trochę zebraliśmy, ale mało było nam i ogromnie żal tej grochówki. W junakach (po niemiecku Baudinet) byłem tylko tydzień. W sobotę poszedłem do dowódcy kompanii Turczyna i poprosiłem o urlop dla mojej drużyny, niechętnie, ale wyraził zgodę, wszyscy wyjechaliśmy na urlop, ale z walizkami. Fortarajter, który nas nadzorował, widział nas na stacji w Rejowcu, że jedziemy z walizkami, ale nic nie mówił. Byli tacy, którzy w ciągu tygodnia pouciekali do domu. Wszyscy z Bukowej, którzy przyjechali na urlop nie wrócili. Baliśmy się, że nas będą chcieli złapać, ale jakoś policja nie przyjeżdżała za nami, natomiast chłopaków z Andrzejówki, Dąbrowicy i innych wiosek wyłapali i musieli do końca przepracować. Ja poszedłem do roboty przy melioracji i pracowałem mając się na baczności, przez pewien czas nie spałem w domu i jakoś przeszło, ale strachu było.

Pragnę nadmienić, że na terenie wsi Bukowa i okolic nic specjalnego się nie działo. Nie przebiegały tędy żadne szlaki komunikacyjne, natomiast sabotaż gospodarczy był dokonywany np. wysadzano w powietrze tartak w Korytkowie oraz spalono zabudowania, wykonali to prawdopodobnie członkowie ruchu oporu z Korytkowa i okolic. W Bukowej zlikwidowano mleczarnię, maszyny jakie były, zostały zniszczone, w lesie na powierzchniach żywczarskich niszczone kubki do których ściekała żywica oraz palono składy żywiczne.

Żywica była ważnym surowcem strategicznym do produkcji amunicji oraz materiałów wybuchowych, stąd też Niemcy przykładali dużo uwagi na dużą produkcję, z kolei partyzanci i członkowie ruchu oporu niszczyli zapasy żywicy, jak już wyżej wspomniałem. Niemcy nie robili odwetu, gdyż o wszystko co się działo, posadzana była radziecka partyzantka. Jeśli chodzi o zniszczenie mleczarni i niszczenie powierzchni żywiczowanych i palenie żywicy, to było

dziełem miejscowego ruchu oporu. Radzieckie oddziały zajmowały się wysadzaniem pociągów i podejmowały wiele ważniejszych akcji, były one świetnie przygotowane i miały dobry sprzęt obronny. Przez Bukowę od czasu do czasu przechodził oddział partyzantki radzieckiej pod nazwą „Oddział Filuka”, dowodził nim dyrektor szkoły z Wołynia. Zawsze wstępowali do szkoły do naszego kierownika Szajnera i po przyjacielsku rozmawiali. Byłem często u kierownika szkoły i kiedyś trafiłem, że oddział ten był w szkole (oddział składał się z 8 ludzi). Dowódca tego oddziału chodził w futrze, które zabrał jakiemuś dziedzicowi, chętnie zamieniłby się na płaszcz (była to późna wiosna) letni, ale nikt takiego nie miał. W czasie tego pobytu nasz kierownik Szajner otrzymał w prezencie od radzieckiego dowódcy oddziału partyzanckiego niemiecki karabin maszynowy „bertman”, chłodzony na powietrze. Niemcy taką właśnie broń nosili, była to broń zdobytą na Niemcach, ale Szajner przekazał tę broń oddziałom polskich partyzantów.

W mojej działalności w ruchu oporu było takie wydarzenie. Było to zima, może 1943 r., pewnego dnia przyszedł do mnie pan „Wicher” i powiedział, że moja drużyna musi wziąć udział w akcji, nie mówił w jakiej. Powiedział, że furmankę sołtys wyznaczy, a my mamy się zgłosić na gajówce Ciosmaka pod Zdzisławicami o oznaczonej godzinie. Pojechało nas 8-u i Adam Dziduch. Po drodze dobieraliśmy amunicję, która była schowana w lesie na górze koło „obrazika”. Kiedy już było ciemno dotarliśmy do gajówki i zobaczyliśmy tam bardzo dużą ilość ludzi. Byli ludzie ze wszystkich placówek z terenu gminy Kocudza. Byli też partyzanci z oddziału leśnego „Lancy”, 5 lub 6 ludzi przebranych w mundury gestapo. Pomyślałem, że coś tu będzie. Podzielono nas na różne grupy, a całością dowodził Jan Zapora „Wicher” bo on tę akcję wymyślił. Ja i Małysza Jan (Małyszowski) byliśmy w jednej grupie i w pewnym momencie wyruszyliśmy z gajówki. Oddział nasz poszedł do Zdzisławic i przy środku wsi udawaliśmy się w kierunku Kocudzy. Pod Kocudzą zobaczyliśmy zielone światło, to znaczy, że można iść. Tylko weszliśmy w zabudowania padła komenda otoczyć mieszkanie. Szybko otoczyliśmy budynek i ci, którzy dobijali się, stwierdzili, że nie ma nikogo. Spokojnie odeszliśmy i udaliśmy się w głąb wsi Kocudzą, gdzieś kawałek za szkołą. I znowu rozkaz

otoczyć budynek mieszkalny. Pamiętam, że ja byłem przy budynku od strony wschodniej, przy mnie było kilka dużych topoli a przy topolach sadzawka może 4 x 4 m. Wiem, że był przewodnik z Kocudzy, gdyż on prowadził do różnych domów, które były podejrzane. I znowu zaczęło się łomotanie do drzwi i do okien i nawoływanie do otwarcia. Nikt się nie odezwał i nikt nie otwierał. Naraz seria z karabinu maszynowego jedna, druga w okna, za jakąś chwilę wybuch granatu w mieszkaniu, który rzucili partyzanci. Ja do odważnych nigdy nie należałem, ale te serie karabinowe i wybuch granatu wywołały taki strach, że nie wiedziałem co ze sobą zrobić. Przyszło mi na myśl żeby się schować za topole, bo zachodziło podejrzenie, że mogą paść strzały z budynku. Uspokoiło się, drzwi zostały otwarte i z daleka widziałem mężczyznę siedzącego na podłodze w sieni. Był to prawdopodobnie rzucony granat zaczepny, który uszkodził nogi, niektórzy mówili, że nogę urwało, ale ja tego nie widziałem, widziałem to, co napisałem wyżej. Partyzanci w mundurach niemieckich wtargnęli i wynosili ubrania, chleb i co tylko spotkali, ładowali na furmanki, które przywiozły partyzantów. Po zakończonej operacji w Kocudzy udaliśmy się do Konstantowa, co mi się nie podobało, że dowódcy bardzo nieumiejętnie prowadzili oddział. W patrol na przedzie oddziału wyznaczili mnie i Małyszę Jana, chłopców młodych, nie służących jeszcze w wojsku, zamiast ludzi, którzy byli w wojsku i wiedzą jak się w tym wypadku zachować. No, ale stało się, nikt nam nie przeszkadzał, doszliśmy w pewne miejsce i znów rozkaz: otoczyć budynek. Był to dom matki, wyrobniczy, bez budynków gospodarczych. Nikogo jednak tam nie spotkano. Zachodziliśmy w głowę kogo się szuka. Niektórzy mówili, że wylapują szpicli niemieckich, ale na pewno nie było wiadomo. Po tym wszystkim, a było to nocą, kazano nam chodzić po domach i zbierać owies dla koni, a nam się chciało jeść, a o tym nikt nie myślał. Chodziłem z Małyszą Janem i prawie nie chciało nam otwierać, wreszcie w pewnym domu zaczęliśmy łomotać, żeby nam dano choć chleba. Po dłuższym dobijaniu słyszymy, że w sieni ktoś jest i tak jakby coś robi. Wreszcie otworzyła kobieta, która nie mogła włożyć nogi w buta. Powiedziliśmy żeby się nie bała, my chcemy tylko, żeby nam dała chleba i mleka bo jesteśmy głodni. Oczywiście dała nam chleba i mleka, ale mleko było takie

gorzkie, że powiedziałem do Janka, że zostawmy to mleko bo nas wołają. Nie chcieliśmy gospodyni robić przykrości, że ma gorzkie mleko. W następnym domu gdzie trafiliśmy, leżał umierający człowiek, a przy nim rodzina, więc się wycofaliśmy. Zaraz po tym oddział wycofał się do Dzwoli. Tam znaleźli jakiegoś bogatego gospodarza, który na suficie ma dużo owsa. Zagnali nas do tego owsa wysypywać i bardzo dużo tego owsa zabrali. Ja natomiast zacząłem szukać Jana Małyszę, był to ranek i spotkałem go u Kłysia w domu, gdzie zajadał słoninę z chlebem grubości piędziowej. Poczęstowano również mnie. Okazało się, że Kłysł rozpoznał Małyszę Jana, że jest z Bukowej. Pan Kłysł budował szkołę w Bukowej, był dobrym cieślą, często przebywał u sołtysa, którym był ojciec Jana Małyszki. Wszystko zostało naładowane na furmanki partyzanckie i około godziny 10.00 udaliśmy się do swoich domów, było bardzo niebezpiecznie gdyż z Dzwoli do Zdzisławic jechaliśmy otwartym polem. Trzeba przyznać, że akcja była przygotowana dobrze i obejmowała Kocudzę począwszy od Frampola do Konstantinowa, łączność telefoniczna była przerwana, drogi zasypane śniegiem, było raczej bezpiecznie.

W czasie tej akcji inna grupa dowodzona przez por. „Wichra” zabrała 1 lub 2 osoby, jedną był podobno niejaki Tyra, który, jak opowiadali, musiał sobie sam dół wykopać, miał to być szpieg, którego zabił prawdopodobnie sam „Wicher”. Po kilku miesiącach dowiedzieliśmy się, że akcja była skierowana przeciwko członkom partii komunistycznej między innymi przeciwko G., który później był I sekretarzem Powiatowego komitetu PZPR oraz jego siostrze, która była działaczką tej partii. Zresztą, we wszystkich domach, które otaczaliśmy, poszukiwani byli członkowie partii komunistycznej. Tam, gdzie był rzucony granat, to był dom G. Po wyzwoleniu, kiedy partia rządziła a G. był I sekretarzem, wiadomo było nie tylko jemu, ale i innym osobom wysoko postawionym, że chłopcy z Bukowej brali udział w akcji. W roku 1943, zdarzyło się, że do Bukowej w nocy zajechał jakiś oddział partyzancki, chodzili po domach oraz roznosili ulotki o treści komunistycznej, piękne hasła o klasie robotniczej, nawet niektórym to się podobało, natomiast nasze dowództwo jakby było prądem porażone. W krótkim czasie spotkałem się z P. Kiszczakiem kierownikiem tartaku w Korytko-

wie, który pełnił jakąś funkcję w ruchu oporu chyba AK, powiedział mi, że jeśli się pojawią podobne grupy partyzantów, żeby natychmiast meldować do niego. Wszystko wydawało mi się dziwne, dlaczego taki niepokój. Później dowiedziałem się, że każde pojawienie się takich oddziałów partyzanckich było zgłaszane do gestapo. Zorientowałem się, nie tylko ja, że toczy się zacięta walka między tymi ugrupowaniami. Jawnym przykładem tego była akcja na członków PPR w Kocudzy, Dzwoli i Konstantynowie. Strzelanie do ludzi seriami do mieszkań, rzucanie granatów, to wszystko zaczęło przerażać. Toczyła się ogromna walka z okupantem, walkę prowadzili wszyscy niezależnie od poglądów politycznych, a tu jak widać toczyła się walka wewnętrzna wśród Polaków, nie mogłem tego zrozumieć.

Niektórzy dowódcy zachowywali się prowokacyjnie np. pan Szajner zawiadomił mnie, że mam jechać z nim oraz „Wichrem” do dworu w Radzięcinie na naradę z wyższym dowódcą na kraj AK. Furmankę wysłał sołtys i z furmanem w 4 osoby jedziemy. Jechaliśmy przez Korytków Mały i naprzeciwko młyna na Budach skręciliśmy z szosy w kierunku Radzięcina, było to może we żniwa, bo dużo ludzi było na polu. W pewnym momencie „Wicher” wyciąga pistolet i strzela do gołębi siedzących na polu. Ludzie zaczęli się zachowywać jakoś dziwnie, ale furman ruszył końmi i szybko odjechaliśmy z tego miejsca. Nie podobało się to również p. Szajnerowi, a ja to byłem zdenerwowany. Przecież Niemcy mogli być we młynie lub na wiosce i mogli dosłyszeć strzały. Dojeżdżając do szosy Dyle - Wola Radzięcka nadleciała eskadra samolotów, pokładaliśmy się w rowie, ale nam nic nie zrobiły. Poleciały do Łady, tam podobno było bombardowanie. Był to taki okres, że Niemcy bombardowali wioski położone w lesie, między innymi bombardowane były Ujście, Kiszki i Szewce.

Zdarzało się, że lecące na niskim pułapie samoloty niemieckie były ostrzeliwane przez partyzantów z karabinów maszynowych. Te miejsca były później przez samoloty omijane.

Do dworu w Radzięcinie dojechaliśmy szczęśliwie. Cały dwór był otoczony gniazdami karabinów maszynowych, w budynkach sąsiednich również były karabiny maszynowe. Rzeczywiście, na tej naradzie był wysoki funkcjonariusz AK, narada trwała około

3-4 godz. Wyjechaliśmy z powrotem i jechaliśmy przez Frampol do Korytkowa Małego. Było bardzo niebezpiecznie gdyż mogły nas spotkać samochody. Umówieni byliśmy, że w razie pojawienia się samochodów uciekamy w pole, ale najbardziej furman był narażony, lecz do domu wróciliśmy szczęśliwie gdzieś w nocy.

Organizacja potrzebowała pieniędzy na zakup broni i innego sprzętu do walki. Był taki leśniczy o nazwisku Kuźmiński, który nadzorował lasy w okolicach Korytkowa, był członkiem ruchu oporu. W uzgodnieniu z dowódcami wyznaczono trzech ludzi z naszej placówki żeby napaść na furmankę wiozącą pieniądze z Biłgoraja do poczty we Frampolu. W akcji tej brał udział Małysza Adam (Kulasza), Jargieło Antoni oraz Myszak Jan. Leśniczy chciał ustalić, kiedy pieniądze będą przewożone, napad miał być na Kopinej Górze za Dużym Korytkowem na przeciwko Nadrzecza. Kiedy ustalono dzień, wydano odpowiednie polecenie, że z przodu tej furmanki będzie jechał leśniczy na rowerze i da odpowiedni umówiony sygnał, że furmanka jedzie a ci trzej z bronią mieli wyskoczyć z lasu, unieszkodliwić ochroniarza, który miał broń (ale był umówiony, prawdopodobnie poddałby się zaraz) i zabrać pieniądze. Ale sprawa się nie udała, leśniczy w porę dał umówiony sygnał, wyskoczył pod furmankę, ale dowódca tych trzech Małysza Adam cofnął się i pieniądze pojechały na pocztę do Frampola. Ja w tej akcji nie brałem udziału, ale na drugi dzień opowiadał mi o tym Myszak Jan i Jargieło Antoni. Dużo pieniędzy było ze sprzedaży kołków i faszyny, których trzeba było ogromne ilości, nikt tego nie sprawdzał, a pan Tyzenhaus wystawiał lewe rachunki, które zaufani podpisywali a pieniądze miały być przeznaczone na cele organizacji podziemnej, czy poszły?

Zaraz po akcji, która była w dniach 10-16 czerwca, trwały walki na Porytowym Wzgórzu, w których brało udział ponad 3 tysiące partyzantów polskich i radzieckich. Po kilku dniach walki partyzanci wyszli z okrążenia, w czasie marszu stoczyli bitwę z Kałmykami za Ciosmami przy drodze do Huty. Na tej drodze Niemcy szli kolumną w kierunku do Ciosmów i tu ich partyzanci zaatakowali, bardzo dużo Niemców poległo, a podobno tylko jeden partyzant. Oddziały partyzanckie wycofały się do lasu w okolice Osuch i tam Niemcy przerzucili wojsko, które dokonało likwidacji partyzantki

polskiej. Na ten temat jest wydane dużo książek, np. „Paprocie zakwitły krwią partyzantów” J. Markiewicza, co prawda każda pisze co innego, ale to już inna historia.

Pamiętam jeszcze jedno wydarzenie z lat okupacji, które opowiedział mi p. Jan Zielonka. Jednej niedzieli (w 1943 lub 1944) na wiosnę przez Bukowę przejeżdżała furmanka, na której siedziało 3 lub 4 partyzantów z bronią, wieźli księdza z parafii Trzęsiny. Za furmanką gnano również krowę, to znaczy zabrali księdza z całym dobytkiem. Jaka była przyczyna? Partyzanci z oddziału „Lancy” złapali niemieckiego szpiega, który w wyniku przesłuchania przez pana Zielonkę, powiedział, że współpracował z nim ks. z Trzęsin. Wobec takiego oskarżenia partyzanci zabrali księdza podejrzanego o współpracę z Niemcami. Po przewiezieniu ksiądz został przekazany Janowi Zielonce w celu przesłuchania go jako winnego współpracy z Niemcami. Ksiądz w czasie przesłuchania powiedział, że jest niewinny, że o niczym takim nie wie, ale żadnych argumentów, które by go broniły nie miał, stał się tak jakby bezbronny wobec tak poważnego oskarżenia, które groziło śmiercią.

Według opowiadania Jana Zielonki, tylko jego rozwaga i spokój w czasie przesłuchania księdza spowodowało to, że ksiądz właściwie jest niewinny. Spokój księdza upewniał przesłuchującego, że coś tu jest nie tak, że ktoś tu kłamie. Kiedy tego szpiega wzięto w karby powiedział, że ksiądz jest niewinny, a powiedział tak dlatego, że ksiądz jest współpracownikiem Niemców, gdyż zdawał sobie sprawę, że czeka go wyrok śmierci i chciał być u spowiedzi u księdza. Po wyjaśnieniu tej sprawy ksiądz wyspowiadał tego szpiega, który tego samego dnia został rozstrzelany. Pan Zielonka był jakby przejęty tą sprawą, kiedy mi to opowiadał, bo jakby przesłuchiwał pochopnie, bez rozwagi i zastanowienia się, ksiądz niewinnie otrzymałby wyrok śmierci. Prawdopodobnie ten ksiądz jest jeszcze w Trzęsinach, ale nie znam jego nazwiska. Kiedy wieźli tego księdza, widziałem go osobiście gdyż wieziono go w dzień i akurat byłem na drodze przed sklepem Myszaka Wojciecha, gdzie furmanka na chwilę się zatrzymała. Bardzo dużo ludzi obserwowało to wydarzenie. I wszyscy dopytywali się co to się stało, że wiozą partyzanci księdza i prowadzą krowę. Ksiądz został zwolniony i powrócił do swojej parafii. O szczegółach tej sprawy dowiedziałem

się od Zielonki. Jan Zielonka po wyzwoleniu wyjechał w nieznaną, ale jak się później okazało, zatrudnił się w jakimś przedsiębiorstwie transportowym w Lublinie. W czasie tego roku, dokładnie nie pamiętam w którym, odwiedzał znajomych w Bukowej, był też u mnie. A w czasie późniejszym przeniósł się do Warszawy. W roku 1995 lub 1996 przyjechał do mnie z prośbą o informacje, gdzie może być dowódca placówki w Ujściu z czasów okupacji tj. pan Grudzień, kierownik szkoły w Ujściu. Chodziło mu o to, że dokumenty z przesłuchania tego księdza z Trzęsin dał do przechowania panu Grudniowi i chciał je teraz odzyskać. Grudzień ożenił się z panną z Ujścia i po wyzwoleniu wyjechał w Kieleckie. Nie jest mi wiadomo czy odzyskał te dokumenty, ale kontakt z nim nawiązał. J. Zielonka mieszkał w Warszawie na Mokotowie, mieszkał w pobliżu dowódcy oddziału partyzanckiego por. „Lancy”, ale jak twierdził Zielonka, nie życzył sobie z nikim kontaktów, nawet z ludźmi, którzy byli w jego oddziale.

Na tym wydarzeniu kończę swoje wspomnienia z lat młodości i okupacji aż do wyzwolenia przez Armię Radziecką, która również stała się okupacją, ale te już zaplanowali i wykonali nasi sojusznicy z Zachodu, którzy wyznaczyli granice wpływów radzieckich w Jańcie i Poczdamie, bez udziału Polaków, i stało się to, co było przez 45 lat, Naród Polski był ciemiężony przez wroga Nr II Związek Radziecki.

Rozdział V

Po „wyzwoleniu”

Opiszę jeszcze krótko o wyzwoleniu, oczywiście to, co ja przeżyłem. Otóż po tych akcjach front zbliżał się coraz bliżej, wieczorem przykładaliśmy ucho do ziemi, słyhać było detonacje, ziemia drżała. Pocieszali się wszyscy, że nadchodzi wolność. Wreszcie pewnego dnia dużo niemieckich samolotów leciało od wschodu na zachód na bardzo niskim pułapie, niektóre ponad ziemią. Okazało się, że Niemcy likwidowali swoje lotnisko pod Zamościem. I nareszcie front już był bezpośrednio blisko i przechodził poza Frampolem wzdłuż drogi Frampol - Janów, Łada, tamtymi stronami, wojska radzieckie przede wszystkim jechały gościńcem janowskim przez Andrzejówkę. Tą drogą wywożono rannych z frontu żołnierzy radzieckich. Był to okres żniwny. Ja osobiście byłem przygotowany do ucieczki do lasu w razie jakby Niemcy przyjechali do wsi. Obserwując drogę do Dąbrowicy koło Blachy pojawił się tuman kurzu. Z początku myślałem, że jadą Niemcy, kiedy przyjechali pod pole, patrzę, a żniwiarze z czapkami w górze lecą do samochodów, żołnierze też witają czapkami, jest radośnie. Ponieważ jechali wygonem ludzie się zbiegli koło nas, a żołnierze, gdy przyjechali do wsi, zeszli z samochodów i przyszli do nas na powitanie, radości i uścisków było dużo. Jeden z żołnierzy jakiś trochę starszy rangą mówi do nas, że ich dowódca jest chory na żywot (brzuch) i jakby była wódka to by się podleczył. Miałem w domu akurat l litr wódki, myślę trzeba im dać pół litra, matka przygotowała sera, przyszło ich kilku i wódki zaraz zabrakło, mówią mi, że jeszcze mało, żebym przyniósł. Na pewno już gdzieś wypili, gdyż po wypiciu u mnie byli już więcej pijani. Pomyślałem, więcej wam nie dam, choć miałem. Poszedłem po wódkę, ale uciekłem i schowałem się w żyto. Kiedy nie wróciłem poszli do stryja Adama Malca, zaczęli strzelać i wystraszyli, wódkę stryj musiał im dać. Pomyślałem sobie, dopiero przed jednym uciekałem teraz przed drugimi. Było dwa samochody i mieli ze sobą działko, nie było nikogo, wszyscy się porozchodzili po wsi. Potem gdzieś przyszedł oddział party-

zantki radzieckiej, dowódca oddziału chciał się widzieć z dowódcą wojskowym. Nie bardzo mógł, gdyż dowódca był pijany, leżał na trawie i wylano wodę z wiadra na niego, dopiero się ocknął. Władza niby stabilizowała się, ale było pełno bałaganu. Zaczęły się napady, ja obawiałem się i nocowałem akurat tej nocy u Jargieły (u Anieli), spałem na chlewie. Okazało się, że tej nocy grupa bandytów z Galicji przyszli do mnie i do Plizgi Antka po karabin. Plizga nie chciał dać, mówił, że nie ma, ale jak go zbili, broń oddał, natomiast mnie w domu nie było, to broń została, naskarżył Adam M.

Pewnego dnia przyjechało NKWD po broń do Adama Dwiducha jako dowódcy placówki, żeby wszyscy członkowie ruchu oporu oddali broń. Zawiadomił wszystkich żeby przygotować broń i amunicję i zanieść do sołtysa Józefa Strzęciwilka. Przyszedł Adam Dwiduch i razem zanieśliśmy parę karabinów ręcznych oraz 1 RKM. Szkoda było nam tej broni, ale ktoś musiał powiedzieć, skoro NKWD przyszło po broń. Pozwolił NKWD-sta, że każdy, który zdawał broń mógł sobie strzelić serię z RKM-u. I tak zakończyła się nasza działalność w ruchu oporu. Z początku był to Związek Walki Zbrojnej, później Armia Krajowa, a na ostatku Bataliony Chłopskie.

Wydarzenia których byłem świadkiem: u Romka Kręczonego (tam gdzie Małysza Stefek i jego ojciec) szykowały się obieraczki z zabawą. Poszedłem na te obieraczki. Przyszło również dwóch oficerów radzieckich. Jeden z nich był wyższy stopniem, natomiast drugi był jakby adiutantem. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Po obieraniu kapusty dano obieraczkom jeść, natomiast tych dwóch Ruskich Romek wziął do komory na wódkę. Kiedy wrócili, zabawa się rozpoczęła, oficer, który już był pijany usiadł na ławce przy oknie, wyciągnął pistolet z kabury i coś zaczął manipulować. Wszystko tańczy a tu naraz pada strzał i na podłogę upada siostra Romka, Stefka. Był ogromny popłoch, wszystko ucieka, którądy może. Ja wyskoczyłem jeszcze z kimś i szybko bieглиśmy do Myszaka Jana, gdyż tam nocowali jacyś oficerowie. Obudziliśmy ich i powiedzieliśmy co zaszło. Szybko się ubrali i strzelając z pistoletu biegli do miejsca wypadku. Okazało się, że ten oficer co strzelił, to uciekł a został się ten adiutant. Strasznie go zbili, zdawało się nam, że go zabiją. Strzał nie był specjalnie groźny, kula przeszła przez łydkę powyżej kolana jakieś 20 cm lub więcej. Obandażo-

waliśmy ją i chyba zawieźli do szpitala, ale czy zaraz czy na drugi dzień tego nie pamiętam. Pocisk nie naruszył kości.

Drugi przypadek, jeden z żołnierzy radzieckich sprzedał Karpiakowi Józefowi płaszcz wojskowy, ile dał nie wiem. Za jakieś pół godziny przyszło ich kilku i zażądali zwrotu płaszcza, wykrzykując przy tym, że jak to można płaszcz kupić od żołnierza. Karpiak, żeby oddał, nic by nie było, ale mu szkoda było (a oni nic nie mówili o zwrocie pieniędzy) wyskoczył z domu i zaczął uciekać w kierunku Obszańskiego, był już prawie w furtce, a któryś z żołnierzy puścił serię z pepeszy i Karniakowi roztrzaskał kostkę u nogi, płaszcz zabrali, a Karpiak do końca życia był kaleką. Takie to było wyzwolenie. Nie koniec na tym, coraz więcej słyszało się o tego rodzaju wypadkach, ludzie byli przestraszeni a wojska było bardzo dużo, gdyż front zatrzymał się na Wiśle i wojsko zajmowało te tereny.

Zaczął się pobór do wojska roczników 1921, 1922, 1923, 1924, ja właśnie podlegałem poborowi. Na pierwszą komisję poborową zgłosiły się wszystkie podległe roczniki, ale po komisji puścili nas do domu. Za 2 miesiące znów komisja, to wtedy mówiono, że będą brać do wojska, 3 tygodnie ćwiczeń i na front. Było trochę strachu. Był jeszcze Jan Zielonka, spotkał mnie w dniu, kiedy szedłem na komisję do Kraśnika, powiedział mi wówczas, żebym wszystko zrobił aby nie pójść do wojska. W drodze niektórzy chłopcy mówili, że 1921 rocznik nie będzie brany do wojska. Pomyślałem i ja tak zrobię, że podam, że jestem z 1921 r., i tak zrobiłem, ale podawałem tak cicho, żeby nikt nie słyszał, ale koledzy stali za mną i słyszeli i Małyśza Jan też podał 1921 rocznik. Wszystko w porządku, przyjechaliśmy do domu. Za jakiś czas, nie pamiętam, może miesiąc może dwa, policjant z Soli Józef Kupczak, który miał kuzynów Bednarzów w Bukowej powiedział, że mu dali znać, że bym sobie uregulował z wojskiem bo będzie źle. Ktoś mnie podkablował. Znowu strach. Ale odważyłem się, pojechałem do powiatu do referatu wojskowego, wytłumaczyłem o co chodzi, nic mi nie mówił, dał mi dokument prostujący moją datę urodzenia i wszystko w porządku. Referat Spraw Wojskowych prowadził pan Kanty, mieszkaniec Puszczy Solskiej. Działo się to wszystko jesienią 1944 r., w roku, w którym brałem ślub. Ponieważ w domu było ubogo zdecydowaliśmy się z żoną, że pojedziemy na Ziemie Odzyskane,

weźmiemy jakąś gospodarkę i będziemy tam pracować.

Z Bukowej wówczas razem jechało nas trzy rodziny. Na Ziemię Odzyskane podróż koleją była za darmo. Wsiedliśmy do pociągu i wio w nieznaną. W Lublinie wysiedliśmy, gdyż trzeba było się przesiąść na pociąg w kierunku na Szczecin. Pociąg miał być podstawiony za kilka godzin. W tym czasie trzech żołnierzy zaczęło kontrolować młodych chłopców, podeszli też i do mnie i zażądali dokumentów wojskowych. Okazało się, że ten dokument był nieważny, brakowało podpisu oraz odpowiednich pieczęci. To był świstek papieru, tylko wypełniony, nic nie znaczący. Od razu zabrali mnie do pokoju na stacji, gdzie było już kilka osób młodych, zamknęli na klucz. Żona jakoś dostała się do mnie i pytała co ma robić. Umówiliśmy się, że ona pojedzie ze znajomymi, uważałem, że mnie puszcza i tam dojadę. Nie pomyślałem, ani żona, ani ja, gdzie to się w ogóle jedzie i do kogo. Ale stało się. Wieczorem podjechał samochód więzienny, wsiedliśmy wszyscy do niego i wieźli nas do miasta. W pewnym momencie zatrzymał się samochód, zgrzytnęły bramy, żelazne zamki, samochód ruszył, za którym zamknięto bramy. Wsiedliśmy i od razu mnie na przesłuchanie, na 4-te piętro. W niedużym pokoju za biurkiem siedziało 2 cywilów, jeden był blondyn, drugi wykapany Żyd. Zaczęło się przesłuchanie, do jakiej organizacji należę, odpowiedziałem Bataliony Chłopskie, a następne pytanie dotyczyło AK, czy byłem w AK, może kogoś znałem z AK, a może słyszałem, że tam ktoś był, cały czas na ten temat. Do niczego się nie przyznałem, że nic nie wiem i nikogo w AK nie znam. Po zakończeniu protokołu odczytał i kazał podpisać. Po podpisaniu jeden z nich zapytał mnie, czy wiem gdzie się znajduję. Odpowiedział mi krótko: znajdujesz się w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Lublinie. Podziękowałem za informacje, ale ciarki mnie przeszły, bo już słyszałem, co ta instytucja znaczy, już krążyły bardzo niedobre wieści co oni robili. Następnie jakiś cywil przyszedł i zaprowadził mnie do piwnicy pod tym budynkiem. Kiedy tam wszedłem było może z 10 osób młodych, przeważnie za broń i inne sprawy. Przed snem była zabawa, to znaczy jeden z więźniów miał zawiązane oczy oraz skręcony ręcznik i prał gdzie popadło.

Po skończonej zabawie krótka modlitwa i spanie na gołych pryczach z desek, nawet nie wiem, czy był jakiś koc czy nie, bo kolacji na pewno nie było. Rano pobudka o 6.00, nie pamiętam co było na śniadanie i czekam co będzie dalej. Około godz. 9.00 przyszedł cywil z teczką papierów i każe mi się zbierać i wychodzić, szybko się zebrałem i wyszedłem za nim. Powiedział mi, żebym nie odważył się uciekać gdyż pójdziemy w pewne miejsce, tam tylko sprawdzą i puszczą mnie do domu, więc idę za nim zadowolony, że zaraz pójdę. Przyszliśmy pod pewien blok, on mówi wchodzimy w te drzwi, patrzę a tam tablica z napisem Prokuratura Wojskowa w Lublinie, pomyślałem, to wystarczy. Weszliśmy na korytarz a tam na każdych drzwiach napis „oficer śledczy”, to mnie już dobiło. Jakiś żołnierz otworzył drzwi do małego pokoiku, w którym był młody chłopak z okolic Lublina i za to samo co ja dostał 6 m-cy więzienia na Zamku. Nie myślałem, że ja wyjdę stąd bez wyroku. Tego młodzieńca już przy mnie zabrali, a ja za chwilę zostałem wezwany do oficera śledczego. W małym pokoju siedział młody o przyjemnym spojrzeniu na wygląd, bardzo miły w randze porucznika oficer śledczy. Kazał usiąść, poczęstował papierosem (choć nie paliłem w tym czasie, ale wziąłem) i zaczął przeglądać moje dokumenty przyniesione przez doprowadzającego mnie do prokuratury. Po przejrzeniu tych dokumentów powiedział cicho niby do siebie, ale ja słyszałem, powiedzenie było następujące: „a ich tylko to AK obchodzi” i zamknął teczkę. Zapytał mnie, czy mam pieniądze, odpowiedziałem, że mam 700 zł i powiedział mi w ten sposób, że wyśle mnie do karnej jednostki wojskowej i żebym zaraz skontaktował się z dowódcą jednostki, dał mu parę złotych to mnie prędzej wypuszczą. Jednostka ta była na ulicy Okopowej 4, na terenie tej jednostki był budynek w którym mieściło się NKWD. Zaprowadzili mnie do takiego pomieszczenia, coś w rodzaju baru, spanie na gołej posadzce, bez przykrycia, a noce były chłodne. Wyżywienie wojskowe. Jak się okazało, siedzieli tam wojskowi dezertery, nawet byli żołnierze, co rozbili Urząd Bezpieczeństwa w Biłgoraju, wszystkich wyłapali i tam siedzieli. Był młody człowiek AK-owiec z Wilna, oraz pewnego razu przyprowadzili więźnia AK-owca z więzienia na Probostwie, to był szkielet a nie człowiek.

Wszyscy mówiliśmy, że weźmiemy się za niego i musimy go odżywić, niestety był tylko 4 godziny, gdzieś go zabrali. Ja natomiast szukałem kontaktu z dowódcą i za 3 dni kazał mi się zgłosić. Gdy przyszedłem do niego powiedziałem o co chodzi, a on od razu pyta ile mam pieniędzy, powiedziałem że 500 zł i mogę dać, ale trochę muszę mieć na powrót do domu. Mówił, że mało, ale pieniądze wziął, a i tak siedziałem tam dwa tygodnie. Po dwóch tygodniach żołnierz wziął nas dwóch, jeden był od Frampola, pod bronią zaprowadził na stację i pociągami wiozł nas do Kraśnika. Od dworca PKP Kraśnik do miasta Kraśnik jest 4 km. Po wyjściu z dworca żołnierz załadował karabin i powiedział, jeżeli któryś z was próbowałby zrobić krok w bok będzie strzelał bez ostrzeżeń. Doprowadził nas do RKU Kraśnik, było już po 13 -tej, prawie nikogo nie było. Ale był jakiś starszy podoficer, żołnierz przekazał nas temu podoficerowi na piśmie, żołnierz wziął pokwitowanie i poszedł do stacji a ten wojskowy zostawił nas samych w biurze a sam wyszedł. Nie wiedzieliśmy co mamy robić, dopiero nas gnał jeden z bronią, a teraz nas nikt nie pilnuje.

Ale zjawił się ten podoficer i zapytaliśmy co mamy robić, odpowiedział idźcie się gdzieś prześpijcie, jutro przyjdziecie to was załatwię. Z boku RKU był barak i tam przespaliśmy się, rano dostaliśmy dokumenty i do domu. Ale ja nie myślę jechać do domu, ja muszę jechać szukać żony. Zamierzałem dojechać z Kraśnika do Lublina, a potem z Lublina na Zachód szukać żony. Jestem nieogolony, przez dwa tygodnie bielizna nie zmieniana, bo żona wzięła bieliznę ze sobą, bo miało to być bardzo krótko. Przyjechałem do Lublina i za jakieś pół godziny miałem pociąg do Szczecina, poszedłem do sklepiku, który był w poczekalni coś sobie kupić i w tym czasie ktoś mnie puka w plecy, ja się oglądam a tu moja żona wraca z Zachodu. Czy to nie było cudowne spotkanie, to Bóg tak dał. Jak pomyślałem później, gdzie ja bym żonę tam znalazł, żeby jeszcze pojechała do rodziny, a to sama pojechała w nieznaną i ja byłem też nie wiadomo gdzie. I tak wróciliśmy do swojego choć biednego domu.

Wspomnę jeszcze jedno wydarzenie, może nie tak ważne, ale ostrzegające, że broń raz do roku sama strzela. Otóż, kiedy wojska

polские stacjonowały w Szewcach, Ujściu, Kiszkach i Momotach za zdobyciem czegoś tam wybrał się Myszak Wojciech (Jentczyn Wojtek) oraz Karpiak Józef do Momot, gdyż tam było najwięcej wojska. W czasie pobytu w Momotach Myszak Wojciech kupił uprząż wojskową a Karpiak Józef pistolet 7-kę. Wracając do domu nie szli drogą, bo się bali a szli ponad rzeką. Kiedy doszli nad rzekę naprzeciwko pola Momotów i Kaczorów, przy rzece był Momot Jan (nazywali go Pisklak). Kiedy się spotkali, Momot pyta coście tam kupili, a Myszak Wojciech mówi przecież widzisz co kupiłem: uprząż, miała tyle różnych urzemień, że prawie wszystko się wlokło po ziemi, no tak - mówi Momot, ale wy Karpiak nie kupiliście, nic nie macie, a Karpiak nie namyślając się sięgnął do kieszeni pod spodem marynarki, wyciągnął pistolet i lufę skierował w kierunku Momota i powiedział a ja to kupiłem i w tym momencie padł strzał, wszyscy się przestraszyli a Momot krzyczy, że go Karpiak zabił. Oczywiście pocisk trafił w Momota, ale kula prześliznęła się po kości policzkowej lekko go raniąc, Karpiak rzucił pistolet daleko w jeżyny i później nie mógł go znaleźć. Kiedy go znaleźli, Karpiak podarował ten pistolet Momotowi i sprawa została zatuszowana. Tę relację przekazał mi Myszak Wojciech, ale dopiero po wojnie, nikt o tym nie wiedział. Z Momotem znałem się dobrze, kiedyś jeszcze za okupacji byłem u niego i pokazał mi dwie sztuki broni 7-kę i 6-stkę, nic mi nie powiedział o tym, co mu się zdarzyło, ale to była 7-ka, którą mu Karpiak podarował. Na pewno wiele rzeczy działo się, o których nie wiedziałem, albo wiele rzeczy umknęło pamięci, te które pamiętam, napisałem.

Przypomniało mi się jeszcze jedno wydarzenie, które miało miejsce u Myszaka Wojtka z Karpiakiem Józefem. Wiadomo, że w czasie okupacji nie wolno było hodować świń, jeżeli ktoś chciał, musiał zgłosić Niemcom. Myszak Wojciech kupił prosiaka i trzymał go w takiej szupce na ściółkę, wejście było malutkie zasypywane ściółką po zadaniu paszy. Prosię miało około 100 kg i naraz przyszła wiadomość, że w Andrzejówce Niemcy szukają świń. Myszak się przestraszył, polecił do Karpiaka, żeby mu pomógł zabić prosiaka, Karpiak się zgodził, ale Myszak prosił, żeby zabić tak, aby świnia nie kwiknęła. Zgoda, wy kumie, mówi do Karpiaka „będziecie trzymać”, a ja uderzę siekierą w łeb, a wy, jak się świnia prze-

wróci nożem w serce i po krzyku. Tak się przygotowywali, Karpiak trzymał świnie, a Wojtek wziął siekierę, jak się zamierzył, zawadził o belczyka, który podtrzymał strop i zamiast świnie w łeb trafił obuchem Karpiaka w kość poniżej kolana, a świnia dostała lekko po uchu i to był dopiero krzyk, bo Karpiak krzyczał i wił się z bólu, a świnia też krzyczała, bo dostała po uchu i to było zabicie świni po cichu. Wydarzenie to zakrawa na kawał, ale o tym opowiadał mi Myszak i to było prawdziwe.

Być może nie stanowią one tak bardzo ważnych spraw, ale napisałem to dlatego żeby nie zaginęła pamięć o tych czasach ciężkich, trudnych, pełnych niepewności jutra, gdzie na każdym kroku groziła śmierć i w jakich czasach przyszło żyć naszemu pokoleniu. Jest wprost nie do wiary, że były czasy, gdzie ludzi palono w piecach krematoryjnych zupełnie niewinnych, za to że było się Żydem czy Polakiem. Młodzi, którzy tego nie przeżyli, nie żyli w tych czasach, nie mogą w to uwierzyć, że taki los przygotował człowiek człowiekowi, nie trafia to do ich przekonania, że tak mogło być, bo żeby uwierzyć trzeba to wszystko przeżyć i widzieć na własne oczy. Jestem kombatantem i mogę nosić znaczek świadczący o moim kombatantwie, ale nie chcę go nosić, bo niektórzy zaraz będą mówić a co on tam robił, a jak AK-owiec to mówią a kury, a kaczki, posądzają o różne kradzieże. Po części to mają rację, bo wielu kombatantów miało broń i który miał taką smykałkę, chodził na rabunki, to były wyjątki, ale się zdarzały. Na przykład w Ujściu była szajka złodziei, która była kilka razy na rabunkach w Dąbrowicy, formalnie niby partyzantka, jak zabierali maszyny do szycia i odzież cywilną to byli formalni rabusie, ale oddział „Jana”, który stacjonował w gajówce za Szewcami wysledził ich i zostali jakoś tam ukarani.

Nie obyło się bez tego i w naszej organizacji w Bukowej. Adam M., członek naszej organizacji zgodził się na przetrzymywanie w swojej kryjówce zrobionej w piecu 4 karabiny ręczne oraz RKM. Adam Dziduch jako z-ca dowódcy placówki wyraził zgodę i ta broń była tam przechowywana. Ale w pewnym czasie doszły do nas słuchy, że Adam M. z tą bronią robi samodzielnie jakieś napady na wioski ukraińskie, na rabunki. Zostaliśmy tą informacją bardzo zaniepo-

kojeni. Zastanawialiśmy się, jak tę broń od niego zabrać, ale Dzi-
duch Adam powiedział, że tę broń musimy zabrać, gdyż Niemcy
przeprowadzają często dokładnie rewizję i jakby znaleźli, będzie
nieszczęście dla całej wsi. Każdy sobie zabrał swoją broń (moja też
była przechowywana), natomiast RKM wziął do przechowania pod
swoją opiekę Adam Dziduch. Tak to niestety było, ale nie można
tego generalizować, nie można brać wszystkich do jednego worka.
Był jeszcze jeden podejrzany w naszej organizacji, ale nikt go nie
złapał, chociaż słuchy chodziły niepokojące, człowiek ten już nie
żyje i nie będą wymieniać jego nazwiska.

Pamiętam również rok 1938, kiedy Polacy domagali się od Cze-
chów Zaolzia. Ile to było propagandy, ile krzyku, wojsko zaczęło
gromadzić siły zbrojne prawie gotowe do ataku. Ogromne manife-
stacje organizowano wokół tej sprawy. Wołano, słyszałem krzyki
przez radio: „Żądamy czynu”, „Wodzu prowadź” i wiele innych
haseł wrogich w stosunku do Czechów, domagano się oddania
Polsce Zaolzia. Być może Zaolzie należało się Polsce, ale po tych
przygotowaniach rząd czeski postanowił ustąpić i Zaolzie oddano.
W tym czasie Niemcy zabrali Czechom Sudety i Polska wykorzy-
stała ten czas żeby odebrać Czechom ten kawałek ziemi. Ale nie
na długo, za niecały rok Niemcy zagrabili całą Polskę. Czy Polsce
potrzebne to było? Czechosłowacja miała bardzo dobre lotnictwo,
samoloty, które bombardowały Polskę, były czeskimi maszynami.
Można było ich rozpoznać, gdyż w powietrzu wyglądały bielutkie
jak gołębie.

To tyle co zapamiętałem, jak rozpoczynała się wojna, przygo-
towanie do wojny, później okupacja oraz początki wkroczenia Ar-
mii Radzieckiej na tereny Polski. Rosjanie wkroczyli do Biłgoraja
i w ogóle na te tereny 22 lipca 1944 r. Za czasów komunizmu było
to święto wyzwolenia i chyba tak było naprawdę. Ale dla ludzi,
którzy byli przeciwko komunizmowi była to w dalszym ciągu nie-
wola, okupacja tylko pod zaborem rosyjskim.

To co napisałem, to jest to, co przeżyłem i zapamiętałem.
Pisząc to nie miałem na myśli żeby robić z siebie bohatera, gdyż
nigdy nim nie byłem, jestem jak każdy przeciętny człowiek, je-
stem raczej bojaźliwy niż odważny. Fakty, które napisałem o sobie

są prawdziwe, to przeżyłem, chociaż czasem nie zdawałem sobie sprawy co by było, gdybym wpadł, wiedziałem, że mam dotrzymać tajemnicy i wiedziałem, że swoim zachowaniem nie mogę się zdradzić, byłaby to nie tylko moja śmierć ale i kolegów. Wspomniałem wyżej o zdarzających się wypadkach używania broni do rabunków przez niektórych członków ruchu oporu, a niektórzy zarzucają, że działania nasze były niedostateczne. Dowództwo nasze starało się trzymać dyscyplinę i żaden członek ruchu oporu nie mógł działać na własną rękę.

Najgorsze, że teraz zarzuca się Polakom, że byli komunistami i musieli współpracować z okupantem, a jakie mieli wyjście. Ale mimo to, coś się w Polsce działo, budowano drogi, koleje, odbudowano Warszawę i wiele innych miast, budowano zakłady pracy, szkoły, młodzież wiejska mogła się uczyć za darmo, wszyscy mieli pracę i pracowali, nawet chałupniczo, co było bardzo ważne dla mieszkańców wsi. Był tylko jeden błąd, że prowadzono walkę z Kościołem, ale do kościoła chodzić nie bronili, moim zdaniem wówczas chodziło dużo więcej ludzi niż obecnie. Bo to już tak jest, jak nie każą, to się pchają, a jak już wolno to różnie bywa. Uważam również, że wieś straciła za nowej władzy, która obiecywała gruszki na wierzbie. Ludzie na wsi są coraz biedniejsi, młodzież za naukę musi płacić, bezrobocie, które za tamtych złych czasów nie było znane, rośnie w szalonym tempie i nie ma się na zatrzymanie. Zakłady wysprzedano za grosze obcemu kapitałowi. Rząd solidarnościowy a Związek Solidarność strajkuje, to jest coś nie tak. Kiedy patrzy się na pola to strach bierze, coraz więcej ugorów, nic się nie opłaca uprawiać, nawozy drogie a wyprodukowany produkt przez rolnika nie ma zbytu, a jeżeli nawet, to rolnik musi to brać co mu kupujący daje, bo nie ma innego wyjścia.

Objaśnienia:

1. Tym panem z czarnym wąsem, który przyszedł od „Wyźła” był Michał Kochmański z Biłgoraja. Jerzy Tyzenhaus był członkiem AK ps „Tyczka”.
2. Jerzy Tyzenhaus został wysłany do tartaku w Bielinach gdzieś w okolicach Krzeszowa lub Niska i w tym tartaku pracował jako robotnik do wyzwolenia. Po wyzwoleniu wszyscy nasi dowódcy uciekli na Zachód w Szczecińskie lub Gdańskie. Jedynie Florian

Szajner zamieszkał w Bielsku-Białej. Dowiedzieliśmy się o tym dopiero w latach 90-tych. Jan Zielonka dwukrotnie był u mnie. Ostatnio mieszkał w Warszawie na Mokotowie.

Jeszcze jedna refleksja. Będąc na odpuszcie ku czci św. Wojciecha parafii Momoty kupiłem za 1 zł Gazetę Milenijną parafialną i o dziwo jest cały artykuł pt. „Kapitulacja i losy żołnierzy - złożenie broni 2.X.1939 r.” Jest to dla mnie zadziwiające, że po tylu latach (69) znalazł się pan Tomasz Bordzań, który opisał sytuację, jaka miała miejsce w 1939 r., gdzie oddziały Wojska Polskiego Grupy Zieleniewskiego przebywały na naszych terenach i zmuszone były do złożenia broni, między innymi, grupa wojsk oddziału kawalerii Grupy Chełm i Kraśnik broń złożyła w Bukowej na polu Adama Dwiducha.

W swoich wspomnieniach napisałem, że armia Polska rozbrojona w Bukowej była pod dowództwem płk. Koca, wszyscy o tym mówili i tak to pozostało w mojej pamięci i nie tylko. Dopiero z tego artykułu Gazety Milenijnej dowiedziałem się jaki przebieg miało rozbrojenie Armii Polskiej w 1939 r. Osobiście byłem świadkiem tych tragicznych wydarzeń, ale dopiero pan Tomasz Bordzań opisał to wszystko, co się działo w tym czasie. W dalszym ciągu nie mogę się dowiedzieć, czy oddziały, które były rozbrojone na naszych terenach wchodziły w skład Armii gen. Kleberga, bardzo mnie to interesuje.

W latach 1958-1959 w czasie pracy w Nadleśnictwie Kocudza praca przebiegała normalnie, w zasadzie nic mi nie zagrażało ze strony moich pracodawców. Była ożywiona propaganda polityczna partii. Byłem wprawdzie członkiem ZSL, ale poglądy moje były odmienne od tych które propagowano. My pracownicy Nadleśnictwa Kocudza łącznie z leśniczymi i całą załogą oraz nadleśniczym mgr inż. Tadeuszem Godzińskim żyliśmy i pracowaliśmy w zgodzie, wszyscy mieliśmy po uszy tej propagandy. Kto miał radio słuchał rozgłośni zagranicznych BBC, Wolna Europa, Głos Ameryki, który bardzo pozytywnie wpływał na naszą nadzieję, że coś kiedyś się zmieni. Ale zaczęło nas niepokoić, że zaczęły przychodzić pisma z Lublina i jeżeli na kopercie był znak OS, byliśmy przerażeni strach było otwierać koperty, bo to oznaczało, że pismo przyszło z Wydziału Kadr Zarządu Lasów Państwowych i jest tam coś złego. I

rzeczywiście w tym czasie zwolniono kilku gajowych i leśniczych bez podania przyczyn i nie miał nikt prawa się odwołać od tej decyzji. Kiedy listonosz przyniósł korespondencję to najpierw otwierano kopertę ze znakiem OS, to było bardzo niebezpieczne. Na szczęście taka koperta do mnie nie przyszła, za to pamiętam jak dziś, w poniedziałek, w godzinach prawie wczesnych, może 9 lub 10 godz. jest telefon, który był przy moim biurku. Osoba z zarządu, która dzwoniła, powiedziała, że chce rozmawiać z Malcem Wojciechem – powiedziałem to ja jestem. W bardzo energiczny sposób powiedziała mi, że bardzo szybko, a najpóźniej we wtorek mam się zgłosić do Naczelnika Wydziału Kadr Zarządu Lasów Państwowych w Lublinie i odłożyła słuchawkę.

Powiedziałem to nadleśniczemu, który zdziwił się co to może być, żadnych pretensji do mojej pracy nikt nie miał, ale coś to musi coś złego. Zawsze w podobnych wypadkach jeżeli zarząd miałby jakąś pretensję do mojej pracy rozmawialiby z nadleśniczym a tu nie, tylko natychmiast mam zgłosić do Wydziału Kadr – byłem przerażony. Nadleśniczy Tadeusz Godziński również był zaniepokojony, praca bardzo dobrze nam się układała. No, ale trudno, we wtorek rano pojechałem do Lublina, pełen strachu i różnych najgorszych domysłów. Naczelnikiem Wydziału Kadr ZLP w Lublinie był pan Wójcik (imienia nie znam) wysoki, przystojny, w podeszłym wieku o całkiem białych włosach. Kiedy wszedłem do jego gabinetu zameldowałem, że Wojciech Malec sekretarz Nadleśnictwa Kocudza melduje się na wezwanie telefoniczne. W tym czasie coś pisał i kiedy to usłyszał podniósł głowę, okulary przesunął na czoło i powiedział a to pan jest tym Malcem – tak powiedział. Chwilę się namyślił i powiedział krótko, proszę pana, pan walczy z partią i w Nadleśnictwie Kocudza pan nie może pracować i dodał, ponieważ pracuje pan kilka lat przeniesiemy pana do innego nadleśnictwa. Zapytałem go, czy jest pan dyrektor, powiedział mi, że go nie ma, będzie dopiero w czwartek. Zapytałem, czy mogę przyjechać do dyrektora w czwartek – powiedział mi - może pan przyjechać. Na tym nasza rozmowa się zakończyła, a dla mnie dopiero się zaczęło. Przeniesienie mnie do innego nadleśnictwa równało się ze zwolnieniem, a jak później się dowiedziałem,

miało to być Nadleśnictwo Kołacze lub Nizdów na drugim brzegu województwa. W Kocudzy pracowałem wśród swoich ludzi a tam wśród obcych, nieznanych, bez wykształcenia, a poza tym nie było mowy zostawić żony z dziećmi, to była sytuacja, że tylko się zwolnić.

Wracając z powrotem z Lublina siedzieliśmy razem z milicjantem Bednarzem z Gromady, pracował na Komendzie w Biłgoraju. Znałem go, gdyż często spotykaliśmy się u leśniczego Mazurka, mojego dobrego kolegi, który był jednocześnie myśliwym. Ten milicjant również był myśliwym i często u Mazurka bywał, znaliśmy się dobrze a czasem we trójkę ja, Mazurek i on wypijaliśmy po wódce.

W czasie rozmowy powiedziałem mu, co się ze mną dzieje, że mają mnie przenieść do innego nadleśnictwa. Powiedział mi, żebym bezwzględnie poszedł do komitetu PZPR z prośbą o pomoc. Nie miałem bardzo chęci, bo tam nikogo nie znałem, ale ze względu na poważną sytuację tak jakby zmuszony byłem tam pójść. Najpierw poszedłem do trzeciego sekretarza. Gdy mu powiedziałem swoje nazwisko i w jakiej sprawie jestem, to najpierw zapytał mnie gdzie pracuję – odpowiedziałem, że w Nadleśnictwie Kocudza, a pieniądze skąd biorę – odpowiedziałem, że nadleśnictwo mi płaci. To znaczy, że biorę pobory z kasy państwowej, powiedział, to jeżeli biorę pieniądze z kasy państwowej to muszę państwu służyć, a wy służycie Kościołowi, organizujecie chór kościelny i jeszcze jakieś inne sprawy, których nie pamiętam. Wyszedłem od niego jeszcze bardziej niepewny. Pomyślałem, że pójde jeszcze do pierwszego sekretarza, którym był Dechnik, ale go w tym czasie nie było, więc poszedłem do drugiego sekretarza o nazwisku Dymitrow. Ten powiedział mi to samo i z niczym powróciłem do domu, jeszcze bardziej zmartwiony. Przypomniało mi się od razu jak pan Górniak mnie ostrzegał, był on kierownikiem szkoły w Bukowej oraz członkiem partii. Powiedział mi kiedyś w ten sposób: Wojtek uważaj, bo coś koło ciebie członkowie się kręcą, że może być źle ze mną, ale w tym czasie, jakbym to jego ostrzeżenie zlekceważył, wydawało mi się, co oni mają do mnie. W tym okresie czasu co niedziela prawie zebrania członków partii, ludzie szli do kościoła a członkowie partii na zebranie do szkoły. Jak się później okazało, powiedział mi

o tym Małysza Julian, że doniósł na mnie Jan S., był na mnie zły i doniósł to do Komitetu. Było to tak, że kiedyś dyrektor Zarządu Lasów Lublin pan mgr inż. St. Jastrzębski wracał z Nadleśnictwa Przemysł lub gdzieś stamtąd i w drodze powrotnej był w Komitecie Partii w Biłgoraju i tam mu wszystko powiedzieli. Dyrektor po powrocie do Lublina dał rozkaz pracownikom aby mnie wezwano telefonicznie do Naczelnika Wydziału Kadr i tak też zrobiono.

Kiedy wróciłem w środę rano do pracy nadleśniczy Godziński czekał na mnie i od razu pytał się po co mnie wzywano. Wszystko mu opowiedziałem, co w Zarządzie mi powiedziano. Wówczas zapytał mnie co będę dalej robił, powiedziałem że naczelnik Wydziału Kadr na moją prośbę wyraził zgodę na przyjazd w czwartek do dyrektora i powiedziałem mu, że w czwartek jadę. Nadleśniczy natychmiast mi odpowiedział, że ja z panem pojedę do dyrektora. Umówiliśmy się, że wyjeżdżamy w środę wieczorem do Lublina do pana Jankowskiego, porucznika rezerwy, który przyjeżdżał na polowania gdyż łącznie z Komendą Wojewódzką Milicji w Lublinie dzierżawili teren Nadleśnictwa Kocudza dla celów łowieckich. Nadleśniczy wiedział, że jak dojdziemy do Jankowskiego, to Jankowski natychmiast zadzwoni do znajomych milicjantów z którymi przyjeżdżał na polowania, to oni zaraz przyjadą. Kazał mi nadleśniczy wziąć trochę pieniędzy, bo trzeba tam coś postawić. Umówiliśmy się również, że na ten temat nie będziemy nic mówić, tylko nadleśniczy zwróci się do nich o pomoc w wypadku kiedy dyrektor postanowi twardo, że musi mnie przenieść do innego nadleśnictwa. Tak też było. Z chwilą, kiedy weszliśmy do domu Jankowskiego w Lublinie (mieszkał na ul. Szenwalda), jeszcze my dobrze nie usiedliśmy, Jankowski zaraz zadzwonił do Milicji, że jest u niego nadleśniczy z Nadleśnictwa Kocudza. Nie upłynęło nawet godziny, a 2-ch funkcjonariuszy MO z wyższą rangą przyjechali zobaczyć się z nadleśniczym. Gościliśmy się przez całą noc do godziny 2 lub 3-ciej. Rano musieliśmy wstać i obydwaj z nadleśniczym udaliśmy się do Zarządu Lasów. W Zarządzie najpierw wpisał się nadleśniczy, potem ja na spotkanie z dyrektorem. Najpierw poszedł nadleśniczy i był tam może od 15 do 20 minut, wyszli obydwaj - dyrektor i nadleśniczy. Dyrektor zapytał, czy jest

Malec, odpowiedziałem jestem panie dyrektorze. Dyrektor powiedział do mnie, proszę wracać do pracy w Nadleśnictwie Kocudza i spokojnie pracować. Podziękowałem i wróciłem z nadleśniczym do domu. Zamiast przeniesienia do innego nadleśnictwa otrzymałem awans na kierownika biura, głównego księgowego z podwyższonym wynagrodzeniem 2000 zł miesięcznie, na panującą wówczas sytuację nie było dużo, ale też nie było mało.

Jaka była przyczyna, że Jan S. był na mnie zły. Otóż pewnego dnia, tuż przed zachodem słońca, prawie za moim polem, zaczęła spadać sosna. Był taki łoskot, szum, że cała wieś słyszała upadek tej sosny. Okazało się, że sprawcy tej kradzieży źle poderżnęli drzewo i zaczęło drzeć drzewo, które narobiło tyle hałasu. Kiedy rano, sąsiad Myszak Wojciech spotkał się ze mną, zaczął się śmiać i mówił, że leśniki śpią, a drzewo leci. Przyjechałem do nadleśnictwa i zgłosiłem ten wypadek. Leśniczowie pojechali w to miejsce i bez trudu, po śladach, które były wryte przez wóz żelazny na trasie całej drogi i znaleźli to drzewo właśnie u Jana S. Stało się źle, czego później żałowałem, bo z tymi leśnikami pojechałem również ja. Była to bardzo gruba sosna, ale rozdarta na wskutek złego podcięcia (sosna była nachylona). Drzewo pochylone musi fachowiec ścinać, bo inaczej drzewo zepsuje. Drewno znalezione zostało zabrane i dowiezione na składnicę drewna w Szewcach przy trasie kolejki. Skierowana została sprawa do sądu przeciwko Janowi S., była kilka razy odkładana, bo Jan S. był działaczem partyjnym i komitet go bronił, a sąd sprawę odkładał. Wreszcie zapadła decyzja, że ma się odbyć ostatnia sprawa i ma zapaść wyrok.

Gajowym tej dzielnicy był Wojciech Myszak i przed wyznaczoną sprawą przyszedł po poradę jak ma mówić na sprawie, od niego wszystko zależało. Było tak, że nadleśnictwo nie miało chęci ukarania go. Poradziłem gajowemu w ten sposób, że jeżeli sąd zapyta, czy to drzewo, które zawieźli jest to samo, to żeby odpowiedział niepewnie niby to niby, nie to i tak powiedział sądowi, a sąd niby na to czekał, przerwano rozprawę i Jan S. został uniewinniony.

Nie wiedziałem, że to tak się potoczy, była moja wina, bo powiadomiłem nadleśnictwo o kradzieży, ale moja zasługa, że Jan S. nie został ukarany. To że Jan S. naskarżył na mnie do Komitetu,

że walczę z partią nie mam do Jana S. pretensji, bo też mi się nic nie stało. Rozmawiamy, ze sobą przyjaźnie i daj Boże, tak dalej. Takie jest życie.

Rozdział VI

Moje wspomnienia o Żydach, którzy byli mieszkańcami wsi Bukowej

Od początku, kiedy moja pamięć sięga w Bukowej były dwie rodziny żydowskie. Pierwsza, to mówili na nią Hesta i mieszkała w małym domku, miała sień, kuchnię i większy pokój. Miała mały sklepik z naftą, solą, takie najpotrzebniejsze rzeczy na domowe potrzeby. Jakim sposobem nabyła ten domek, nie wiem, w każdym razie był on na działce Małyszy Franciszka nr 44. Wypiekała przeważnie bułki i chodząc po wsi sprzedawała je mieszkańcom wsi Bukowa. Nie była to Żydówka bogata, prowadziła sobie spokojne i skromne życie. Nikomu nie przeszkadzała i jej nikt.

Druga rodzina składała się z matki, ojca, dwóch synów i jednej córki. Ojciec Aron, matka Zyśła, syn najstarszy Chaim, córka Fryśła i syn Samuel, na nazwisko Manes. Mieszkali również w domu składającym się z pokoju, sieni i komory. Dom ten zakupiony był w latach 1925-26 od Małyszy Andrzeja, dziadka mojej żony i stał na tym miejscu, gdzie stoi obecnie nasz dom. Małysza Andrzej postawił nowy dom dalej w podwórzcu, a ten sprzedał Aronowi. Chaim był z 1922 r., był moim rówieśnikiem, razem chodziliśmy do szkoły i razem bawiliśmy się w różne dziecinne zabawy. Chaim był bardzo przystojnym chłopcem. Matka jego Zyśła piekła bułki a Aron sprzedawał po wsi. Mieli mały sklepik i sprzedawali produkty spożywcze oraz naftę. Był to bardzo ubogi sklepik, jaki wówczas mieli Żydzi. Rodzina Arona Manesa też była biedna, ale jakoś tam żyli, wyłącznie z handlu w tym sklepiku i ze sprzedaży pieczywa. Aron, ojciec tej rodziny, moim zdaniem był bardzo pobożny i karmił swego syna za przewinienia, gdyż Chaim wyłamywał mu się spod prawa żydowskiego. Na przykład Żydom nie wolno było jeść słoniny, kiełbasy, a Chaim jak tylko ojciec nie widział, wszystko zjadał. Z moją żoną oraz siostrą żony razem się wychowywali, gdyż był jedynakiem i na jednym podwórzcu. Przychodziłem często do Chaima, bo razem się kolegowaliśmy. W czasie pobytu w tym domu

widziałem, jak ojciec go uczył z księgi pisanej po hebrajsku, ale nie wiem, czy to była modlitwa czy nauka czytania. Było to bardzo szybkie czytanie, raczej była to modlitwa, niestety, nie rozumiałem tego. Ojciec Chaima był bardzo rygorystyczny, w czasie czytania miał w ręku patyk i jeżeli zrobił jakąś pomyłkę karcił go tym patykiem. Widziałem również Arona modlącego się, ubranego w specjalny mundur do modlitwy. Szabas był bezwzględnie przestrzegany. Zgodnie z przykazaniami bożymi nie wolno było nikomu nic robić. Nawet nie wolno było zapalić w piecu. Żydzi najmowali do tego celu sąsiadów Polaków. Nie prowadzono żadnego handlu w sklepie. Było mi dobrze z Chaimem się kolegować, zawsze idąc do szkoły wolałem go, a on dla mnie miał bułkę w kieszeni. Ja za to robiłem różne szable, karabiny, bagnety z drzewa, bardzo to lubił. Dla mnie i nie tylko, były to ciężkie czasy, nie stać nas było na kupno bułki, ale Chaim zawsze pamiętał o mnie. Kiedy był już starszy, zażyczył sobie mieć prawdziwą broń, miał chęć na pistolet, nawet wysłał Bartłomieja, ojca mojej żony, po zakup tej broni do Szewc czy do Ujścia, ale z kupna nic nie wyszło. Pewnego razu pokazał mi taką małą strzelbkę, którą mu zrobił Maciek Bieńko (Małysza), była ona nabita i pochwalił się strzelając w górę. Aron wyskoczył z krzykiem, ale on już zdążył schować, Aron był krótkowidzem, chodził w okularach i niewiele widział. Kiedy skończył szkołę (Chaim) kupił sobie dubeltówkę składaną, z którą chodził sobie do lasu nad rzekę, ogromnie lubił broń. Ale w roku 1936 r. a może wcześniej zaczęły się sprawy komplikować, stosunek do Żydów zaczął się zmieniać na niekorzyść. Utworzyła się organizacja narodowców prawicowców, którzy zaczęli siać wrogą propagandę przeciwko Żydom, przeważnie w mieście, w Biłgoraju. Pojawiały się hasła treści następującej: bij Żyda, nie kupuj u Żyda, oraz różne krytykujące Żydów afisze np. rysunek - stoi chłop, a Żyd w postaci żmii wysysa chłopską krew itp. krytyczne pomówienia. Od małego dziecka dzieci miały wmówione, że Żyd ich porwie i upiecze z nich mace, maca to były takie placki pieczone na szabas i inne święta. Żydzi częstowali tymi plackami, miały one swoisty smak, ale były dobre, bardzo często Chaim częstował mnie tymi macami. Ta wrogość w stosunku do Żydów była po miastach, ale później udzieliła

się na wsi, gdzie byli Żydzi. Na przykład Aron sprzedawał bułki po wsi i jak przechodził koło szkoły w czasie przerwy, dzieci wydzie- rały mu bułki z koszyka. Nauczyciele prawie nie reagowali na takie poczynania dzieci, nie reagowali też starsi. Raz się zdarzyło, że Aron poszedł się poskarżyć do kierownika szkoły, prawdopodobnie za te bułki zapłacił, ale dzieciom to uszło bezkarnie. Skąd brała się nienawiść w stosunku do Żydów, która w miarę czasu potęgowała się? Żyd nie mógł iść spokojnie, bo atakowały go dzieci różnymi wyzwiskami. Aż wreszcie doszło do tego, że dzieci wracające ze szkoły, zaczęły rzucać kamieniami, drzewem po drzwiach i wy- bijać okna do tego stopnia, że Aron z całą rodziną wyniósł się do Biłgoraja, tak samo wyjechała Hesta. Starsze społeczeństwo nie mogło tego nie widzieć, wcale nie reagowało na tego rodzaju wy- bryki dzieci a raczej, jakby udzielało aprobaty rozwydrzonej i wro- go ustawionej młodzieży w stosunku do Żydów. A przecież tyle lat mieszkali razem w zgodzie i nikt nikogo nie wymyślał, nikt nie przeszkadzał. Kiedy w 1934 r. Hitler doszedł do władzy w Niem- czech na wszystkich padł blady strach, a Żydzi przewidywali, że stanie się coś niedobrego. Kiedy zaczęto mówić o wojnie Niemców z Polską, jak opowiadali mieszkańcy Biłgoraja, część bogatych Żydów wyemigrowała do Izraela czy innych państw zachodnich. Pozostała tylko biedota i średnio zamożni i kiedy Niemcy weszli do Polski, zaczęto najpierw od Żydów. Dla Niemców Żydzi nie stanowili żadnej wartości, w podobny sposób traktowali Polaków, ale mówiło się wówczas, że najpierw wymordują Żydów a później Polaków. O ile pamiętam, tragedią dla Żydów był rok 1942, je- sienią tego roku zaczęły się masowe rozstrzeliwania Żydów, gdzie spotkano Żydów strzelano do nich jak do kaczek. We Frampolu ze- gnali wszystkich jeszcze żyjących Żydów na okopisko tzn. cmentar- zar żydowski i tam masowo rozstrzelano.

Do Ciosmów uciekło chyba dwie rodziny Żydów o nazwisku Mo- siek z córkami i Icek z rodziną. Ciosmanie zrobili im schrony w le- sie i tam przez pewien czas byli. Ale kiedy Niemcy ogłosili, że za przetrzymywanie Żyda grozi karą śmierci, ci, którzy ich przetrzy- mywali w lesie, zabrali na furmanki i wywieźli do Biłgoraja do Niemców. Nie będę podawał nazwisk tych ludzi, ale byli tacy, co zabierali im ubrania już po zabiciu. To był straszny czas, ludzie bali

się iść do miasta żeby Niemcy nie zabili, gdyż każdego napotkanego Żyda rozstrzelowali, ale kto był pewny, Niemcy mogą przez pomyłkę zabić każdego, jakby ewentualnie nie rozpoznali.

Żydzi umieli handlować, umieli swój towar reklamować i umieli zapraszać do kupowania u nich (czego Polakom brakowało). Pamiętam, kiedy było się w Biłgoraju w każdym żydowskiego sklepu stał ktoś i zapraszał do kupna. Był taki sklep, nazywano go sodówka, w którym sprzedawał Żyd różnego rodzaju pieczywo, zresztą, jak pamiętam, bardzo smaczne. Bez przerwy w drzwiach zapraszano „znajomy, chodź na bułeczki, smaczne, wypieczone” i prawdą jest, że było tam zawsze dużo ludzi, towar był tańszy niż w sklepach polskich. Żyd, na przykład, jeżeli ktoś przyszedł coś kupić, a później zrezygnował, tłumacząc się, że nie ma pieniędzy, Żyd od razu mówił ze swoim akcentem „a czy ja się ciebie pytam o pieniądze”, dałby każdy towar nawet takiemu, co go nie znał, nie mówiąc już o znajomych. Zresztą, panowało takie przysłowie że pańskie i żydowskie nigdy nie przepadnie, Żyd swoją należność zawsze otrzymywał wcześniej czy później, on się wcale o to nie bał. Poza tym, Żyd się nigdy nie obrażał, wiele razy ubliżano Żydom, ty Żydzio parszywy itp. wyzwiska, a Żyd to przyjmował za dobrą monetę, zawsze się kłaniał i zawsze był uprzejmy, tym bardziej w sklepie nadszakiwał, zapraszał, to było właśnie to, że Żydzi umieli i potrafili prowadzić handel, czego nie można przypisać Polakom, którzy w sklepach w tamtym czasie nie byli uprzejmi i nie potrafili prowadzić i obchodzić się z klientem. Przypominam sobie czasy poprzednie jak nas traktowali sklepowi, nie dość, że nie było towaru, to jeszcze obsługa niegrzeczna, wręcz opryskliwa. Obecnie, kiedy jest ogromna ilość sklepów w których znajdują się przeróżne towary, sytuacja uległa znacznej poprawie na lepsze, zdarzają się wypadki że sklepowy jest uprzejmy ale nie potrafi zachwalić swojego towaru jak Żyd, to jest moje osobiste spostrzeżenie i moja pamięć, gdyż tacy oni byli.

Pragnę jeszcze wspomnieć o moim domu rodzinnym, gdzie bardzo często przebywali Żydzi. Otóż przyjeżdżał do nas do domu Żyd Icek z dwoma synami z Frampola, nazwiska nie pamiętam, miał bardzo przystojnych synów. Matka zawsze częstowała ich serem ze śmietaną. Nigdy za ten posiłek nie brała pieniędzy a była zado-

wolona z tego, że ci Żydzi bardzo sobie zachwalali, że to wszystko bardzo smaczne i jak przychodzili to mówili „no, Malcowa dajcie nam tego błota”, tak nazywali ser ze śmietaną. To może trochę złe porównanie, ale jak już wspomniałem, matka była zadowolona, że Żyd zachwala jedzenie, że jest smaczne. Żydzi kupowali wszystko, kury, jajka, cielaki, krowy, konie, z wyjątkiem świń. W okresie zbioru jagód również jagody, borówki, łochynie oraz żurawiny. Skupowali też łuby, łyżki, wrzeciona oraz garnki, które były wyrabiane w Bukowej.

Mówiło się również, że Żydzi oszukiwali. Rzeczywiście, w tym czasie nie używano wag, kury, cielaka, krowy czy inne produkty jak jagody, wszystko sprzedawano na miarę, która nie zawsze odzwierciedlała prawdę, ale taki był wówczas handel.

Przyszła później kolej na nienawiść pomiędzy Polakami, Ukraińcami, Białorusinami a i z Czechami nie było dobrych stosunków po zabranii Czechom Zaolzia

Pisze to w celu, być może, że wnuki, praprawnuki będą czytać te moje wspomnienia, bo oni nie widzieli Żyda, tak jak ja widziałem i żyliśmy wszyscy wśród innych. Trzeba tu jednocześnie stwierdzić, że Żydzi stworzeni są do handlu, umieją go prowadzić i żadnego handlu się nie wstydzieli np. chodzili kiedyś Żydzi, na pewno nie bogaci, i zbierali szmaty wszelkiego rodzaju, w tych czasach nie było szmat z tworzyw sztucznych. Wielki popyt miały rzeczy z lnu i konopi. Żydzi sobie żartowali „niech będzie osrane, aby parciane”. Parciane szmaty - nazywano włókno lniane i konopne. Taki Żyd skupujący szmaty, płacił za to w naturze tzn. dawał igły, agrafki, naparstki, guziki, haftki i wiele innych potrzebnych rzeczy. Zbierał cały dzień do worka albo przez kilka dni i nazbierane szmaty dźwigał do Biłgoraja, a one były ciężkie a do Biłgoraja daleko, nie ma jak najmować furmanki, a rzadko kiedy trafiła się okazja, że ktoś wziął Żyda z workiem na furmankę. Polacy wbrew panującej biedzie a nawet nędzy, nie brali się za taki handel, byłoby to wstydem, ujmą. Więc mogę powiedzieć ogólnie, że w tych czasach przed II wojną światową byli Żydzi bardzo bogaci, też bardzo biedni i co ciekawe, nigdy się nie skarżyli, że im źle. Poza tym, byli bardzo pracowici, pamiętam w Biłgoraju było kilka zakładów

krawieckich i jak się weszło do takiego zakładu, to wszyscy krawcy, ilu ich tam było, pracowali bardzo intensywnie prawie bez odpoczynku, nie zwracali uwagi, że ktoś przyszedł. Sprawy załatwiał właściciel zakładu a reszta pracowała solidnie. Zakłady szewskie też były w rękach żydowskich. Towar swój, obuwie, wywożono na targ i tam sprzedawano. Obuwie było bardzo tandetne, bardzo dużo było w nim papieru, natomiast kto chciał, mógł sobie obuwie zamówić na słowo, wówczas wykonanie było bardzo dobre i z dobrego materiału, ale było droższe, nie każdy mógł sobie pozwolić. Uważam, że bardzo źle się stało, że powstała taka nienawiść do Żydów, która przetrwała do obecnych czasów. Wszystkiemu, co się źle dzieje winni są Żydzi, wszystkie niepowodzenia rządowe i cokolwiek, by się nie stało złego obarczamy za to Żydów, czy słusznie? Były czasy, zaraz po wkroczeniu wojsk radzieckich w 1944 r., że Żydzi zaczęli się panoszyć. W Biłgoraju Żydzi z opaskami bardzo byli pewni, niektórzy opowiadali, że Żydzi mówili „nasze kamienice, a wasze ulice”, albo „wasza krowa, moje mleko”. Mówiono również, że w czasie tragedii wrześniowej w 1939 r. Żydzi napadali na małe grupki powracających żołnierzy do domu, zabierali broń i inne przedmioty jakie mieli żołnierze. Oficerowie polscy nienawidzili Żydów, przypisywali im różne rzeczy, przeważnie z okresu działań wojennych na wschodnich rubieżach kraju.

Powracając jeszcze do sprawy Chaima, mojego żydowskiego kolegi z czasów kiedy chodziliśmy razem do szkoły. Otóż, kiedy Aron, ojciec Chaima, wraz z rodziną wyjechali do Biłgoraja nasz kontakt urwał się, nie dawał o sobie żadnej wiadomości, ale kiedy wybuchła wojna i Niemcy wkroczyli do naszego kraju, wiadomo było co robili z Żydami, o Chaimie nie było żadnej wieści, wszyscy mówili, że podzielił los wszystkich Żydów i gdzieś tam leży w zbiorowej mogile. Chociaż były głosy, że żyje, Chaim nie dał sobie w kaszę napluć. Dni upływały, już niektórzy a nawet ja sam, spisaliśmy Chaima na straty. Aż tu pewnego kwietniowego dnia 1944 r. jeszcze byli Niemcy, ale front ze wschodu zbliżał się, klęska Niemców nieuchronna, przychodzi list na adres rodziców mojej żony od Chaima - Chaim żyje. Czytałem ten list, nie pamiętam dokładnie jego treści, ale pisał między innymi, że jego rodzina została wymordowana, a on żyje. Pisał mało gramatycznie, ale można było

zrozumieć, o co chodzi. Nie pisał natomiast skąd pisze i co robi, nie podał też swego adresu. Wszyscy się domyślali, że list jest pisany z frontu, że Chaim walczy w polskim wojsku z Niemcami. Była to wiadomość bardzo miła i wszyscy potakiwali głowami, że Chaim był morowy chłopak i nie poszedł jak wielu Żydów na śmierć dobrowolną, a walczył o honor wszystkich Żydów. 15 sierpnia 1944 r. pojechałem rowerem, a może poszedłem pieszo, nie pamiętam, do Biłgoraja na odpust w kościele dekanalnym na Matkę Boską Zielną. Wiadomo, już było wyzwolenie, pełno rosyjskich żołnierzy i polskich, niby było już spokojnie. Idę przez rynek (miasto leży w gruzach) w kierunku kościoła chodnikiem przy ulicy głównej zauważyłem dwóch oficerów wojska polskiego zmierzających w moim kierunku. Naraz jeden z ich mówi (dosłownie) „cześć Wojtek”, przyglądam się i oczom swoim nie wierzę, przede mną stoi Chaim z wyciągniętą ręką do powitania, w mundurze polskiego oficera z dwoma lub trzema gwiazdkami na pagonach. Chaim bardzo elegancko wyglądał w tym mundurze, szczupły, wysoki, że można było podziwiać, nie wyglądał wcale na Żyda, ten drugi oficer na pewno też był Żydem, bo wygląd go zdradzał. Rozmowa była krótka, jak zdrowie, co słyszeć i jeszcze parę słów i pożegnaliśmy się. Ten jego kolega gdzieś się śpieszył i ciągnął go w jakiejś ważnej sprawie. Chaim od najmłodszych lat był bardzo ładnym chłopcem, zawsze grzeczny i uprzejmy, my obydwaj żyliśmy w zgodzie i przyjaźni, dzieci czasem mu dokuczały, ale on na to nie reagował. Z moją żoną oraz jej siostrą Bronką mieszkali na jednym podwórku, razem się wychowywali, jak już o tym wcześniej wspomniałem.

Rodzina żydowska Arona Manesa była biedną rodziną, ale spokojną, żyli wśród nas do czasu, kiedy nastąpił zwrot w stosunkach międzyludzkich i kiedyś żyli po przyjacielsku, a później stali się wrogami, a faszyzm przygotował piece krematoryjne do wyniszczenia i spalenia ogromnej ilości Żydów.

Wracając do Chaima, bardzo bym miał ochotę spotkać się z nim, jeżeli jeszcze żyje. Kilka lat temu na grzybach był jakiś gość, który do spotkanych w lesie bukowiaków mówił, że on tu wszystkich zna. Niektórzy przypuszczają, że mógł to być Chaim, jeśli tak, to

on tu gdzieś mieszka w okolicach Tomaszowa lub Hrubieszowa, ale nie ujawnia się z wiadomych przyczyn, a może to tylko przypuszczenia.

Przytoczę tu jeszcze jedno wydarzenie, jakie miało miejsce w naszej wsi: łamanie praw i krzywdzenie ludzi, przede wszystkim biedoty, było, jest i będzie. Na Bukowej miało miejsce następujące wydarzenie, które dokładnie pamiętam jako może 7-letni chłopiec a było to w latach 30-tych.

Jest taka rodzina na Bukowej o nazwisku M. Żyją obecnie ich wnukowie. Rodzina M. wówczas składała się z matki – Anastazji (ojca ich nie pamiętam), synów Pawła i Adama, córki Honoraty oraz Marii. Paweł, najstarszy syn, odsiadywał karę dożywotniego więzienia w więzieniu świętokrzyskim. Adam gospodarzył na gospodarstwie ojca. Honorata przed wojną wyjechała do USA, zaś Maria była na Łotwie na zarobku i tam zapoznała przyszłego męża Władysława R., który pochodził z powiatu suwalskiego. Po jakimś czasie przyjechali do matki do Bukowej i zamieszkali w jej rodzinnym domu. Z biegiem czasu dorobili się pięcioro dzieci, klepali przysłowiową biedę tym bardziej, że ojciec rodziny nie miał zawodu, ale szybko nauczył się wyrobu łubów, a ponieważ był zbyt na ten produkt jak na tamte warunki, mógł dać jakieś warunki swojej licznej rodzinie.

Ale jak to często zdarza się w rodzinie, matka z córką i zięciem się poróżnili, doszło do kłótni i awantur do tego stopnia, że matka dała do sądu sprawę o eksmisję córki z zięciem i dziećmi z domu rodzinnego.

Sprawa wyszła i wygrana była po stronie matki i sąd wydał wyrok o eksmisję rodziny z domu. Może powodem tych kłótni było, że dom był ciasny, jednoizbowy z niewielką sienią i komorą, a rodzina była duża, a raczej dwie rodziny. W każdym razie sąd przyznał racje matki i wyrok był na jej korzyść.

Pewnego dnia sąsiedzi dowiedzieli się, że przyjechała jakaś władza i rodzinę R. wyrzucają z domu. I rzeczywiście, przyjechał komornik z kimś tam jeszcze i wyrzucili rodzinę na drogę. Wszystek sprzęt jaki mieli: łóżko, stół, stołki, pościel, ubranie jakie mieli i cała rodzina znalazła się na drodze. Władze nie zatroszczyły się o zastępczy dach nad głową dla rodziny, a liczna rodzina pozostała

pod gołym niebem. Komornik po spełnieniu swojego obowiązku odjechał zostawiając rodzinę na drodze bez dachu nad głową i bez żadnej opieki, ani gdzie ugotować, ani gdzie spać, a tu tyle małych dzieci. Mój ojciec żył w bardzo dobrych stosunkach z rodziną R., razem się odwiedzali i nieraz spotykali się przy kieliszku. Władysław R. choć pochodził z północnego krańca Polski, był człowiekiem dobrym, koleżeńskim, czego nie można przypisać jego żonie Marii. Władysław szybko zaklimatyzował się w Bukowej i był tak zwany swój chłop, a pozostał mu tylko akcent z rodzinnego domu i to bardzo dobrze, że nie starał się go wyeliminować ze swojej pięknej mowy.

Ponieważ R. żył dobrze z moim ojcem, ojciec mój i matka zgodzili się przyjąć do swojego skromnego domu rodzinę R.

Proszę sobie wyobrazić, że w małym, jedno-izbowym domu może 35m² bez kuchni i pieca kuchennego (był piec, ale bez fajerek, płyta z gliny) mieściło się 12 osób, dwie rodziny. Najgorzej było w zimie, jak obydwaj mężczyźni w takim ciasnym domku strugali łuby, pełno wiór i dwie kobylice na których strugali łuby. Mój ojciec i matka na pewno zdawali sobie sprawę jakie będą warunki mieszkaniowe dla swoich dzieci, a jednak wzięła ich litość nad tą opuszczoną rodziną i przygarnęli ich do siebie, mimo, że dla jednej naszej rodziny warunki były nienajlepsze, a tu jeszcze doszła druga rodzina. Uważam, że mój ojciec i matka byli ludźmi bardzo dobrymi, wiedzieli, co to bieda, bo sami doświadczali niedostatku i biedy i to było powodem, że zlitowali się nad tą nieszczęśliwą rodziną.

W naszym domu przebywali około półtora, a może dwa lata. Załatwili sobie skromne pomieszczenie w Biłgoraju i tam się przenieśli. W rodzinie tej był mój rówieśnik Andrzej, trochę młodszy Konstanty i razem ześmy kolegowali. Z chwilą przeniesienia się do Biłgoraja nasze kontakty były rzadkie. Po wojnie Andrzej pracował w drogownictwie. Często widywaliśmy się w Biłgoraju, natomiast reszta dzieci z tej rodziny gdzieś się rozjechała i nie wiadomo gdzie są. Andrzej natomiast zmarł parę lat temu.

Ponieważ na wstępie napisałem że jeden z braci rodziny M. był w więzieniu świętokrzyskim, opiszę jak to się stało na podsta-

wie relacji mojego ojca.

Paweł M. zaraz po pierwszej wojnie światowej lub w czasie wojny był oskarżony o napad na Żydów, którzy wracali z jarmarku z Rudnika lub z tamtych okolic, jakim sposobem zostali ujawnieni, tego nie wiem. W każdym razie mój ojciec występował w tej sprawie przed sądem i też nie wiem w jakim charakterze i w jakim sądzie to było, ale chyba w Zamościu, ale na pewno nie wiem. Wg. opowieści ojca było ich trzech, ale to co działo się w sądzie, dotyczy Pawła, który miał swojego adwokata. Sąd zapytał poszkodowanych Żydów czy poznajecie, czy ci, którzy są przed wami napadli na was, a Żydzi powiedzieli dwojako niby ten, niby nie ten. Potem zapytał sąd oskarżonego Pawła czy tym Żydkom zastąpiliście drogę i czy na tych Żydków napadliście. Paweł, oskarżony, odpowiedział - tak tym Żydkom. Adwokat rzucił książkami o stół i powiedział, nie warto bronić bandytów. Sąd po krótkim czasie ogłosił wyrok dla Pawła, skazujący go na karę śmierci. Wówczas adwokat Pawła prosił o głos i w swej mowie powiedział między innymi, że oskarżony był w legionach i wiele innych rzeczy, i na tej podstawie sąd zmienił wyrok na dożywotnie więzienie, w którym przebywał do II wojny światowej. W 1939 r. prawdopodobnie został zwolniony z więzienia, ale do domu nie wrócił. Prawdopodobnie, w czasie odbywania kary w więzieniu świętokrzyskim (było to bardzo ciężkie więzienie) Paweł miał organizować ucieczkę z więzienia przez wykop tunelu, ale kiedy tunel był już na dziedzińcu, samochód się zapadł i sprawa się wykryła, gdyby nie to, prawdopodobnie wróciłby wcześniej do domu, a tak zaostrzyli sankcje dla niego i dopiero wybuch wojny spowodował wyjście na wolność.

Rozdział VII

Działania kulturalne w okresie międzywojennym oraz po II wojnie światowej

Słyszałem takie powiedzenie: „ginie kultura, ginie naród”. Mieszkańcy wsi Bukowa ci co żyli dawniej i co żyją teraz mocno wzięli pod uwagę to przysłowie i chyba bojąc się, żeby nie zginęli, tworzyli kulturę lub byli jej uczestnikami. Chciałem może w krótkim zarysie napisać parę słów o tej kulturze, którą na przestrzeni kilku dziesiątków lat pielęgnowali nasi przodkowie i przetrwało to do dnia dzisiejszego. Wiadomo, że sami tej kultury nie mogli stworzyć, mało kto umiał pisać i czytać. Sytuacja się zmieniła kiedy w 1916 r. otwarto dwuklasową szkołę powszechną w Bukowej. Nauczyciele byli jedynymi reprezentantami inteligencji na wsi i w poważnym stopniu wpłynęli na rozwój wsi i przeobrażenia w życiu jej mieszkańców. Oni też budowali podstawy kultury na wsi wśród młodzieży. Do takich nauczycielek należała, jak pamiętam, pani Stefania Czerwówna jako kierownik szkoły. Ja zacząłem chodzić do szkoły w 1929 r. ona natomiast była kierownikiem szkoły w latach 1926–1932 r. w Bukowej, więc pamiętam tę panią, chociaż ona mnie nie uczyła, ale znana była wszystkim dzieciom. Nauczyciel w tamtych czasach musiał mieszkać na wsi gdzie przydzielony był do nauczania dzieci. Przeważająca ilość nauczycieli mieszkała z konieczności a może z obowiązku, z chęci poznania środowiska wiejskiego, w którym przyszło jej pracować. Przyciągnęła do siebie młodzież i zaczęła prowadzić działalność kulturalną. Młodzież uczyła śpiewać a w tym czasie nie brakowało pięknych głosów. Głosy Wojtków Jargielów - było ich dwóch - słyneły ze śpiewu w okolicy, byli też dobrymi głosami Małek Stefan, Jargieło Jan, Myszak Jan, Malce Józef, mój brat i wielu innych, którzy byli chętni do śpiewu. Organizowała przedstawienia na których byłem i pamiętam fragment piosenki, a mianowicie:

Ref. Dalej chłopcy dalej zwawo

Dosyć tego spania
Wywijajcie w lewo w prawo
Do samego rana
 Hej bracia opryszki
 Dolejcie do czarki
 Do ognia przynieście tu dREW
 Napójdzie nam gardło a głosem fujarki
 Niech echo rozniesie się w dal

Ref. Dalej chłopcy ...

Nie pamiętam tytułu tego przedstawienia, ale było bardzo ładne. Było to w szkole u Zezulków, tak nazywano dom skąd pochodzi moja żona. Pamiętam również przedstawienie kolędnicze, którego teraz się nie przedstawia z braku tekstów, a były one w dużych starych kantyczkach. Stefania Czerwówna bardzo zżyła się z młodzieżą, mieszkała w domu Dwiduchów. Adam Dwiduch nawet był jej narzeczoną, byli sobie bardzo blisko, ale ślubu nie mogli im dać, gdyż był jakiś przepis który nie pozwalał osobie wykształconej żenić się z chłopem, któremu brak było wykształcenia.

W latach późniejszych nie pamiętam by nauczyciele zajmowali się młodzieżą. W latach okupacji kierownikiem był Florian Szajner oraz nauczycielka Helena Gadzińska, która znała dokładnie język niemiecki natomiast Florian Szajner był porucznikiem rezerwy Wojska Polskiego.

W latach 1950-tych nauczyciel Mucha Franciszek i Małek Adam zorganizowali młodzież i własny scenariusz przedstawienia pt. Miłość Strażaka. W przedstawieniu tym brali udział: Małek Leonarda, Małek Bronisława, Małek Leon, Małek Zofia, Bednarz Leon, Jargieło Edward, Myszak Tadeusz.

Przedstawienie było dużą atrakcją dla młodzieży biorącej w niej udział, nauczycieli, którzy brali udział w przedstawieniu oraz reżyserowali go. Mieszkańcy chętnie przychodzili na to przedstawienie gdyż była to bardzo miła rozrywka. Z przedstawieniem tym zespół jeździł do wsi Ujście oraz do Zdzisławic. Spotkałem człowieka znajomego ze Zdzisławic, który wspominał bardzo mile zespół z Bukowej, który był tam z przedstawieniem.

W latach 70-tych młode dziewczyny Jargieło Wiesława,

Bednarz Bożena, Welc Danuta, Pydo Dorota, Łukaszczyk Teresa, Łukaszczyk Danuta, Ostrowska Bożena, Łukaszczyk Wanda, Małysza Teresa zorganizowały się same i utworzyły zespół śpiewaczy. Nikt ich nie uczył, same się uczyły i bardzo ładnie śpiewały pieśni ludowe, występowały na różnych imprezach organizowanych przez Klub Rolnika łącznie z Kołem Gospodyń Wiejskich oraz z Ochotniczą Strażą Pożarną. Wówczas był otwarty Klub Rolnika w remizie strażackiej a gospodarzem była Jargieło Maria, ja natomiast byłem Przewodniczącym Społeczności Klubu Rolnika i razem organizowaliśmy imprezy na dzień strażaka oraz wiele okolicznościowych imprez na których chór młodych dziewcząt występował, śpiewając przepiękne piosenki ludowe. Całe życie kulturalne odbywało się w klubie Rolnika było to miejsce spotkań młodzieży i starszego społeczeństwa. Z chwilą przyjscia demokracji zachodniej wszystko upadło. Zlikwidowano Klub Rolnika, któremu zawdzięczamy całe życie kulturalne wsi. Wprawdzie powstał zespół obrzędowy w Bukowej, który wystawił przedstawienia obrzędów. Pierwszym przedstawieniem obrzędowym była „Wigilia”, która miała duże powodzenie, wystawiana była na sejmiku w Tarnogrodzie, w Krasnymstawie i wielu innych miejscowościach. Członkami tego zespołu byli: Jargieło Edward, Bednarz Leon, Malec Wojciech, Myszak Marian, Tutka Janusz, Małysza Maria, Rębacz Janina, Jargieło Leonarda, Głowa Anna, Myszak Czesława, Łukaszczyk Teresa, Jargieło Maria to byli pierwsi aktorzy, którzy brali udział w tym widowisku „Wigilia”. Jargieło Maria wówczas jako gospodarz klubu była bardzo zaangażowana, gdyż była reżyserką i scenarzystką. We wszystkich widowiskach jakie były wystawiane brała udział dyrektor Ośrodka Kultury w Biłgoraju, pani Irena Potocka i Jargieło Maria, przy wydatnej mojej pomocy, gdyż zwyczajnie, obrzędy pamiętałem z dawnych lat, jestem najstarszym członkiem zespołu. Przez okres dwóch, może trzech lat, organizowaliśmy imprezy z córką Marią Jargieło, później zostaliśmy objęci patronatem Gminnego Ośrodka Kultury w Biłgoraju właśnie z panią Ireną Potocką. Pani Potocka była bardzo miłą osobą, bezpośrednią, umiejącą znaleźć wspólny język ze wszystkimi. Wszyscy członkowie ją lubili i szanowali, obojętnie mężczyźni czy kobiety, darzyli ją ogromnym zaufaniem. Była zawsze mile widziana, a pani Potocka

odwzajemniała się członkom zespołu i również darzyła wszystkich miłym uśmiechem, słowem i zaufaniem. Otóż jak wspomniałem wyżej Zespół Obrzędowy wystawił 8 widowisk obrzędowych, a mianowicie:

- 1) Wigilia
- 2) Różgowiny
- 3) Łubiarze
- 4) Powroziarze
- 5) Gromniczna
- 6) Św. Szczepan
- 7) Zaloty
- 8) Zapościelarze –

W tych wszystkich widowiskach brało udział szereg ludzi. Kobiety: Cecylia Zygmunt, Małysza Weronika, Małysza Maria, Rębacz Janina, Jargieło Maria (przewodnicząca zespołu), Małysza Krystyna, Michalska Maria, Małysza Czesława, Frelas Maria, Głowa Anna, Małek Leonarda, Jargieło Maria, Myszak Leokadia, Obszańska Maria, Bracha Kazimiera, Łukaszczyk Danuta, Malec Danuta. Mężczyźni: Zygmunt Tadeusz, Portka Stanisław, Frączek Antoni, Małysza Józef, Michalski Tadeusz, Bednarz Leon, Głowa Henryk, Jargieło Edward, Jargieło Jan, Tutka Janusz, Malec Wojciech, Myszak Marian, Małysza Tadeusz.

Rozdział VIII

Bukowskie obyczaje

Aby ocalić od zapomnienia, pragnę napisać zwyczaje panujące za moich lat dziecinnych. W miarę upływu czasu te zwyczaje zanikały, a obecnie młode pokolenie wcale się tym nie interesuje i opowiadania o tym, co zostało w pamięci z tamtych czasów, biorą jako bajki dla małych dzieci. A przecież tak było, ludzie codziennie obcowali ze swoimi wierzeniami i obyczajami, które brano jako prawdziwe i obowiązkowo przestrzegano. Przekazywali sobie te wszystkie zwyczaje z pokolenia na pokolenie, z tego co mi przekazano, co kazano mi przestrzegać i co przestrzegałem, chciałem niektóre opisać.

Zacznę od Świąt Bożego Narodzenia. Jak do tej pory tak i za dawnych czasów święta te obchodzono i przeżywano bardzo radośnie. Dzieci małe i starsze miały z tych świąt wiele radości i czekały na nie z dużym utęsknieniem. Być może a i na pewno, spodziewały się, że na Święta coś lepszego zjedzą np. wędliny, że będzie bułka upieczona przez mamę, że może będzie masło, a radość z opłatka, że będzie dzielony wśród całej rodziny była nie do opisania. Wyglądano dnia wigilijnego, chociaż dzieci nie spodziewały się, że dostaną prezent pod choinką, bo i w tym czasie choinki u nas w domu ani nigdzie na wsi nie było, za wyjątkiem dwóch miejsc u Małysz Marcina nr domu 61 oraz w domu mojej żony, wówczas dziadka, Małysz Andrzeja. W tym domu odmawiany był różaniec i schodzili się i młodzi i starsi na tę modlitwę. Chodziłem i ja na taki różaniec do domu, gdzie w święta była choinka ustrojona w różne łańcuszki z papieru, pająki ze słomy zdobione kwiatkami zrobionymi z papieru bibułowego przez dwie panny, obecnie moją żonę i jej siostrę Bronkę. Była też gwiazda własnej roboty, parę cukierków oraz ciastka własnego wypieku, twarde, że można było głowę rozbić, ale należały do przysmaków i dzieciom leciała ślinka, gdyż nie w każdym domu były takie ciastka. Po prostu była

bieda i nie było pieniędzy, a chociażby nawet nie znano się na wypieku ciastek, brak było dodatków, a może były, ale nie wiadano o nich, że dodane do ciasta sprawiały, że są one miękkie i pulchne. Do świąt przygotowywano się przez tydzień a najwięcej pracy było w dzień wigilijny. Rano w wigilię przed wschodem słońca gospodarz chodził do lasu po jałowiec, aby nim wszędzie słońce obstawić po rogach podwórka gałązki jałowca jako stróża, który miał chronić gospodarstwo od wszelkich nieszczęść. Było niedobrze, kiedy te stróże z jałowca postawione były kiedy weszło słońce. Zasady tej ściśle przestrzegano. W dniu wigilijnym wszyscy mieli dużo roboty, starsi przygotowywali paszę dla bydła na okres świąt, rżnęli siewkę, trzęśli siano ze słoma tzw. trzęsionkę, wydzielano ziarna dla kur i koni, żeby nie brać z tego, co przeznaczone do siewu, gdyż ruszane zboże w czasie świąt miało nie wschodzić lub nie wydać dobrego plonu. Kobiety przygotowywały kolację wigilijną, na którą składały się kapusta, groch okrągły i groch jasek, kasze gryczana i jaglana, kluski z makiem itp. potrawy. Kapusta była spożywana z chlebem a chleba trzeba było tyle nakroić, aby wystarczyło na całą kolację, żeby nie trzeba było dokrawać w czasie jedzenia. Mężczyźni przygotowywali słomę, którą przynoszono na Wigilię do mieszkania i która leżało do Św. Szczepana oraz snopek żyta nie młóconego na króla oraz wiązanek siana na pamiątkę narodzin Chrystusa na sianku. Kiedy już wszystko było przygotowane, zbliżał się wieczór, kiedy zobaczono pierwszą gwiazdkę przynoszono siano, słomę oraz króla, którego ustawiano w widocznym miejscu. Gospodarz czy któryś z domowników wchodząc ze słomą sianem i królem mówił: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Daj wam Boże szczęścia, zdrowia na tą świętą Wigilię”, domownicy odpowiadali: „Na wieki wieków amen. Daj Boże nam wszystkim”. Następnie rozkładano słomę na całej podłodze, część siana była kładziona przy królu i trochę siana kładzono pod obrus na dzieży (w której przygotowywane było ciasto na chleb). Następnie mówiono pacierz dłuższy lub krótszy, zależy od domu, śpiewano kolędy i odczytywano ewangelię.

Po złożeniu sobie życzeń, w czasie dzielenia się opłatkiem, przystępowano do spożywania przygotowanej wieczerzy. Opłatek był spożywany z miodem. Każdy z domowników musiał zjeść chociaż

jeden ząbek czosnku łącznie z łupinką, gdyż mówiono, że kiedyś czosnek powiedział: „nie obieraj mnie do gołego bo ja cię bronię od wszelkiego złego”. Czosnek uważany był za lekarstwo przeciwko przeziębieniom i różnego rodzaju innym chorobom.

Miskę z potrawą stawiano na dzieży, gdzie uprzednio położono opłatek. Uważano, że jeżeli opłatek przylepi się do jakiejś potrawy, to w przyszłym roku będzie jej urodzaj.

Przestrzegano zasady, że kiedy usiadło się do wieczerzy wigilijnej na słomie czy na stołeczku, w czasie spożywania nie można było nigdzie odchodzić. Każdej potrawy, która była postawiana na stole czy ktoś ją lubił czy nie, musiał chociaż łyżkę zjeść. Zawsze najlepsze było pierwsze danie czyli kapusta. Zawsze, jak pamiętam, była bardzo dobra może dlatego, że cały dzień się nic nie jadło, a jeżeli nawet, to najwyżej pieczone ziemniaki. Wszystkie potrawy były polewane olejem lnianym lub konopnym. Olej konopny był jeszcze lepszy jak był przyprawiony cebulą. Po skończonej wieczerzy wszyscy razem wstawali. Nie wolno było dłużyć w zębach słomą, która leżała na podłodze, potem miały boleć zęby. Wysyłano chłopca czy dziewczynę z konewką po wodę do studni, gdyż przyniesiona woda była jako wino, natomiast dziewczyny biegały do drwalki po drwa, pod warunkiem, że będą liczyć dopiero w domu. Po przyniesieniu do domu każda liczyła swoje. Było dobrze i radośnie jeżeli polanek była para, bo to świadczyło o tym, że panna wyjdzie za mąż w tym roku, natomiast jeżeli była liczba nieparzysta to znaczyło, że z zamążpójściem trzeba będzie poczekać rok a nawet dłużej. Następnie panny biegły do ogrodzenia z dranek lub sztachet i tyle, ile sięgały obie ręce, te dranki trzeba było policzyć w ten sposób, że mówiła przy pierwszej kawaler, przy drugiej wdowiec i jeżeli na końcu miary wypadł kawaler, to znaczyło że panna za męża dostanie kawalera a jeżeli natomiast wdowiec, ta wyjdzie za mąż za wdowca, więc której wypadł wdowiec to była smutna a której kawaler, to się cieszyła. Był zwyczaj, że po wieczerzy wigilijnej chłopcy i dziewczyny szli do sadu do jabłoni czy grusz, które nie wydawały owoców. Sprawa polegała na tym, że chłopiec chciał ścinać niektóre te drzewka gdyż nie rodziły owoców, natomiast dziewczynka czy chłopiec, jeżeli nie było dziewczynki, prosili, żeby nie ścinać bo w przyszłym roku będzie rodić owoce.

Zdarzyło się, że niektóre drzewka rodziły ze strachu. Po przyjściu z ogródka od drzewek, to następny zwyczaj (w domach) gdzie były panny, sąsiadki przychodziły pod okno i pytały „niosą wam się kury” a domownicy odpowiadali „a niosą się, niosą”, wówczas sąsiadka za oknem mówiła „a niech wam się niosą do samej wiosny, żeby wasze córki za mąż wyszły” i poszły do dalszych domów, gdzie były panny z wyżej podanym zapytaniem.

Następnie wybierano się do kościoła na pasterkę, była ona zawsze o godzinie 12 w nocy. Od nas chodzili na pasterkę do Puszczy Solskiej lub do Huty Krzeszowskiej, ale więcej chodziło do Huty, gdyż było znacznie bliżej.

Słoma w mieszkaniu leżała do godzin rannych do Św. Szczepana. Rano trzeba było wstać (na Szczepana) zebrać słomę, pozamiatać, zanieść krowom kołędę i dopiero wtedy można było zezwolić wchodzić do mieszkania połaźnikom, którzy przychodzili z życzeniami świątecznymi i za te życzenia trzeba było im zapłacić, bardzo to stary zwyczaj, który przetrwał do dziś. Po tych wszystkich ceremoniach młodzi schodzili się do jakiegoś domu i rozpoczynało się śpiewanie kolęd siedząc na słomie. Śpiewali kolędy do późnych godzin, było bardzo wesoło. Młodzież sama potrafiła radować się własnymi pomysłami. Od św. Szczepana rozpoczynała się kolęda męska. Młodzi chłopcy organizowali się w zespołach kolędniczych z szopką, z Herodem robili przedstawienia, była też muzyka, skrzypce i bębenek i obtańcowywali dziewczyny, które za taniec dawały pieniądze. Chłopcy kolędnicy umieli śpiewać dla dziewczyn, które też płaciły za to pieniądze. Za zarobione pieniądze organizowali sylwestra, była orkiestra, było skromne przyjęcie oraz taniec przez całą noc. Nie mieli takich warunków jak obecnie, brak było remiz, prosili jakiegoś gospodarza, który miał większe mieszkanie gdzie organizowali tzw. przepijankę kolędy.

Były też grupy kolędnicze, które z muzyką chodziły po kolędzie i śpiewali kolędy.

Od Sylwestra do Trzech Króli po kolędzie chodziły panny, może nie tak licznie jak chłopcy, ale chodziły i zbierały pieniądze na własne potrzeby.

W dzień wigilijny nie było mile widziane, żeby kobieta przyszła pierwsza do domu, uważano, że cały rok będzie nieszczę-

śliwy, dlatego kobiety wystrzegały się chodzenia w Wigilię przez cały dzień. W całym okresie świątecznym jeżeli kuzyni byli prośzeni w goście, to do domu pierwsi zawsze wchodzili mężczyźni, kobiety nie obrażały się, gdyż tak już było w zwyczaju.

Były przysłowia, że „jeżeli na Boże Narodzenie jasno, to w stodole ciasno”, więc kiedy Boże Narodzenie było jasne, to rolnicy mieli nadzieję, że będą dobre plony – czasami to się sprawdzało.

W oparciu o te zwyczaje i obrzędy, Zespół Obrzędowy z Bukowej opracował scenariusz pt. „Wigilia”, w którym staraliśmy się umieścić wszystkie wspomniane obrzędy i zwyczaje. Opracowania scenariusza dokonali Jargieło Maria, Irena Potocka – Dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Biłgoraju oraz ja jako najstarszy członek zespołu, ponieważ pamiętałem najwięcej z tamtych czasów. Widowisko to było nadzwyczaj udane i wystawialiśmy je w Krasnymstawie, na Sejmiku w Tarnogrodzie i wielu innych miejscowościach. Natomiast obrzędy i zwyczaje noworoczne były wystawiane w widowisku „Na Św. Szczepana”, które było wystawiane na Sejmiku w Tarnogrodzie.

Przewidywano, jakie będą poszczególne miesiące w nowym roku, a więc począwszy od Bożego Narodzenia do Trzech Króli, te dni oznaczały miesiące w roku przyszłym np. dzień Bożego Narodzenia oznaczał jaki będzie styczeń a dzień Św. Szczepana jaki będzie luty itd. Jakie były te dni pod względem pogody takie będą miesiące w danym roku. Ludzie pamiętali o tym i obserwowali czy się sprawdza, bardzo dużo się sprawdzało.

W wieczór wigilijny nasłuchiwało się, gdzie i czy w ogóle psy szczekają. Jeżeli pies szczekał na zachodzie to kawaler przyjdzie z zachodniej strony itd. Najlepiej było jeżeli pies szczekał na własnym podwórku, to wesele pewne. Kiedy swój pies nie szczekał, stosowano przymus, żeby chociaż raz zaszczekał.

Nie pamiętam żadnych zwyczajów związanych ze świętem Trzech Króli. Na ten temat nie pamiętam też żadnych anegdot. Było to normalne święto jak każda niedziela.

Święto Matki Bożej Gromnicznej było świętem ważnym,

uroczyście obchodzonym. Starano się, żeby była nowa świeca i koniecznie woskowa z wosku pszczelego. Na Bukowej byli pszcze-larze a zatem nie było kłopotu z woskiem, nie było też kłopotu z wykonaniem świec. Jak pamiętam, na Bukowej było dwóch wy-konawców świec. Małysza Marcin mieszkał pod numerem 61 (do-mek jeszcze tam stoi w sąsiedztwie Jana Stręciwilka) wykonywał on wojskowe świece woskowe podobnie jak Małysza Łukasz, który pochodził z Andrzejówki. Kiedy zakupił pole w Bukowej (obecnie nr 124) postawił budynki mieszkalne i gospodarcze, w Bukowej zamieszkał i trudnił się właśnie wykonywaniem gromnic. Zawód ten objął jego wnuczek Małysza Tadeusz, który jeszcze trudnił się tym zawodem.

A więc pamiętam, że w każdym domu przygotowywano świece woskowe, aby w święto Matki Boskiej Gromnicznej zanieść do Kościoła, by ksiądz poświęcił. Starano się ładnie ustroić świece, by kiedy ksiądz będzie święcił ładnie wyglądały i rzeczywiście były bardzo ładnie przystrojone. W czasie święcenia świece były zapalone i w kościele panowała bezwzględna cisza, by słyszeć czy zapalone w czasie święcenia świece będą pryskać. Jeżeli świeca pryskała, to świadczyło, że tego roku będą burze i będą biły pioruny. Ludzie bali się tych burz, bo różne nieszczęścia przynosiły, zabijały ludzi i wzniecały pożary. Jakoś tak było, że te świece w mniejszym lub większym stopniu pryskały w czasie święcenia i co roku szły straszne burzowe chmury z piorunami i ludzie przeżywali to strasznie. Ale byli różni ludzie, jedni bardzo bali się burz, drudzy mniej a jeszcze inni nie bali się wcale. W każdym razie do przyjemności to nie należało. Opisze takie zdarzenie może nawet humorystyczne. Otóż kilka osób z Bukowej wyjeżdżało do pracy w okolice Bieszczad do Nysy. Wyjechał tam także nasz sąsiad Adam M. Co tam robili, nie wiem. W każdym razie pewnego dnia pokazała się straszna chmura z piorunami, która szła w ich kierunku. Kiedy się zbliżała zaczął głośno prosić Boga, żeby chmura szczęśliwie przeszła, bardzo bał się tej burzy, tak przynajmniej opowiadali ci, co byli tam razem z nim. Kiedy chmura już przechodziła, to znowu mówił: Boże bij, bij, bij w tych, wszyscy pokładali się ze śmiechu. Śmiechu to jest warte, ale to zdarzenie było prawdziwe.

Kiedy z poświęconą świecą powracali do domu, najpierw zapalali

świece i wypalali w górnej części futryny w wejściu do mieszkania krzyż. Następnie wszystkim domownikom opalali tą świecą trochę włosów na głowie na znak, że Matka Boska Gromniczna będzie bronić w czasie burz i piorunów oraz, że pomniejszy to strach w czasie grzmotów. Świece tzw. gromnice były zawsze w takim miejscu, żeby w razie potrzeby nie szukać, aby były gotowe w każdej chwili. Gdy szły burze z piorunami stawiano zapalone gromnice w oknie z tej strony co chmura szła, aby Matka Boska Gromniczna broniła od nieszczęścia. Po postawieniu w oknie zapalanej gromnicy domownicy czuli się bezpieczniej gdyż mieli nadzieję a raczej pewność, że nic złego się nie wydarzy. Obecnie, kiedy idą chmury z piorunami w każdym domu zapala się gromnicę i stawia w oknie, jest naprawdę pewniej.

Trzeba tu nadmienić, że w obecnych czasach takich chmur burzowych jest niewiele. Jak pamiętam, kiedy byłem jeszcze mały, były straszne chmury z piorunami i to dosyć często. Był ogromny strach a szczególnie kiedy chmury szły nocą. Pastuszkowie pasący krowy w lesie uciekali z bydłem do domu, a nieraz, kiedy nie zdążyli, to w lesie musieli przeżyć ten strach. Bydło było pasione w lesie około 3 km od domu, nasłuchiowano, jak tylko coś tam daleko dudniło, uciekali z bydłem do domu.

Gromnica była podawana konającemu. W życiu mieszkańców wsi była bardzo potrzebna i często z jej dobrodziejstw korzystano. Do obecnej chwili wszystkie te zwyczaje są przestrzegane i na co dzień jest potrzebna jako światło Jezusa Chrystusa. Wszystkie te zwyczaje są przestrzegane i traktowane z największą wagą. Kiedy udawano się do miasta lub gdzieś daleko furmanką czy pieszo, a wiedziano, że powrót będzie nocą, brano gromnicę na odstraszenie wilków, których w lasach nigdy nie brakowało, zresztą z gromnicą podróż nocą była pewniejsza, człowiek czuł, że nie jest sam, że mu ktoś towarzyszy.

5 lutego jest Agaty. Wiele rzeczy przypisywano poświęconej w tym dniu soli św. Agaty. Kościół pamięta o tej świętej i w jej dniu poświęcona jest sól (nazywamy sól Św. Agaty) i wszyscy sól niosą do kościoła, aby ksiądz poświęcił. Solą tą obsypywano pole naokoło, żeby różne gady i żmije nie wchodziły na pole, natomiast, jeżeli

spostrzeżono lub widziano żmiję na polu, zostawiano mały kawałek nie posypany, żeby żmija miała którądy wyjść, bo gdyby nie było przerwy, żmija przez sól św. Agaty by nie przeszła i krążyłaby po polu naokoło nie wiadomo dokąd.

Drugą bardzo ważną rolę spełniała sól św. Agaty przy pożarach. Otóż byłem naocznym świadkiem pożaru stodoły Myszaka Wojciecha (naszego sąsiada). Pożar rozhulał się na dobre. Wiatr wywołany spalaniem się tlenu wiał wzdłuż wsi i zachodziła obawa, że mogą zapalić się sąsiedzkie budynki. Postanowiono wysłać kobietę z solą św. Agaty w pole. I tak zrobili, kobieta wzięła sól i poszła w pole. Za moment wiatr zmienił kierunek i wiał w stronę gdzie była kobieta z solą. Pożar się nie rozprzestrzenił i ułatwiło to gaszenie ognia. Byłem mały i widziałem w czasie pożaru kobietę stojącą w polu, i jak opowiadali, z solą św. Agaty. Jeżeli zakupiono konia lub krowę, zanim wprowadzono do obory obsypywano stworzenia naokoło, by żadne nieszczęście nie weszło z koniem czy krową do obory. Obsypywano solą również krowy, które pierwszy raz były wyprowadzane na pastwisko, nadal jest to praktykowane u niektórych.

Miesiąc marzec uważany był przez ludzi jako miesiąc najbardziej niezdrowy. Od niepamiętnych czasów uważano, że ludzie najczęściej chorowali właśnie w tym miesiącu. Dlatego przestrzegano zasady, że jeżeli wynieśli do przewietrzenia pościel czy inne ubrania, obowiązkowo musiały być zabrane do domu przed zachodem słońca. Robiono obrządek w gospodarstwie, aby po zachodzie słońca nikt nie kręcił się po obejściu. Uważano, że nieczyste duchy w marcu, po zachodzie słońca, mogły przynieść jakieś nieszczęście, chorobę. Nie przypominam sobie żadnych zwyczajów czy obrzędów, związanych ze świętem Zwiastowania Matki Boskiej, które wypada 25 marca.

Święta Wielkanocne miały swoje zwyczaje i tradycje. W dawniejszych czasach Wielki Post był przestrzegany z całą bezwzględnością, nie wolno było jeść potraw nawet z mlekiem. Jak pamiętam, a i opowiadali, ewentualnie można było spożywać serwatkę. Gotowano wówczas potrawy z różnych grochów, jak groch okrągły, groch jasek, bób, fasola oraz inne potrawy z marchwi i buraków.

Robiono tzw. „chołoduchę” (potrawa z mąki na zakwasu) powszechnie stosowaną w Wielkim Poście. Jediną omastą był olej lniany lub konopny oraz można było jeść potrawy z miodem np. kulaszę (to coś w rodzaju kutii - z mąki gryczanej, która po upieczeniu w garnku metalowym była bardzo smaczna. Obecnie jest też przyrządzana, ale z mąki pszennej. Na Wielkanoc przygotowywano pokarmy, które trzeba było poświęcić w kościele, a jeżeli nie było kościoła ksiądz poświęcał w jakimś gospodarstwie. Pokarmy na poświęcenie przygotowywano w bardzo dużych ilościach np. w dużym pudełku lub koszyku w takiej ilości, aby starczyło na całe święta i jeszcze na Niedzielę Przewodnią. Po poświęceniu pokarmów, osoba, która chodziła do święcenia po przyjściu do obejścia obchodziła z tym święconym koszykiem naokoło obory i bezpośrednio zanosila do komory, zakazane było wnoszenia do domu święconych pokarmów, zabezpieczając te pokarmy przed myszami, gdyż mówiono, że jeżeli mysz zje święconego obróci się w nietoperza, natomiast gdyby zjadł kot, to obróci się w sowę. Nietoperz kojarzony był z jakąś nieczystą siłą. Święcone pokarmy to chleb, bułka, kiełbasa, ser suszony, mięso gotowane, chrzan (korzenie chrzanu), pieprz i inne.

Jeżeli chodzi o kiełbasę to była ona bardzo smaczna. Kawałki mięsa z dodatkami czosnku i pieprzu jako przyprawy, były upychane palcami do kiszki przez kółko zrobione z patyka brzozy czy innego drzewa. Tak przygotowaną kiełbasę pieczono w piecu chlebowym. Zapach kiełbasy był tak miły, dodawał smaku, że oczami się jadło (takiego smaku nawet najdroższa i najlepsza kiełbasa z masarni nie ma). W Niedzielę Wielkanocną po przyjściu z Rezurekcji (jeżeli ktoś chodził, a chodziło się do kościoła do Puszczy Solskiej lub do Huty Krzeszowskiej) rodzina zasiadała do stołu (większych rozmiarów) z przyrządzonym przez matkę tak zwanym święconym, po odmówieniu krótkiego pacierza, przystępowano do spożycia, najpierw częstując się jajkiem i składając sobie życzenia. Było to najwspanialsze jedzenie w całym roku, wszyscy musieli się najeść do syta, bo było bardzo smaczne, a i cały post nie jadło się tłuszczu ani mięsa i skwarka. W młodości była to radość nie do opisania, wiedziało się, że po poście nastąpi taki czas, że będzie się jadło takie przysmaki. Jeżeli chodzi o zwyczaj polewania

wodą (śmigus – dyngus) to polewano się w Niedzielę Przewodnią, w czasie świąt dawniej nie polewano się. Młodzi chłopcy na ten czas polewania robili sikawki własnoręcznie. Wiercono w okrągłaku świdrem otwór, dorabiano końcówkę oraz tłoczek uszczelniony pakułami i sikawka była gotowa, łała sprawnie w zasięgu do 10 m. Oblewali dziewczyny aż musiały się wykupić pisanką, zdarzały się wypadki, że otrzymali jajko, było śmiesznie i radośnie.

Na święto Zesłania Ducha Świętego był zwyczaj, który częściowo jeszcze pozostał, że ubierano dom brzoźkami czy innymi gałęziami, a prawie obowiązkowo musiało być zielsko - tatarak czy rogożyna. Młodzi chłopcy szukali tego zielska w moczarach, nie wszędzie jednak ono było. Przynoszono tego dużo, rozścielano na podłodze, a w oknach wstawiano po obu stronach okna ziele. Wyglądało to uroczyście, a rozścielona rogożyna wydawała swoisty zapach. Było miło, wyglądano tych świąt i wszyscy przygotowywali się, aby wypadły jak najbardziej uroczyście.

Przed Zielonymi Świątkami było tak zwane poświęcenie pól. Zawsze był ksiądz. Procesja rozpoczynała się od początku wsi i szła po granicy pól i łąk ponad lasem na końcu wsi przechodziła na drugą stronę wioski i wychodziła na Ryczków wygon i do najbliższej figury, gdzie była rozwiązywana.

W czasie procesji odmawiano różaniec i śpiewano dużo pieśni religijnych, proszono Boga, aby błogosławił plonom, łąkom, zbożom, aby bronił od nawałnicy, gradobicia i innych klęsk żywiołowych. Zwyczaj ten pozostał, tylko procesja nie idzie po polach jak wówczas a przez wieś, a kończy się Mszą Św. w kościele.

Boże Ciało bardzo uroczyście obchodzono. Panował taki zwyczaj, żeby przed Bożym Ciałem nie kąpać się w rzece. Kąpiel w rzece przed Bożym Ciałem, to tak, jakby kąpiel w wodzie nieczystej, dopiero na Boże Ciało i później można było się kąpać. Było takie przysłowie: „Na Boże Ciało wchodzi do wody śmiało”. Po części przestrzegano tej zasady.

Świętego Bartłomieja przypada 24 września i jest on zwiastunem jaka będzie zima. Jeżeli na Św. Bartłomieja wieje wiatr północny, północno – wschodni lub północno – zachodni wróżyło to na ostrą zimę, na duże śniegi od wschodu. Na średnią zimę natomiast wróżył wiatr od wschodu, a wiatr południowy wróżył

na ciepłą (mówiono lekką zimę) zimę. Jak mówili, zawsze to się sprawdzało. Teraz może mniej, bo atmosfera jest zakłócana i na świecie dzieje się coś nie tak, ale sprawdzić trzeba czy wiejący na św. Bartłomieja wiatr sprawdzi się w zimie.

Dzień 29, 30, 31 maja są tzw. dniami krzyżowymi.

Jak uważano dawniej, były to dni, kiedy czarownice i różnego rodzaju wiedźmy miały swój czas działania. Widziano w tym czasie wiedźmy nago pod mostem lub na drogach krzyżowych i coś tam robiły. Były przypadki, jak wtedy opowiadano, że nawet wiedźmy te rozpoznawali. Wiedźmy robiły postrach wśród hodowców krów, ponieważ na skutek działań wiedźm krowy nie dawały tyle mleka co przedtem, mleko było gorzkie albo nie chciało się zsiąść, nie można było zrobić masła, a jak się zrobiło to było tzw. zarobione (czyli było rzadkie). Podejrzewano różne osoby o taką nieczystą robotę. „Kurzono” krowy zielem święconym na Matkę Boską Zielną (15.08) bardzo często po takim nakurzeniu zielem pomagało. Jeżeli nie pomagało, a z mlekiem były kłopoty, szukano wróżbitów, którzy byli w okolicy i tam udawano się po poradę, co należy zrobić. Bardzo często wróżbita tak jakby domyślał się kto to mógł zrobić, ale jasno nie powiedział kto. Najczęściej dawał różne zalecenia, które miały mleko naładować, przeróżne kadzenia, umywanie garnków, a wodę, tę z mycia garnków kazano wynosić na np. 6 – tą czy 7 – mą miedzę, na krzyżowe drogi, na kamienie, na płoty lub na ścieżkę, gdzie najczęściej ludzie chodzą. Wylewając wodę w miejscu zalecanym należało wodę wylać, 3 razy splunąć i iść do domu nie oglądając się za siebie.

Szkoda tylko, że tych wszystkich rzeczy, jakie opowiadano w moim domu podczas cowieczornych schadzek, wtedy nie zapisywałem.

Byli także tzw. czarnoksiężnicy i taki czarnoksiężnik był w okolicach Rzeszowa. Otóż, jak opowiadano sobie był to człowiek wszechwiedzący, kto z czym do niego nie przyszedł. Opowiadali, że jak kto do niego przyszedł czuł się jak na innym świecie. Zdarzyło się, że dwie kobiety z Bukowej wybrały się do tego czarnoksiężnika. Jest to kawał drogi bo ok. 100 km. I jak tak sobie szły rozmawiały między sobą. Nie wiem, która powiedziała mniej więcej tak: „wiecie kumo a może my tam darmo idziewa, może on nic nie wie, a darmo nasza droga i męczarnia, a druga mówi może to i

prawda, ale wiecie już my tyle przeszli to chodowa co będzie. I tak doszły do tego czarnoksiężnika. Kiedy weszły do pokoju w którym przyjmował, od razu do nich ostro powiedział, że jeżeli nie wierzycie to po co przyszłyście. Były tym bardzo przestraszone, ale ich załatwił, ale czy powiedział im prawdę i czy pomogło tego nie wiem, jednak szeroko wiedziano, że taki czarnoksiężnik jest a raczej był.

A i teraz zdarzają się osoby przepowiadające przyszłość, których przepowiednie czasem się sprawdzają. Przytoczę prawdziwy fakt, który przydarzył się w mojej najbliższej rodzinie. Mój rodzony brat Jan służył u dziadka w Ciosmach (matka moja pochodziła z Ciosmów z domu Ciosmak), służba u dziadka nie była zła, dobrze mu było, był chłopcem ogólnie lubianym. Pewnego razu cyganka zaproponowała, że mu wyrzuci z kart. Brat zgodził się i zapłacił za wróżbę 2 zł., po postawieniu kart w ostatnim słowie powiedziała mu czeka cię służba wojskowa, ale w wojsku długo służyć nie będziesz. Brat przejął się tą wróżbą i poskarżył się do matki, że tak mu cyganka przepowiedziała, matka pocieszyła go, że cyganka musiała coś powiedzieć, ale co ona może wiedzieć co będzie naprzód. Niby się uspokoił, ale ciągle miał to na myśli. Przyszedł czas, kiedy otrzymał kartę poborową do wojska, wcielili go do 21 Pułku Ułanów Nadwiślańskich II Szwadron Równe – Wołyńskie. Wyjechał z domu do wojska, pamiętam ten moment, płacz i lamenty matki i rodzeństwa, ale to nic nie pomogło, do wojska trzeba było jechać. Zaraz na drugi dzień ktoś powiedział, że Janek Malców z wojska nie wróci, bo gdy dojechał furmanką do figury za polem, obejrzał się do wsi, ktoś to widział i to miało świadczyć o tym, że do domu już nie wróci. W ogóle takie były ostrzeżenia ludzi starszych, że jak się gdzieś wyjeżdża, aby się nie oglądać do tyłu, bo to bardzo może się źle skończyć. I rzeczywiście, brat służył w wojsku około 9 miesięcy, od grudnia do sierpnia 1934 roku. Jak pisał, ich szwadron był w obstawie na pogrzebie Józefa Piłsudskiego i zaraz po tym ich pułk wyjechał na poligon w okolicy Łucka. I zginął właśnie na tym poligonie. Pewnego sierpniowego dnia przyszedł telegram, że brat nie żyje i że na drugi dzień jest pogrzeb. Rodzice i cała rodzina była w rozpacz. Ze względu na brak pieniędzy nikt z rodziny nie brał udziału w pogrzebie. Zresztą, nawet gdyby były pieniądze, to że

względu na krótki termin i brak dobrego połączenia nie tylko kolejowego, nie było możliwości zdążyć na czas. Tak dalekiej drogi (400 km) do Równego Wołyńskiego, bo tam pochowany jest mój brat, nikt nie był w stanie w tak krótkim czasie pokonać. Jedyne Karczmarzyk z Niemirowa, którego syn razem z bratem był w wojsku i razem zginęli w falach rzeki Styr koło Łucka, po otrzymaniu telegramu o śmierci syna wsiadł na rower i jadąc przez całą noc zdążył na część pogrzebu.

Przebieg zdarzenia w którym zginął mój brat według opowieści osób, które tam były, był następujący. Dowódca wytypował dwie czwórki ułanów i dał rozkaz przeprawy konno przez rzekę Styr. Jak opowiadają świadkowie, ułani poszli wpław konno trzymając się grzywy koni, a gdy przeszli już połowę jeden z koni z przodu zawrócił i zrobił się straszny zamęt. Wszystkie konie zaczęły się buntować, zawracać i żołnierze dostali się pod kopyta koni. Zaczęło się wyciąganie ułanów z rzeki. Jak poszło 2 czwórki ułanów (8 żołnierzy) tak nie wrócił ani jeden, wszyscy utonęli. Wszystkich nieżywych wyciągnięto z rzeki i w czasie oględzin mój brat miał znaki uderzenia w twarz kopytem końskim. Zresztą, jak opowiadali, wszyscy ułani mieli znaki po uderzeniu kopyt końskich. Wśród utopionych był mój brat z Bukowej i Karczmarzyk z Niemirowa oraz dwóch ułanów pochodzenia niemieckiego. Różne były wersje tego wydarzenia, jedni mówili, że w tym miejscu były bardzo duże wiry wodne, inni zaś, że w tym miejscu były zasieki druciane z I wojny światowej, inni, że konie czegoś się buntowały co doprowadziło do tej strasznej tragedii.

Rodzice nie otrzymali żadnego odszkodowania, a wówczas mówiło się, że więcej dbano o konia niż o człowieka. Niektórzy przepowiadali, że dowódca starał się o awans za ten wyczyn gdyby się ta przeprawa udała, bo prawdopodobnie dowódca nie miał prawa przeprowadzać wojska w taki sposób przez tak niebezpieczną rzekę. Według relacji ustnej Wincentego Małka, który służył w Równym Wołyńskim, że brat jak wszyscy, którzy zginęli, pochowani są na cmentarzu w Równym Wołyńskim.

I mi wróżka wywróżyła prawdę, na którą nie czekałem długo, może 3 miesiące. Nie znam imienia wróżki ale mieszkała koło cmentarza biłgorajskiego. Wywróżyła mi, że będę miał kłopoty z wojskiem

i dodała, że czekają mnie budynki rządowe czy coś w tym rodzaju. Ponieważ dowódcy ruchu oporu mówili mi, żebym robił wszystko, żeby nie pójść do wojska (rocznik 1921, 1922, 1923 i 1924 podlegał służbie wojskowej w 1944). Na jednej z komisji podałem fałszywą datę urodzenia, zamiast rocznik 1922 podałem rocznik 1921, gdyż ten rocznik nie miał być brany na razie do wojska. Bardzo szybko mnie ktoś rozszyfrował. Kiedy jechałem z żoną w 1946 r. na Zachód, wojsko zatrzymało mnie i siedziałem dwa tygodnie w Lublinie, w jednostce, która zbierała dezertków, mnie uważano za dezertera, to pierwsze się sprawdziło. A druga rzecz, którą przepowiedziała mi wróżka i która się sprawdziła to to, że zostałem zatrudniony jako pracownik umysłowy w Nadleśnictwie Kocudza.

Niezapomnianym okresem wiosny był miesiąc maj. Odmawiane przy każdej kapliczce majówki gromadziły wszystkich wiernych, od małych dzieci do starszych ludzi. Odmawiano Litanię do Matki Bożej, zalecano modlitwy w różnych intencjach, modlono się, aby Bóg oddalił wszelkie klęski żywiołowe, bronił od nawałnic i wszelkiej niepogody, modlono się również o dobre urodzaje gdyż to była podstawa do życia dla ludzi na wsi. Po modłach śpiewano przepiękne pieśni do Matki Bożej, Pana Jezusa. Wiadomo, że maj jest miesiącem poświęconym Matce Bożej, że przyroda w pełni obudziła się ze snu zimowego, wszystko budzi się do życia, rozwijają się kwiaty, kwitną sady. Rechoty żab świadczyły o tym, że wiosna jest w pełni i przy rechocie żab odbywa się majówka. Co za piękny koncert, głosy ludzi śpiewających pieśni na cześć Boga i rechot żab, które jakby wtórowały w tej pięknej ceremonii. Obecnie nie słyszy się już śpiewu majówek, może bardzo sporadycznie gdzieś tam ludzie schodzą się przy kapliczce i śpiewają majówkę. U nas obecnie odprawiane są majówki w kościele, ale bardzo mało ludzi chodzi na te nabożeństwa, jest bardzo mało młodzieży. Do kapliczki przychodzili wszyscy, jak już wyżej wspomniałem. A teraz, gdzieżby ktoś szedł na majówkę, kiedy w telewizji lecą filmy.

Kiedyś, kiedy wyszło się rano na podwórko czy w pole słychać było granie cietrzewie (bulkotanie) tego teraz się nie usłyszysz, ptactwo to nasze lasy opuściło, można powiedzieć, że prawie nie słyszy się śpiewu ptactwa jak to było za moich młodych lat. Ptac-

two, a przeważnie cietrzewie i głuszcę lubi spokój, zasiedla się na bagnach w miejscach niedostępnych dla ludzi, lubi bezwzględny spokój, a gdzie teraz zazna spokoju, kiedy w lesie jazgot pił motorowych, ciągników i innego sprzętu mechanicznego, to jest ogromny hałas i dlatego ptaki, które towarzyszyły człowiekowi przy pracy zmuszone były go opuścić lub zaszyły się w takim miejscu (czy jeszcze są?) gdzie śpiew ich nie dochodzi do ludzkiego ucha.

Pełne śpiewu były poranki pastuchów pasących krowy w lesie czy na polu. Wyganiano na pole bydło raniutko i las kołysał się od śpiewu przeróżnych piosenek i innych wymyślonych krótkich przyśpiewek ośmieszających kogoś lub innych bardzo wesołych słów i melodii np. „Pasteczka pasie bydło, co się schyli to jej widno a pastuszek jej nawraco co się schyli to pomaco” i wiele, wiele innych podobnych, pełnych żartów i humoru, a czasem były i smutne mówiące o niedoli chłopskiej. W moim sąsiedztwie bydło się pasło razem w lesie. Zaganiano w jedną gromadę krowy do Malców, do Małyszaków, gdzie mieszkam obecnie (Małyszki lub Zezuli nazywano dom z którego pochodziła moja żona). Pastuchy, a było ich ok. 10, pasąc krowy zabawiali się w różne zabawy. Bito pikora, kice lub bito świnię, gra podobna do hokeja na lodzie. Była to gra następująca; w środku był wykopany mały dołek, którego pilnował jeden chłopak, by do tego dołka nie zagrano krążka zrobionego z huby sosnowej, który popychali za pomocą kija chłopcy biorący udział w grze. Była to gra bardzo popularna wśród pastuchów. Kijów i hub sosnowych w lesie nie brakowało. Bardzo często słyszało się śpiew godziniek, pieśni „Kiedy ranne wstają zorze” i innych pieśni maryjnych. To były zupełnie inne czasy. Wszystkie prace wykonywane były ręcznie przy pomocy konia, ludzie mieli czas na spotkania, pogawędki na miedzy, mimo, że kosili kosami, ręcznie. Teraz do sąsiada sąsiad nie przychodzi, bo gdy nawet przyjdzie nie pogadają, bo leci film w telewizji, kogoś tam mordują, sceny mrozące krew w żyłach, no, ale tego nikt nie zmieni, tak pozostanie, chyba że się ludzie ockną i pomyślą, że obraliśmy zły kierunek, zresztą telewizora z domu nikt nie wyrzuci, bo w niektórych sprawach jest potrzebny i wizyjnie świat stał się bliższy. Więc lepiej zostawić to tak jak jest, a czy mamy inne wyjście.

Obrzęd żniwny: jak zapamiętałem żniw oczekiwano z nadzieją, że będzie chleb i będzie się można najeść do syta. Wspominano, iż w niektórych domach chleb był przez ojca czy matkę wydzielony rodzeństwu, nie leżał chleb na stole, żeby sobie mógł ukroić i zjeść ile trzeba, zwyczaj ten obowiązywał w tych domach przez cały czas. W większości, u mieszkańców jak był, to leżał na stole czy na ławce jak nie było stołu i można było sobie ukroić w dowolnej ilości. Był tak zwany przednówek i za wiele tego chleba nie było, dlatego żniw wyglądano i bardzo się nimi cieszą. Przygotowywano sierpy i noszono do fachowców, żeby sierp naostrzyć (w Bukowej takiego fachowca nie było), aby był ostry przy rżnięciu żyta. Przed rozpoczęciem żniwiarze żegnali się (robili znak krzyża na pierśiach) i przystępowali do żniw. Żniwa trwały co najmniej dwa trzy tygodnie, zależy od tego, ile kto miał pola. Bogatsi gospodarze najmowali żniwiarzy, przeważnie płacili im zbożem, ale zdarzało się również i tak, że płacono gotówką.

Niektórzy pracowali u bogatszych gospodarzy na odrobek, bo pożyczali od nich różne sprzęty gospodarskie np. pługi, brony, kultywatory, gdyż ci biedniejsi nie mieli za co tych sprzętów kupić. Właśnie za takie pożyczki sprzętu trzeba było odrobić w polu.

Zdarzało się, że ktoś z grzeczności nie przyjmował żadnej zapłaty, pomógł w żniwach, bo do bogatego zawsze może się przydać.

Po zakończeniu żniw na polu wito wieniec dożynkowy. Małą garść kłosów obwiązywano słomą z kłosami przy samych kłosach następnie splatano warkocz, końce obcinano podzielono na dwie części, robiono krzyż i rzucano aby jak najwyżej w górę, co miało oznaczać że na drugi rok urośnie takiej wysokości. Trzeba tu wspomnieć, że wybierano z 5-ciu snopów ustawionych w kole i z każdego snopka wybierano po 2 lub 3 czy 4 kłosa z wszystkich równo.

Wieńcem okręcano lub wieszano (wieniec) na szyi gospodarza i życzenia składano, żeby był zdrow i żeby się dzielił chlebem z wszystkimi. Idąc z pola żniwiarze śpiewali pieśni żniwne i dziękowali Bogu, że błogosławił ich pracy przy żniwach. Byłoby to wszystko co pamiętam. Tylko jeszcze jedno. Pamiętam, kiedy pierwszy raz we wsi Bukowa wyszedł kosić żyta kosą na Kobyłąk. Był to Kazimierz Małysza (Bieńko). Co to była za obraza, wszyscy prawie

byli zgorzeni jak on może kosić żyto kosą, ile to zmarnowania, a ile żyta (ziarna) wysypie się na polu, po prostu wszyscy byliśmy oburzeni. A on zrobił swoje, wykosił kosą, na nic nie zwracając uwagi. Powoli ten system żniw się przyjął do czasu wejścia na pole kombajnów. Ścięte żyto sierpem czy kosą stawiano po 15 snopków, ale pamiętam ogromne kopy żyta zestawione po kopie snopków (po 60 snopków). Ktoś też pierwszy zaczął ustawiać po 15, żyto prędkiej schło i obecnie nikt takich gigantów nie stawia. Duże kopy stawiano, gdyż wychodzili z założenia, że w czasie burz, jakie zdarzały się w okresie żniw takiej dużej wiatr nie mógł zawalić, bo te małe w czasie burzy mało która stoi.

Noc świętojańską uważano za noc szczęśliwą, gdyż w tę noc mówiono, że kwitną paprocie. Jeżeli ktoś znalazł kwiat paproci a trzeba było go szukać wyłącznie w noc świętojańską, był najszczęśliwszy na świecie. Mi jednak nie udawało się znaleźć tego kwiatu paproci, choć go szukałem.

Andrzejkki należą do bardzo miłej tradycji. Pamiętam w wieczór andrzejkowy zbierały się dziewczęta aby sobie powróżyć co je czeka. Przynosiły w ustach wodę z rzeki, by w tej wodzie zrobić ciasto, z którego pieczono placki. Po upieczeniu placków kładziono je w rzędzie na podłodze i wołano psa. Polegało to na tym, że której panience pies złapał placek to prędko wyjdzie za mąż, więc prosiły psa by jadł jej placek pierwszy. A pies jak był głodny, a przeważnie psy były głodne, to wszystkie placki zjadł. Ale tu chodziło o to, której placek będzie zjedzony pierwszy. Były przypadki, że dziewczyny niosąc wodę w ustach kilkakrotnie wracały do rzeki po wodę, bo w czasie niesienia było mnóstwo śmiechu, woda wylewała się z ust, dziewczyna musiała wracać do rzeki po następną wodę i tak jak już wspomniałem niektóre wracały do rzeki po kilka razy a niektórym udawało się donieść wodę za pierwszym razem. Ustawiały sobie obuwie od ściany naprzeciwko progu i przesuwały buty jakby idąc ale tuż przy sobie, i której obuwie przekroczyło próg to wróżyło, że ta dziewczyna wyjdzie za mąż jako pierwsza.

Ukradkiem wchodziły do ogrodu gdzie był kawaler i w sadzie były drzewa wiśni, każda rwała gałązkę wiśni odpowiednio

oznaczając każda swoją, wkładały do jakiegoś naczynia, najlepiej do dzbanka napełniając go wodą i w wieczór wigilijny schodziły się by sprawdzić, która gałązka najlepiej się rozwinęła to znaczyło, że w tym roku wyjdzie za mąż. Różnie te gałązki się rozwijały, albo bardzo albo mało się rozwijały, co świadczyło, że z zamążpójściem trzeba poczekać.

Jedną z ostatnich imprez, gdzie pomagali sobie sąsiedzi były obieraczki (obieranie kapusty). Był to ostatni zbiór plonów z pola przed zimą. Zwykle tak zwane rąbanie kapusty odbywało się pod koniec października - początek listopada. Przygotowywano się do tych obieraczek, moczono beczki na kapustę w wodzie, gdyż przez lato się trochę rozeschły a do kiszenia musiały być beczki szczelne by kropla wody nie uszła z beczki, gdyż kapusta się nie ukisiła. Kiedy już było wszystko przygotowane jechano w pole wozem drabiniastym i przywożono wyrąbaną kapustę. Kapustę rąbano tasakami lub małymi siekierkami bezpośrednio rzucając na wóz. Jak pamiętam, kapusta była jednym z głównych składników pożywienia dla całej rodziny. Mówiło się, że nie ma kapusty, nie ma co jeść i rodzina głoduje. Dlatego przez cały czas od posadzenia rosady robiono wszystko, aby kapusta urosła, bo to gwarantowało, że rodzina będzie miała co jeść. Rodzice opowiadali o tym jak to w dawniejszych czasach stosowano metodę, że kiedy miało się sadzić kapustę jeden z członków rodziny a najczęściej gospodarz jechał na jarmark, kupował jedną czy dwie świnki i jak wracał z tego jarmarku to jechał prosto ze świniami, które wiózł w worku na pole i z tymi świnkami obchodził naokoło posadzonej kapusty, żeby świnki rosły szybko jak kapusta. Było tak, że kapusta urosła i świnki urosły jako gotowa omasta do kapusty.

Kapustę przywożono i wnoszono ją do mieszkania, a było tej kapusty bardzo dużo trzy, cztery a nawet i pięć wozów drabiniastych. Kiedy całą kapustę wyrąbano i zniesiono do mieszkania, nie było gdzie się ruszyć a przecież musiało być miejsce, ponieważ wieczorem schodziły się obieraczki, przychodzili i młodzi i starsi a także i dzieci gdyż i dla nich znalazła się robota. Nieco później przychodzili kawalerowie i starsi mężczyźni. Podział pracy był następujący: kobiety obierały kapustę z liści, dzieci nosiły główki kapusty

we wskazane miejsce, starsze dzieci jak ich wcześniej nazywano „podlotki”, wynosiły liście na podwórze w oznaczone miejsce, ale przeważnie do wanny gdzie kawalerowie siekali kapustę specjalnie przygotowanymi tasakami. Siekali we trójkę, każdy miał dwa tasaki i tak stojąc przy sobie drobnym przesuwaniem nóg obchodzili dookoła wannę siekając kapustę. Inni natomiast układali główki w beczce jedna koło drugiej zasypując pomiędzy główkami kapustą posiekaną. Zakiszali też kapustę wyłącznie siekaną, wówczas sypano warstwę kapusty do 15 cm ubijano pałką specjalnie do tego przygotowaną po uprzednim posoleniu, czasami wsadzano do beczki kobietę lub mężczyznę z czystymi nogami, który ubijał kapustę nogami. Nie było to higieniczne, ale tak stosowali, w późniejszym czasie przestano stosować tego rodzaju praktyki. Powstało takie powiedzonko: Kum do kuma mówi: „kumie, były u was obieraczki, kumie” a ten odpowiada „Ni, a czego pytacie?” „A bo takie czyste nogi macie”.

Jeżeli chodzi o ilość kapusty to było bardzo dużo. W moim domu a i nie tylko kiszone było jeżeli kapusta w główkach to dwie beczki, jeżeli szatkowana to jedna beczka i jedna beczka dla bydła. Obierane liście z kapusty były sortowane, pierwsze liście były przeznaczone dla bydła natomiast te od samej główki na spożycie dla ludzi. Pojemność beczek, 1,30 m wys. oraz średnica beczki do 80 cm. Tak zwane głąbki kapusty również siekano dla bydła. Więc wszyscy mieli robotę i każdy chciał coś zrobić, żeby być proszonym na kolację. Po zakończonej pracy, która trwała ok. 4 godzin była kolacja dla uczestników obieraczek, która składała się z kaszy jaglanej i kaszy tzw. sypkiej z mlekiem gotowanym (kasza sypka to kasza gryczana). Muzykanci przychodzili już w czasie kolacji, których częstowano jajecnicą, najlepszym jedzeniem w tym czasie.

Po kolacji zaczęła się potańcówka, przygrywali muzykanci na skrzypcach i bębenu a byli to w tym czasie Małek Jan, Małek Stefan, Myszak Stanisław, Węgrzyn Jan, którzy grali na skrzypcach, a wielu młodych ludzi umiało grać na bębenu.

W czasie obierania kapusty dziewczyny i kobiety śpiewały przeróżne piosenki i przyśpiewki. Czasami podzieliły się na grupy i przyśpiewkami konkurowały ze sobą, która to grupa umie śmiesz-

niejsze przyśpiewki. Było bardzo miło, radośnie i swojsko. Po zabawie kawalerowie odprowadzali swoje dziewczyny do domu. Porozmawiali przy jakimś słupie, a może coś tam jeszcze. To są niezapomniane przeżycia, że młodzi sami potrafili sobie znaleźć miłą rozrywkę. Dzisiaj młodzież ma podane wszystko na talerzu, chce się zabawić, wkłada kasetę i już zabawa, a z kasyty płynie melodia, od której bębenki w uszach pękają, jazgot, ani to melodii, ani słów tylko grzmot - orkiestra silnego uderzenia. Dla ludzi starszych nie ma co słuchać, może jestem w błędzie? – Wybaczcie.

Kiedyś na zabawie, kiedy przygrywała orkiestra smyczkowa czy dęta, było miło posłuchać. Na zabawę przychodzili wszyscy młodzi i starsi, obecnie jest tylko młodzież i starsze dzieci. Osoby starszej nie ma. Osoby starsze są niemile widziane na zabawie. Młodzi tak jakby stronią od starszych, nie tak jak kiedyś młodzi i starsi tańczyli razem i młodzi mieli więcej szacunku do starszych. Cóż zrobić czasy się zmieniają a dawne czasy idą w niepamięć, zanikają.

Zawdzięczam Bożej Opatrzności, że mnie natchnął myślą bym napisał jak potrafię parę słów o zwyczajach i obrzędach w mojej rodzinnej wsi. Bo cóż pozostawię po sobie, jedynie moje wspomnienia, które w sposób dla mnie możliwy przelałem na papier. Te zwyczaje i obrzędy są przekazywane przez nasze poprzednie pokolenia, przez naszych pradziadów i ja bardzo się cieszę, że do mojej młodości przekazane mi było być świadkiem tego wszystkiego co z tamtych czasów mi przekazano. Wspomnę, że bardzo mile czytałem notatki pisane z dużą ilością błędów ortograficznych, ale pisane w swoim języku, które pisał mojej żony dziadek – Andrzej Małysza – były one bardzo krótkie i czasem błahe, ale zawsze do nich wracałem i lubiłem je czytać. Niestety, w czasie przeprowadzki wszystko zaginęło. Starąłem się napisać wszystko z tych lat co pamiętam, nie uciekałem się do nikogo o relację ustną a sam z pamięci, która już zawodzi, to co działo się w zakresie mojej wsi Bukowa.

Rozdział IX

Legenda o karczmie w Bukowej

Było to bardzo dawno temu, kiedy lasy Puszczy Solskiej stanowiły ogromny kompleks leśny, prawie niedostępny dla człowieka. Ogromne obszary bagna, trzęsawiska stanowiły ostoję dla różnego rodzaju dzikiego ptactwa jak: głuszce, cietrzewie, dzikie kaczki, gęsi i inne. Lasy te były ostoją dla dzikiej zwierzyny jak: jeleni, sarny, dziki, lisy, borsuki, zające i wiele innych. Lasy Puszczy Solskiej to lasy sosnowe z małymi fragmentami jodły, świerka, brzozy, dębu i buka. Fragment lasów bukowych był w miejscu gdzie obecnie znajduje się wieś Bukowa, która nazwę swoją wzięła od rosnących tu buków. Na pewno wcześniej nazwa ta miała miejsce gdyż przepływająca rzeka na północnej stronie wsi nosiła nazwę Bukowna, obecnie Bukowa, które łączą się ze sobą na 44 numerze, dawna posiadłość Małyszów. Pierwszym osadnikiem w XVI wieku był przybysz z Galicji - garncarz. On założył dom, w którym wyrabiał garnki, pobudował również piec garncarski i drzewem bukowym wypalał wyrobione garnki.

Z biegiem lat wieś Bukowa zaczęła się rozbudowywać, a z dawnych buków prawie nie pozostało nic, ale nazwa o ich istnieniu pozostała.

Legenda mówi, że Ordynat Zamoyski, którego własnością były te tereny pobudował karczmę, która jak się później okazało, na 25 numerze tabelowym była na tak zwanej Bukowskiej Górze. Karczma stanowiła przystań dla kupców i handlarzy, gdyż droga przez wieś Bukowa była ważnym szlakiem z Galicji na teren Chełmszczyzny. Kupcy przyjeżdżali tędy z różnego rodzaju towarami, wyrobami skórzanymi jak obuwie i tym podobne artykuły. Zatrzymywali się w karczmie na odpoczynek i posiłek. Również myśliwi, którzy przyjeżdżali na łowy w niedostępne prawie lasy, korzystali z tej karczmy, a zwierzyny było pod dostatkiem. W okolicy Maziarni przebiegała granica austriackiego zaboru i przez tę granicę prze-

mycano alkohol w baryłkach drewnianych o pojemności od 3 do 5 litrów. Granicy tej strzegli kozacy i nie dopuszczali do przemycania czegokolwiek. Przemyt alkoholu odbywał się przez ogromne bagna a przemycnicy musieli pokonać ogromne trudności, aby ominąć i nie wpaść w ręce kozaków.

W karczmie odbywały się różne zabawy, pito przeróżne alkohole jakie wówczas produkowano. Grano w karty, a grający przegrywali ogromne pieniądze a nawet ziemię. Mój ojciec opowiadał że jego prapradziadek przegrał lub przepił kawałek pola położony w lesie na tzw. Kobyliim Grądzie. Pole to wygrał w karty lub kupił za bezcen prapradziadek mojej żony. Ordynat Zamoyski przy uwłaszczaniu chłopów dodawał kawałek ziemi jeżeli ktoś dostał kiepskie pole. Tak właśnie mogło być gdyż gdzie moi dziadkowie dostali pole bardzo niskiej klasy, góry piaszczyste to otrzymali jako wyrównanie kawałek pola na Kobyliim Grądzie. Nie wiadomo dokładnie, jak to było, ale jest prawie pewne, że transakcji tej dokonano właśnie w tej karczmie.

Pewnego dnia pito i grano w karty karczmie do późnych godzin nocnych a zdarzało się, że grano w karty za pieniądze do rana. Około godz. 12 w nocy pod karczmę zajechał powóz zaprzężony w piękną parę czarnych koni o bardzo bogatej uprzęży. Z powozu wysiadł pan w czarnym smokingu i czarnym cylindrze na głowie. Po wejściu do karczmy przysiadł się do grających w karty i poprosił o dopuszczenie go do gry. Grający chętnie wyrazili zgodę, gdyż przybysz wyglądał na bogatego, a co najważniejsze poczęstował ich jakimś trunkiem. Po poczęstunku gra rozpoczęła się na dobre. Niestety, przybysz nie miał szczęścia do gry i zaczął sromotnie przegrywać. Za oknem zapiał kogut a puszczyki i sowy zaczęły hałasować i wydawać różne okrzyki. Z dzioba puszczyka dał się słyszeć głos podobny do ludzkiego, który jakby mówił: „wyjedź, wyjedź, wyjedź”. Wówczas stało się coś strasznego. Przybysz wstał, buchnął pięścią w stół aż posypały się iskry, wyszedł, wsiadł do powozu i ruszył z taką siłą, że spod kopyt końskich i kół posypały się kłęby iskier. Zerwał się straszny wiatr, jakby huragan z ogromną siłą i w tym kurzu, jaki wydobywał się spod kół, pan ten jakby zniknął wszystkim z oczu. Wszyscy oniemieli ogromnie przestraszeni, kiedy doszli do siebie mówili między sobą, że to był zły duch, że to

był diabeł. Szylnik zaniepokojony czym prędzej kazał wychodzić biesiadnikom i karcznię zamknął. Od tego dnia omijano karcznię, nikt nie przychodził grać w karty i popijać trunków. Skończyły się orgie pijackie i hazardowe gry w karty. Karczma opustoszała, a karczmarz bał się nocować w karczmie, bo straszło każdej nocy. Karczma stała się przystanią jakiegoś dziwnego plectwa, kruków, sów i przez całą noc wyprawiały się tam jakieś dziwne harce. Karczma stała się również przystanią dla wszelkiego zła, różnych wiedźm i czarownic, które na miotłach startowały z dachu i leciały gdzieś w nieznaną stronę strach i niepokój a gdy wracały ze swojej wyprawy zawsze zrywały się wiatry. Kiedy na miotłach czarownice lądowały na dachu karczmy, przez komin dostawały się do wnętrza. A i obecnie zdarza się w tym miejscu, że coś straszy a najgorzej jak światło zgaśnie około północy i jest ciemno, przeróżne dziwadła dają znać o sobie, a puszczyk jak dawniej krzyczy gdzieś ukryty w zakamarkach swoje dawne „wyjedź, wyjedź, wyjedź” a to oznacza, że niebawem pojawi się nieboszczyk. Okrzyki te są coraz częściej, ale zdarza się, że w głosie puszczyka słychać jakby słowa „przyjedź, przyjedź, przyjedź” a to jest radość bo zapowiadają się urodziny – dobra nowina. Można nie wierzyć, ale tak było i jest.

A prawda jest taka. Było to w latach 30. XX wieku w okresie zimy. Jako młody chłopiec jeździliśmy na sankach z kolegami. W pewnym momencie od strony Andrzejówki usłyszeliśmy ogromny jazgot, jakby dzwonek, i dźwięk szybko zbliżał się do nas. Naraz widzimy, że zbliża się do nas powóz zamkowy zaprzężony w dwa piękne konie oraz piękną uprzęż, a na ich karkach wiszą janczary z dużą ilością okrągłych kulek, które wydawały przeraźliwy odgłos. Takiego dziwadła nikt tu nie widział, ludzie powychodzili na wieś, powóz zatrzymał się naprzeciwko Plizgi Antoniego. Z powozu wysiadło dwóch panów w ogromnych kożuchach z dużymi kołnierkami i zapytali nas, czy tu mieszka Plizga Antoni. Powiedzieliśmy tak, więc poszli do mieszkania, coś tam załatwiali, po pewnym czasie odjechali również z takim ogromnym hałasem z jakim przyjechali. Okazało się, że tymi panami byli urzędnicy Ordynata Zamoyskiego, którzy przyjechali załatwić z Antonim Plizgą sprawę pokarczmyska. Karczma, jak już wspomniałem w legendzie, była usytuowana na 25 numerze tabelowym, użytkowanym

przez Antoniego Plizgę (trzecią część z tego numeru tabelowego). Rozmowa tych panów polegała na tym, że Plizga zmuszony był wykupić ten plac, gdyż to pokarczmisko należało prawnie do Ordynacji Zamojskiej. Antoni Plizga zgodził się wykupić ten plac za jakieś małe pieniądze. Karczma była usytuowana przy drodze przez wieś na wysokości obecnej remizy. Jaką powierzchnię zajmowała, trudno powiedzieć. W zamian za to karczmisko odcięto kawałek pola z działki Głowów i dano Plizgom. Na 25 numerze tabelowym 2/3 użytkowała rodzina Głowów a 1/3 rodzina Plizgów. Tak się złożyło, że kiedy budowaliśmy remizę, Antoni Plizga jeszcze żył i nie zgadzał się na budowę w tym miejscu, gdyż uważał, że to pokarczmisko sięga na plac, gdzie ma być budowana remiza, ale później dał spokój. Być może, że tak jest, ale dobrze się stało, że zły duch przyczynił się do upadku karczmy bo w sąsiedztwie karczmy budowanie remizy nie miałyby sensu. Karczma nie miałyby zysku i nie mogłaby się utrzymać, gdyż ludzie baliby się przychodzić do karczmy. A może to miejsce zaczarowane, bo remiza też nie daje zysków na jej utrzymanie i nie wiadomo czy nie doczeka się likwidacji, bo kto będzie płacił na jej utrzymanie? Czasem historia lubi się powtarzać.

Rozdział X

Krótką historia powstania Parafii pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli w Bukowej.

Mieszkańcy wsi od niepamiętnych czasów wyznawali religię rzymsko – katolicką i byli, a raczej należeli do Parafii Puszcza Solska (1644). O wyznawaniu wiary katolickiej świadczą krzyże, figury i kapliczki znajdujące się na terenie i w okolicy wsi Bukowa, a mianowicie:

1. Kapliczka dębiana w pniu, stoi przy drodze leśnej z Szeligi do Bukowej w odległości ok. 1,5 km od Bukowej. Kapliczka ta upamiętnia tragedię młodego mieszkańca wsi Bukowa Adama Jachosza. Był to rok 1928, Adam Jachosz po dwóch tygodniach, jak wrócił z wojska, poszedł do wsi Szeliga i kiedy wracał do domu napadła go burza w czasie której skrył się pod to drzewo, w które uderzył piorun i Adam Jachosz został zabity.
2. Na początku wsi, na rozdrożu dróg do Ujścia i do Maziar-ni stoi kapliczka wykonana z elementów cementowych z 1937 roku z wyrytym napisem „Żądają i bardzo tęsknią nasze dusze do Ciebie Boże”.
3. Na działce Aleksandra Momota, nr 9 - krzyż drewniany, wysoki ok. 6 m wykonany w 1940 roku – fundator Momot.
4. Na działce nr 31 M. Małka stoi krzyż drewniany, wysokość ok. 5 m z 1943 roku, fundator Wojciech Ryczko.
5. Działka nr 33 - krzyż drewniany ok. 5 m wysokości, wykonany w 1943 roku – fundator Małek Jan.
6. Działka nr 44 - kapliczka konstrukcji ryglowej 1838 roku z wizerunkiem św. Franciszka. Działka Małka Stanisława – fundatorzy rodzina Małyszów.
7. Działka nr 53 Edwarda Rębacza - krzyż drewniany wysoki ok. 5 m z 1943 roku – fundator Franciszek Małysza (ksywka Kręciok).
8. Działka nr 68 Jargieło Jana - krzyż wysoki ok. 6mb z 1943

roku z napisem: „ Och Jezu oddal od nas ogień, głód, mór i wojnę”.

9. Działka nr 72 Wincenty Małek - krzyż metalowy, wysoki do 5m. Pobudowany w latach 1991 – 1992. Fundatorzy - Małek Wincenty i Stefania.

10. Działka nr 76 Małyszcy Jana - krzyż kamienny z 1910 roku, wysoki do 5 m, o dużej średnicy, bardzo starannie wykonany z wyrytym napisem: „Boże, Błogosław Temu Ludowi” – fundatorzy Bartłomiej, Ewa, Wojciech i Rozalia Małysza.

11. Działka nr 82 Głowa Anna - krzyż drewniany wysoki do 5 m. Wykonany w 1943 r., fundator Jan Głowa.

12. Działka nr 88 Małyszcy Bartłomieja, Malca Wojciecha, obecnie Stanisława Myszaka - kapliczka dębiana w kłodzie z Jezusem Frasobliwym z 1938, figurka Jezusa Frasobliwego została skradziona. Sobaszek z Biłgoraja, rzeźbiarz samouk, jego matka pochodzi z Bukowej, wykonał identyczną figurkę Jezusa Frasobliwego.

13. Plac szkolny, krzyż drewniany wysoki do 5 metrów z 1943 roku, fundator Małek Józef.

14. Działka Łukaszczyka Leona - kapliczka dębiana w kłodzie sosnowej, oszalowana, wykonana w 1936 roku. Wykonawca i fundator Łukaszczyk Andrzej.

15. Działka nr 111 Kaleda Jan - krzyż drewniany z 1943 r., wysoki ok. 5 m.

16. Działka 123, dawniej Myszaka Marcina - krzyż drewniany postawiony w miejsce krzyża dwuramiennego z XIX w. w 1943 r., fundator Myszak Marcin.

17. Działka 174 Małysza Andrzeja - w XIX w. postawiony był krzyż 3–ramienny, ze względu na samozniszczenie w miejscu tym postawiono krzyż drewniany wysoki na 5 m. W 1943 r. fundator Małysza Andrzej.

18. Działka 163 Myszaka Edwarda - kapliczka konstrukcji ryglowej z 1838 r. z wizerunkiem św. Antoniego.

19. Kapliczka przy drodze do Andrzejówki, upamiętnia miejsce w którym zginął tragicznie Andrzej Bednarz, żołnierz będący na urlopie.

20. Krzyż metalowy włożony w wybudowany postument z ce-

gły potrójnej (cegłę ofiarowała OSP Bukowa), wybudowany w 1988 r. W miejscu tym stał krzyż drewniany, wysoki, z XIX w. fundator nieznany, była wyrzeźbiona postać Jezusa. Na skutek naturalnego zniszczenia, wybrano dobre jeszcze drzewo, pocięto na sztachety i ogrodzono płotkiem kapliczkę nr 12 na działce nr 88.

Jak wynika z powyższego, w latach okupacji postawiono 9 krzyży, taka ilość świadczy o głębokiej wierze mieszkańców wsi Bukowa, którzy od zarania swojego pobytu stawiali krzyże jako znak swojej wiary w Jezusa Chrystusa Zbawiciela Świata.

Jak doszło do budowy kaplicy i czyja była myśl przewodnia, żeby w Bukowej budować kaplicę. Otóż w pamiętniku pisanym przez ks. Jana Mroza, a obecnie zamieszczonym w „Kronice” nr 10 czasopisma Rady Parafialnej Puszcza Solska p.t. „Wspólnota”, jest zamieszczona taka informacja: „...że zimą 1951 r. Bukowiacy co wybitniejsi wraz z brackim Janem Malcem zdecydowali dążyć do kaplicy czy kościółka na miejscu i mieli wezwać całą wieś do ofiary po 100 zł. i po jednej sośnie z domu. W maju lub czerwcu 1951 r. bracki Myszak Wojciech zapytał mnie czy mają stawiać kościół. Odpowiedziałem - namyślę się i dam za tydzień odpowiedź. O potrzebie kaplicy tak wtedy się mówiło, by choć raz na miesiąc była msza św. Nie trzeba było ani mnie ani nikogo przekonywać. Dla upewnienia się jednak o tym kroku sprawę przedstawiłem sąsiadom kolegom ks. prefektowi Wincentemu Groszowi i ks. Stanisławowi Byrskiemu, którzy orzekli, że potrzeba jest oczywista i tak, przy najbliższym spotkaniu rzekłem brackiemu Wojciechowi Myszakowi „budujcie”. Tyle na temat ks. Jan Mróz pisał w swoich pamiętnikach.

W roku 1951 powstała wśród mieszkańców wsi myśl budowy kościoła. Myśl ta była uzasadniona, gdyż Bukowa od 1644 roku należała do Parafii Puszcza Solska, odległość 18–20 km. Nieco bliżej było do kościoła w Hucie, ale wszędzie daleko. Organizacją budowy kościoła zajął się Myszak Wojciech bracki w uzgodnieniu z księdzem Janem Mrozem proboszczem Parafii Puszcza Solska. W skład tego komitetu wchodził: Małysz Franciszek nr 16, Mały-

sza Antoni, Małysza Franciszek nr 14, Jargieło Wojciech. Myszak Wojciech był przewodniczącym Komitetu Budowy.

Komitet w tym składzie rozpoczął działania zimą 1951 r. Prace przygotowawcze wykonywane były w bardzo szybkim tempie. Mieszkańcy cechowali drewno, ścinałi i wywozili do tartaku w Zagumniu, który od ręki je przecinał i gotowe deski składowane były przy placu budowy. Myszak Antoni przekazał plac o pow. 0.20 ha pod budowę kaplicy na podstawie umowy z dnia 10 czerwca 1952 r. z zaznaczeniem, że komitet tamtą działkę ma w posiadaniu od 10 marca 1951 r. (na razie przekazał to jako darowizna). Część materiałów przeznaczona na przyciesie, płatwie, kantówka była ciosana przez bukowskich cieśla na placu budowy. Pod koniec miesiąca czerwca 1951 r. materiały były przygotowane i kiedy było przyzwolenie ks. Jana Mroza w miesiącu lipcu przystąpiono do budowy kaplicy konstrukcji ryglowej. Wykonawcą konstrukcji był Jan Wasąg z Ciosmów cieśla budowlany. Prace postępowały szybko gdyż mieszkańcy jak mogli i w czym mogli pomagali. Mieszkańcy dali po jednej sztuce drzewa i po 100 zł. W miesiącu lipcu przystąpiono do budowy wg projektu Józefa Blachy z Dąbrowicy, wykonawcą był cieśla Wasąg Jan z Ciosmów. Wykonawstwo nadzorował Jargieło Wojciech, stolarz i cieśla. Budowę rozpoczęto bez planów i pozwolenia, kiedy szkielet kościoła (syglówka) był wykonany do płatwi, 21.08.1951 roku przyjechały władze, wstrzymały prace i położyły plomby.

W oparciu o istniejący szkielet kościoła architekt powiatowy sporządził projekt kościoła, na którym jest pieczęć PPRN Wydział Budownictwa, Miejskowy Urząd Planowania Przestrzennego, Kierownik Wydziału Budownictwa i podpis - Ciżma – on właśnie był wykonawcą tego projektu. Data podpisu 11.12.1951 r.

Do dnia 20.08.1951 r. konstrukcja ryglowa kaplicy była wykonana do płatwi (płatwie były już założone) i 21.08.1951 r. przyjechały władze, wstrzymały prace i położyły plomby. Zaczęły się dochodzenia, gdyż nie było zezwolenia na prowadzenie budowy, najczęściej ucierpiał przewodniczący komitetu Myszak Wojciech, którego wzywano do różnych urzędów i straszono kolegiami. Nie powiem na pewno, ale zdaje mi się, że miał na jednym z kolegów zasądzoną karę, ale później jakoś umorzono. Zresztą kierownikiem Wydziału

Administracyjnego był Edward Ślusarski i on był dobrze ustosunkowany do tej budowy. Kiedyś Myszakowi Wojciechowi powiedział w ten sposób, że ja muszę na ciebie krzyżać i straszyć, ale ty się nie bój, ja ci nic złego nie zrobię, dlatego Myszak Wojciech bardzo odważnie sobie poczynił, ale budowa była zatrzymana. Pisano pisma o wydanie zezwolenia do różnych władz w tym do biura Wyznań przy WRN w Lublinie, wysłano delegacje, ale to nic nie pomogło, władze stały twardo na stanowisku i zezwolenia wydać nie chciały. Zgromadzone materiały mieszkańcy wsi poukładali, zabezpieczyli dachem, gdyż mieli nadzieję, że przyjdzie taki czas, który pozwoli pobudować świątynię. W oparciu na zbudowanym postawionym zrębie został wykonany plan kościoła przez architekta powiatowego Ciżmę i plan ten został złożony u władz w 1952 roku. Architekt ten powiedział: „Chcecie budować kościół na którym stoi krzyż, a więc trzeba przejść przez cierpienie, a potem wszystko będzie dobrze”. Tak się też stało. Plan leżał u władz wojewódzkich w Lublinie, aż się doczekał „odwilży” październikowej. Przez czas kilku lat były różne dochodzenia, protokoły i mnie wzywano i co znaczniejszych parafian i to po wielokroć a w bukowiakach trwał upór, a postawiony krzyż na zrębie budowli rozpoczętej zaraz po zatrzymaniu w 1951 r. odstraszał jednych, drugich zachęcał do wytrwania. Był też projekt i kuszenie wsi Bukowej, że władze swoim kosztem dokończą budowlę, ale z przeznaczeniem na dom ludowy i na kino. Nie było na to zgody pisze ksiądz Jan Mróz w swoich pamiętnikach (Kronika nr 8 „Wspólnoty”).

Kiedy Władysław Gomułka doszedł do władzy odżyły nam nadzieje i 13.XII.1956 r. PPRN Wydział ds. Wyznań wydał zezwolenie na prowadzenie dalszych prac przy budowie kościoła. Powołano nowy komitet budowy, w skład którego weszli: Myszak Wojciech – przewodniczący, Malec Wojciech – skarbnik, członkowie: Jargieło Wojciech, Małysza Franciszek I i Małysza Franciszek II, Malec Jan, Małysza Łukasz, Myszak Marcin, Tutka Andrzej, Małysza Antoni, Myszak Antoni, Małek Wojciech, Karpiak Józef i Małysza Andrzej z Andrzejówki.

Kiedy w 1956 r. nastąpiła tak zwana odwilż Władysław Gomułka doszedł do władzy, ożyły nadzieje, że wreszcie przyszedł czas, że władze wydadzą zezwolenie i będzie można przystąpić do

dalszej budowy. Nawiązano kontakt z Komitetem Rewolucyjnym Studentów w Lublinie, w aktach adres kontaktowy: Rewolucyjny Związek Studentów, Aleje Raławickie 1 pokój 38, Markiewicz Stanisław.

Ten związek nam dużo pomógł, gdyż prawdopodobnie interesowali się naszą budową i interweniowali w tej sprawie u władz wojewódzkich i powiatowych. Wobec takiej sytuacji w miesiącu listopadzie lub na początku grudnia 1956 r. powołano Komitet Budowy Kaplicy w skład którego weszli:

1	Myszak	Wojciech	Przewodniczący komitetu
2	Malec	Wojciech	Skarbnik
3	Jargieło	Wojciech	Członek nr 15
4	Małysza	Franciszek	Członek nr 44
5	Małysza	Franciszek	„
6	Malec	Jan	„
7	Małysza	Łukasz	„
8	Myszak	Marcin	„
9	Tutka	Andrzej	„
10	Małysza	Antoni	„
11	Myszak	Antoni	„
12	Małek	Wojciech	„
13	Karpiak	Józef	„
14	Małysza	Andrzej	z Andrzejówki

Komitet w powyższym składzie rozpoczął tak jakby drugi etap 13 grudnia 1956 r. na uprzednie powiadomienia nas, by się zgłosić do wydziału Wyznań Powiatowej Rady Narodowej w Biłgoraju. Pojechało nas trzech, tzn. Myszak Wojciech, Malec Wojciech, Jargieło Wojciech po odbiór zezwolenia na budowę, gdyż dowiedzieliśmy się, że w tej sprawie nas wzywają. W biurze wyznań przyjęto nas bardzo grzecznie i powiedziano, że zezwolenie jest gotowe, tylko należy podpisać przez przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej pana Emila Lipianina i rzeczywiście trwało to parę mi-

nut i wręczono nam zezwolenie na prowadzenie dalszych prac przy budowie kościoła.

Uradowaliśmy się ogromnie, że nasze nadzieje spełniły się i jak Bóg pozwoli, będziemy mieli swój kościół na miejscu. Ale niektórzy przepowiadali, aby się uwijać, bo tę odwilż może znów złapać mróz. Więc najważniejsze w tym czasie były środki finansowe. Ponieważ zbliżały się Święta Bożego Narodzenia organizowaliśmy grupy kolędnicze mężczyzn i kobiet na tak zwaną kolędę męską i kobiecą. Kolędnicy nasi chodzili po wszystkich, nawet poza naszą parafią a po Bukowej chodzili kolędnicy niezależnie od tego, że były wyznaczone ofiary na kościół, ile zabrano po kolędzie na poszczególnych wioskach wykażę na ostatnich stronach (na każdy wpływ gotówki do kasy wystawiałem kwity przychodowe z czego 1 egzemplarz otrzymywał wpłacający). To było konieczne gdyż był to pieniądź społeczny z którego trzeba było się rozliczyć. Ponieważ pracowałem w biurze Nadleśnictwa Kocudza, pisałem prośby do instytucji, aby wsparli ofiarą naszą budowę. Pamiętam, że zwracałem się w imieniu komitetu do Spółdzielni Włosiankarskiej w Biłgoraju, Nadleśnictwa Huta Krzeszowska, Nadleśnictwa Kocudza, Szpitala Powiatowego w Biłgoraju. Nie odmawiali, a co mogli, zasilali naszą kasę. Okres Świąt Bożego Narodzenia 1956/57 wykorzystaliśmy na organizowanie grup kolędniczych młodzieżowych i osób starszych, by w ten sposób zdobyć środki finansowe na prowadzenie budowy kaplicy

Grupy kolędnicze chodziły po kolędzie po wszystkich okolicznych wioskach, nawet poza naszą parafią, Kolędnicy byli przyjmowani różnie, ale zebrane pieniądze po kolędzie bardzo pomogły nam przy prowadzeniu dalszej budowy (wykaz zebranych pieniędzy po kolędzie przedłożę poniżej). Młodzież również zbierała po kolędzie pieniądze na zakup chorągwi. Pierwszą chorągiew zakupił w dniu 7.V.1958 r. Tadeusz Dziduch. Młodzież z Władysławowa Parafii Dzwola również zakupiła chorągiew do naszego kościoła z zebranych pieniędzy po kolędzie. 14 stycznia 1958 r. zakupiono dwa ornaty oraz dwa dywany do ołtarza, a w miesiącu czerwcu zakupiono dzwon o wadze 75 kg od Kwiatkowskiego (bliższego adresu brak).

Poniżej podaję wykaz ofiar pieniężnych zebranych w czasie kolędy na poszczególnych wioskach oraz pracowników różnych instytucji:

Mieszkańcy wsi

1. Bukowa	-	123.028 zł
2. Kocudza	-	23.751 zł
3. Dąbrowica	-	5.383 zł
4. Andrzejówka	-	4.870 zł
5. Momoty, Kiszki, Ujście, Szewce	-	2.164 zł
6. Dzwola, Konstantów, Krzemień	-	2.174 zł
7. Władysławów, Zdzisławice	-	1.901 zł
8. Dereźnia Solska	-	2,105 zł
9. Frampol	-	1,854 zł
10. Ciosmy	-	1,554 zł.
11. Szeliga	-	1,390 zł
12. Radzięcin	-	1,000 zł
13. Korytków Duży	-	950 zł
14. Sokołówka	-	816 zł
15. Gromada, Majdan Gromadzki	-	500 zł
16. Łada, Chrzanów	-	1.130 zł
17. Sól	-	193 zł
18. Pracownicy Spółdzielni Włosiankarskiej Biłgoraj	-	10,298 zł
19. Pracownicy Spółdzielni Sitarskiej Biłgoraj	-	2.000 zł
20. Pracownicy Nadleśnictwa Kocudza	-	1,700 zł
21. Pracownicy Nadleśnictwa Huta Krzeszowska	-	336 zł
22. Pan Józef Piotrkiewicz prac. PPRN Janów	-	300 zł
23. Pracownicy Szpitala w Biłgoraju	-	186 zł
24. Zbiórka do puszek przy kościele Puszcza Solska	-	131 zł
25. Przekazano dwie tace zebrane w Bukowej		
z dn. 27.02.1958 r.		- 1038 zł
15.05.1958		- 3128 zł
	Razem -	4158 zł
26. Zysk z zabaw	-	2.891 zł
27. Tartak Zagumnie pan Jabłoński	-	112 zł.

Razem - 196.875 zł

Taką kwotą dysponował Komitet Budowy Kościoła w Bukowej.

Zdani byliśmy na własne możliwości i na pomoc sąsiednich wiosek i niektórych instytucji. Pieniądzy nikt nie przynosił, młodzież i ludzie w średnim wieku chodzili w czasie Świąt Bożego Narodzenia po kolędzie po poszczególnych wioskach, ja zaś wysyłałem pisma do poszczególnych instytucji z apelem do pracowników o wsparcie finansowe, które mimo wszystko dawało rezultat i pracownicy dawali ofiary, które były wysyłane na nasze otwarte konto w Banku Spółdzielczym w Biłgoraju. Ksiądz Jan Mróz zezwolił tylko na jedną puszkę zbiórki przed kościołem w Puszczy Solskiej, do której zebrano zaledwie 131 zł. Mieszkańcy wioski liczyli, że będzie większa pomoc od proboszcza, tym bardziej, kiedy budowano kościół parafialny w Puszczy Solskiej mieszkańcy wsi Bukowa jako parafianie pomagali w tej budowie pracą i finansowo. Myszak Wojciech, ówczesny bracki przy kościele w Puszczy Solskiej, miał o to zawsze pretensje do ks. Jana Mroza, że nie pomógł Bukowie przy tej budowie. Największą pomoc i ofiary pieniężne wykazała wieś Kocudza, bo po kolędzie zebrano 23.751 zł, a przecież wieś Kocudza oddalona jest od Bukowej 15 km i wykazała ogromną ofiarność na rzecz naszego kościoła.

Do dnia dzisiejszego kolędnicy, którzy chodzili po kolędzie wspominają mieszkańców wsi Kocudza o ich bardzo miłym stosunku do kolędników i byli bardzo ofiarni na rzecz naszego kościoła. Strażacy z Kocudzy organizowali wieczorem potańcówki i zbierali pieniądze na nasz kościół. Biorąc pod uwagę wszystko, nawet najmniejsza ofiara miała ogromne znaczenie przy takiej budowie i dlatego wszystkim ofiarodawcom należą się słowa podziękowania.

W miesiącu styczniu 1957 r. Myszak Wojciech jeździł po plany budowy kościoła do WRN w Lublinie (brak danych czy przywiózł). Jest rachunek na wypłacenie mu kosztów podróży w wysokości 100 zł.

7 stycznia 1957 r. komitet zawarł drugą umowę z Antonim Myszką na zakup działki placu pod budowę kaplicy o pow. 0,20 ha za kwotę 2.500 zł

8 lutego 1957 r. ks. Zygmunt Grabiec przywiózł plany budowy kaplicy w Bukowej z WRN w Lublinie i projekt kościoła.

7 marca 1957 r. Komitet Budowy Kaplicy zawarł umowę

z cieślą Janem Wasągiem z Ciosmów na kontynuowanie dalszych prac przy budowie kaplicy. Cieśla Jan Wasąg zobowiązuje się, że prace rozpocznie 1 kwietnia 1957 r.

1 kwietnia 1957 r. Jan Wasąg przystępuje do dalszej budowy kaplicy. Na widok rozpoczętych prac mieszkańcy uzupełniają brakujące jeszcze materiały na krokwie i na łąty, na tak zwaną więźbę dachową. Wszyscy się uwijają, aby jak najszybciej zdążyć do zakończenia budowy. Większość jest zdania, że ta odwilż długo nie potrwa. Przy końcu miesiąca kwietnia 1957 r. rozpoczynają pracę stolarze: Prokop Stanisław i Jaskuła Antoni ze Smorynia - wykonują stolarzkę okienną i drzwiową, szalują również ściany kaplicy.

Miesiąc lipiec 1957 r. Malec Wojciech z Korytkowa Dużego jest wykonawcą krycia dachu na kaplicy eternitem płaskim, natomiast Blacha Józef z Dąbrowicy wykonuje szkielet wieży kościelnej (podstawy wieży), która będzie wykończona dopiero w 1958 r. Wszystkie prace postępują bardzo szybko i jest nadzieja, że przed zimą kościół będzie oddany do użytku wiernym.

Prace wykończeniowe rozpoczęto zgodnie z umową 1.IV.1957 r., którego wykonawcą był w dalszym ciągu Jan Wasąg z Ciosmów. Prace stolarskie oraz szalunek kościoła wykonał Prokop Stanisław i Jaskuła Antoni ze Smorynia, pokrycie dachu na kościele wykonał Malec Wojciech z Korytkowa Dużego. Obraz Matki Boskiej Częstochowskiej zakupiony był w Kurii Biskupiej w Lublinie przez Malca Wojciecha członka Komitetu Budowy Kościoła. W dniu 10.XI.1957r. Kościół został poświęcony i oddany do modlitwy wiernym. Kościół pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli. Poświęcenia dokonał ks. Jan Kosior dziekan biłgorajski i ks. Jan Mróz proboszcz Parafii Puszcza Solska.

Mieszkańcy chętnie wpłacają ofiary na budowę widząc, że prace trwają i szybko zbliżają się ku końcowi. Komitet otrzymał informację, być może od ks. Mroza, że w Kurii Biskupiej jest do sprzedania obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Zostałem wydelegowany po zakup tego obrazu. Wówczas nadleśniczym był pan Władysław Łukasik, który był przychylny naszej budowie, zezwolił mi na wyjazd do Lublina niby do Zarządu Lasów, otrzymałem nawet de-

legację w sprawie służbowej, oczywiście koszty podróży pokryło nadleśnictwo.

Zgłosiłem się do zarządu tylko po to, żeby potwierdzić delegację i natychmiast udałem się do Kurii Biskupiej. Obraz znajdował się w jakimś pomieszczeniu i pokazał mi go ksiądz, który na pewno ten obraz namalował. Obraz mi się podobał. Cena wywoławcza była 3000 zł, ale kupiłem go za 2700 zł. Ksiądz oczywiście nie dał mi rachunku bo się bał, zresztą nie było się czego dziwić, były takie czasy. Za obraz zapłaciłem i przywiozłem do domu dla kościoła. To był pierwszy zakup obrazu, który był zawieszony na wykonanym przez Józefa Blachę prowizorycznym ołtarzu w czasie odprawiania pierwszej mszy świętej. Pan Małysz Julian zakupił z własnych środków monstrancję jako ofiarę dla naszego kościoła, która służy do dnia dzisiejszego w kościele. Prace zbliżały się do końca. W końcu października, jak pisze ks. Jan Mróz w swoich pamiętnikach ogłoszonych w „Kronice” nr 10 czasopisma „Wspólnota” cytuję dosłownie: „W końcu października napisałem list do Pasterza Diecezji powiadamiając, że budowa kościółka w Bukowej dobiega końca i że wkrótce już będzie oddany do użytku wiernym. Otrzymałem w odpowiedzi list J.E. Ks. Biskupa którego treść podaje:

„Biskup lubelski – Lublin 2.XI.1957 r. Nr.2479/GT/57

Do Wielebnego Księdza Jana Mroza Parafii Wicedziekana Biłgorajskiego w Puszczy Solskiej. Z wielką radością dowiedziałem się, że mieszkańcy wsi Bukowa, Parafii Puszcza Solska, wybudowali z własnych zasobów i własną pracą kaplicę, w której będą mogli gromadzić się na wspólne nabożeństwa i w ten sposób wielbić Ojca Niebieskiego, umacniać swą wiarę i sprowadzać na rodziny swoje Boże błogosławieństwo. Będą im za to wdzięczne następne pokolenia, którym zostawią to miejsce święte przybliżające im Boga i Jego łaskę i pomoc, tak potrzebną każdemu człowiekowi w jego codziennym życiu dla zbawienia nieśmiertelnej duszy. Niechże im Bóg zapłaci obfitością swego błogosławieństwa za tę ofiarność, a ja jako ich Pasterz i Biskup z całego serca błogosławię ich pracy już dokonanej, błogosławię ich dalszym wysiłkom około upiększenia i zaopatrzenia kaplicy, polecając ich zbożne wysiłki Matce Najświętszej Królowej naszego Narodu Polskiego. Podpis

/ - / + Piotr Kałwa, Biskup Lubelski”

Prace rzeczywiście dobiegły końca. Ksiądz Jan Mróz ustalił z komitetem, że kaplica będzie pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli oraz, że konsekracja świątyni odbędzie się w dniu 10.XI.1957 r.

Dalej ksiądz pisze, że budowa różne koleje przechodziła, ale dzięki Bogu Najwyższemu dnia 10 listopada można było kościółek poświęcić. Tegoż dnia, jak pisze dalej ks. Jan Mróz w swoich pamiętnikach „...a była to niedziela - pojechałem do Bukowej wraz z zacnym dyrektorem Szpitala Powiatowego dr Stanisławem Pojaskiem, który gdyśmy dojeżdżali do Bukowej wyraził wielkie swoje zadowolenie i radość, że taka świątynia powstała. Przybył też i Dziekan Biłgorajski ks. Jan Kosior, który poświęcił kaplicę, a ja odprawiłem tam pierwszą mszę św. W tym nowo zbudowanym kościółku, ciesząc się z nowego miejsca kultu Bożego. Do licznie zgromadzonego ludu przemawialiśmy obaj z dziekanem”. Jak pisze dalej ks. Jan Mróz „dzień 10 listopada był piękny, pogodny, ciepły po prostu wybrany, bo już następnego dnia pogoda się zmieniła. Odtąd co niedziela była w Bukowej msza św., koło godziny 12-tej ks. Zygmunt Grabiec zatrzymywał się w Bukowej, nocował i w poniedziałki po rannej mszy św. na której bywało dużo ludzi, uczył religii w szkole i dopiero na wieczór ściągał z tej wyprawy misyjnej do domu. Szczególnie wielka frekwencja na mszy św. i u spowiedzi była przez adwent w poniedziałki (o godzi 6 rano). Jeszcze przed roratami śpieszył ks. Grabiec do kościółka, by służyć w konfesjonale już licznie na niego czekających”, pisze w swoich pamiętnikach ks. Jan Mróz.

Uroczystość konsekracji świątyni była piękna, ludzie płakali z radości, bo też było i czego. Kto pomyślał kiedyś, że w Bukowej będzie kościół i że w takich trudnych czasach mieszkańcy zdołają się na taki wysiłek, tym bardziej, że była prowadzona walka z kościołem.

Ale dzięki pomocy Bożej i uporowi mieszkańców, ich ofiarności i pomocy wiosek sąsiednich (pomocy finansowej), nasze nadzieje zostały spełnione. W czasie pierwszej mszy św. na fisharmonii przygrywał organista z parafii pan Wincenty Peroni. Następnie organizowaliśmy chór kościelny, gdyż z początku nikt nie umiał śpiewać w czasie mszy św. Robiliśmy próby i uczyliśmy

się śpiewać, a przygrywał nam na harmonii nieżyjący już Mały-sza Czasław. Po pewnym czasie nauki, chór spełniał swoje zadanie i w kościele w czasie mszy św. były ładne śpiewy. Cieszyliśmy się z tego, że w naszym kościele jest tak jak wszędzie. Wczesną wiosną 1958 r. przystąpiono do szalunku wieży i wykonania odpowiednich umocnień, które wykonywał Blacha Józef. Krycie wieży, a było to w połowie maja 1958 roku wykonywał Eugeniusz Jarosz zamieszkały w Goraju lub Gorajcu. Był on dobrym fachowcem, tym bardziej, że była zakupiona blacha aluminiowa i trzeba było pokryć wieżę w łuskę, czego też dokonał. Krzyże na wieży małej i dużej wykonywał miejscowy kowal Jargieło Franciszek bezpłatnie.

Pierwszym księdzem, który opiekował się Bukową był ks. Zygmunt Grabias, który przyjeżdżał do nas przez 7 lat.

Kościół usytuowany jest w środku wsi, zwrócony prezbiterium na południe, osadzony na podmurówce ramowej (szkieletowej), obustronnie szalowany, jednonawowy z wieżą nad kruchtą. Nawa założona na rzucie prostokąta, przed nią mała kruchta w przyziemiu wieży. Od południa prezbiterium na rzucie kwadratu z obu stron prostokątne zakrystie z małymi przedsionkami przylegającymi do bocznych ścian nawy. W północnej części jest chór muzyczny wsparty na dwóch kolumnach. Schodki na chór są przy lewej ścianie. Wewnątrz - nawa i prezbiterium pokryte stropami z kasetami zaokrąglonymi przy ścianach bocznych. Strop prezbiterium jest o 80 cm niższy od stropu nawy. Od frontu nad kruchtą wznosi się niewielka wieża na rzucie kwadratu ze ścianami zamkniętymi trójkątnymi szczycikami na których jest osadzony smukły, wysoki ostrosłupowy hełm zwieńczony krzyżem. Wieża została wykonana przez Józefa Blachę z Dąbrowicy, zaś pokrycia wieży dokonał Eugeniusz Jarosz z Goraja lub z Gorajca. Krzyże na wieży i wieżyczce - miejscowy kowal Franciszek Jargieło. Prace przy wieży wykonane były w 1958 roku. W roku 1958 wykonane zostały ołtarze, główny ołtarz z Matką Boską Częstochowską i św. Andrzejem Bobolą (obraz ruchomy) oraz figurami św. Piotra i Pawła, natomiast ołtarz boczny po lewej stronie - płaskorzeźba Serca Pana Jezusa, zaś po prawej stronie - płaskorzeźba św. Józefa z Dzieciątkiem Jezus. Wykonawcą figur oraz obrazów był

rzeźbiarz Józef Kania z Bielska Białej, pomagał mu w tym stolarz Wasąg z Ciosmów. W 1976 roku zostały zamówione i wykonane dwa dzwony, którym nadano imiona: większy dzwon Wojciech, mniejszy Andrzej. Dzwony te zostały zakupione, kiedy dojeżdżającym i obsługującym był ksiądz Podstawka. Świecenia dzwonów dokonał ks. Biskup Lubelski B. Pylak. Ksiądz Podstawka był ostatni raz na Bukowej. Ks. biskup Pylak przeniósł ks. Podstawkę w inne miejsce, prawdopodobnie do Lublina. Przyczyną tego przeniesienia było prawdopodobnie to, że na tych dzwonach były wygrawerowane duże zasługi ks. Podstawki i to prawdopodobnie nie podobało się ks. biskupowi. Faktem jest, że ks. Podstawka więcej do Bukowej nie przyjechał. Wieżę i dzwonnice wykonał Chabros z Biłgoraja. Siostry zakonne z Klemensowa wykonały stacje Drogi Krzyżowej.

Inspektorem nadzoru budowy kościoła był inż. Pyć z Biłgoraja, pracownik Wydziału Budownictwa PPRN w Biłgoraju. Bardzo dobrze się z nim pracowało, nie sprawdzał specjalnie budowy, od czasu do czasu przyjeżdżał po odbiór należności za nadzór. Nie były one duże, według posiadanych rachunków opłata ta wyniosła 300 zł.

W 1958 r. zakupiono od Jargiela Władysławy plac pod budowę plebanii tuż przy kościele za kwotę 2800 zł, na którą to kwotę znajdują się rachunki. Błąd jest w tym, że wówczas nie sporządzono żadnej umowy oraz nie podano jaka to powierzchnia oraz jej nie wytyczono. Wiadomo, gdzie się ten plac znajduje i należałoby tę sprawę załatwić, dokąd żyją ludzie, którzy pamiętają, że taki plac był zakupiony.

W miesiącu lutym 1958 r. zgłosił się do Komitetu Budowy Kaplicy pan Józef Kania z Bielska Białej przedkładając odpowiednie dokumenty uprawniające do wykonania prac rzeźbiarskich. Posiadał również wydane opinie od ks. proboszczów o dobrze wykonanej pracy rzeźbiarskiej, między innymi, miał taką opinię od ks. proboszcza z Parafii Dzwola. Zgodziliśmy się w porozumieniu z ks. Janem Mrozem, by w naszym kościele wykonał ołtarz główny z figurami św. Piotra i Pawła oraz dwa boczne ołtarze z obrazem Serca Pana Jezusa i św. Józefa. Rzeźbę tę wykonał jako płaskorzeźbę, wykonał również obraz Serca Pana Jezusa do noszenia w czasie procesji.

Wszystkie płaskorzeźby były nieudane, dlatego też postanowiliśmy zamówić obrazy Serca Pana Jezusa i Św. Józefa u siostry zakonnej w Klemensowie, która namalowała te obrazy na płótnie, które przez pewien czas były wstawione w boczne ołtarze. Kiedy w latach 90-tych odnawialiśmy ołtarze przez złotników z Kraśnika, zdecydowano się, by te płaskorzeźby pozłocić. Złotnicy trochę te obrazy poprawili, pozłocili i pozostały jak dawniej w ołtarzach. Koszt wykonania ołtarzy, figur i obrazów wg posiadanych rachunków wyniósł 31000 zł.

17 stycznia 1959 r. pojechaliśmy w trójkę: ja, Myszak Wojciech, Malec Józef do Warszawy po zakup fisharmonii dla naszego kościoła.

Zakupiliśmy ją w sklepie muzycznym na ul. Aleje Ujazdowskie za kwotę 17 000 zł. W dalszym ciągu naszym organistą był Czesław Małysza, który jako samouk nauczył się grać na fisharmonii i dawał sobie z tym zupełnie radę. Kasę Komitetu Budowy Kościoła, a później Rady Kościelnej prowadziłem do miesiąca kwietnia lub maja 1959 r.

Właśnie w tym czasie w miesiącu maju, a może w kwietniu, zostałem wezwany telefonicznie, abym natychmiast zgłosił się do wydziału kadr Dyrekcji Lasów Państwowych w Lublinie. Na drugi dzień zgłosiłem się u naczelnika wydziału kadr, który powiedział mi wprost, że dłużej w nadleśnictwie Kocudza pracować nie mogę, gdyż walczę z partią.

Jak później dowiedziałem się, zamierzano mnie przenieść do Nadleśnictwa Kołacze lub Niezdów (północna część woj. lubelskiego), co dla mnie równało się ze zwolnieniem z pracy, gdyż nie miałem warunków, ze względu na sytuację rodzinną przenieść się do pracy w tamte tereny, które mi absolutnie nie odpowiadały. Wówczas nadleśniczym Nadleśnictwa Kocudza był inż. Tadeusz Godziński, który pojechał w mojej sprawie osobiście do dyrektora zarządu do Lublina i nie dopuścił do przeniesienia mnie do innego nadleśnictwa i wbrew poważnym oskarżeniom pozostałem w dalszym ciągu w Nadleśnictwie Kocudza. Ze względu na obawy, że władze mogą przeprowadzić rewizję, zabrać dokumenty, postanowiliśmy z Radą Kościelną, że dokumenty kasowe i inne przekażę Myszakowi Wojciechowi, który będzie je przechowywał u siebie.

Kiedy otwarto parafię w Korytkowie, Myszak Wojciech przekazał je ks. Buncolowi, który przed odejściem z Parafii w Korytkowie przekazał mi te dokumenty. Wiele dokumentów zaginęło, przeważnie korespondencji, ocalało bardzo niewiele, kasowe są prawie wszystkie na podstawie których można sobie niektóre sprawy przypomnieć.

Zgodnie z przewidywaniami sytuacja zaczynała być coraz gorsza. Władze zaczęły jak dawniej walkę z Kościołem, zaczęto się wszystkim interesować, a przeważnie co się działo przy kościele.

Rada Kościelna robiła przygotowania do wykonania ogrodzenia kościoła a od drogi zamierzano wykonać mur z kamienia. W tym celu zakupiono pewną ilość kamienia, oczywiście po kryjomu i tu zaczęły się dochodzenia. Kto ten kamień kupił, u kogo, a nawet kto ten kamień przywiózł na plac przed kościół. Ponieważ w tym czasie budowano drogę przez wieś Bukowę, były zamiary by ten kamień wziąć na budowę drogi, ale wieś uparcie stała przy swoim i szykanowanie i straszenie nie dały władzom żadnego rezultatu, wieś dążyła do zamierzonego celu. Już nie pamiętam, czy Rada Kościelna miała zezwolenie na budowę tego muru od drogi czy też nie, w każdym razie mur od drogi został wykonany, a plac przy kościele wyrównano i doprowadzono do porządku. Nie pamiętam również nazwiska księdza, który w tym czasie obsługiwał kościół w Bukowej. Mur ten wykonany był w latach 70-tych. Należy tu przypomnieć, że kiedy władze powiatowe wydały zezwolenie na budowę kościoła w Bukowej w 1956 r., władze wówczas nie robiły żadnych przeszkód, w ogóle tak jakby nie interesowały się tą budową.

O parafii w Bukowej mieszkańcy wsi Bukowa marzyli od dawna. Każda rozmowa wśród mieszkańców schodziła na ten temat. Wiadomo, trudności jakich mieszkańcy doświadczali, wszystkim są znane. Nic nie może odbyć się bez cierpienia, wszystkie poczynania jakich człowiek chce dokonać, musi się liczyć, że będą kłopoty. Budowa kościoła w tym czasie, kiedy wpadliśmy nie z naszej winy, pod jarzmo Związku Radzieckiego, było aż nadto znane, że z budową świątyni to jest ogromne ryzyko i odpowiedzialność. Mieszkańcy jednak zaryzykowali i mimo różnych trudności kościół został wybudowany i oddany do użytku wiernym 10.XI.1957

r. W niedługim czasie powstała myśl uruchomienia cmentarza grzebalnego. Bo, jeżeli myślano o parafii to przy kościele parafialnym musi być cmentarz grzebalny. W miesiącu wrześniu Rada Kościelna w porozumieniu z ks. Janem Mrozem czyniła starania o zakup placu pod cmentarz grzebalny.

W dniu 28 listopada 1964 roku Komitet Budowy Kościoła zakupił działkę o powierzchni 0,50 ha na cmentarz grzebalny u Jana Małyshy, mieszkańca wsi Bukowa za kwotę 7 tys. zł. Cmentarz grzebalny również przechodził duże utrudnienia, gdyż władze nie chciały dać zezwolenia na jego uruchomienie. Po wielu staraniach w 1973 r. władze zezwoliły na uruchomienie cmentarza i z chwilą otrzymania zezwolenia cmentarz ogrodzono i ks. proboszcz Jan Mróz poświęcił cmentarz. Wówczas opiekunem naszego kościoła był ks. Stanisław Kowal, obecnie proboszcz parafii Kocudza. Nadzieje nasze po otwarciu cmentarza nieco odżyły, ale wciąż była niewiadoma, kiedy nastąpi, że parafia będzie w Bukowej. W 1974 roku został cmentarz grzebalny poświęcony i oddany do użytku przez ks. Jana Mroza proboszcza Parafii Puszcza Solska. Opiekę nad naszym kościołem sprawował ks. Stanisław Kowal. Pierwszym nieboszczykiem pochowanym na cmentarzu w Bukowej była ś.p. Aniela Jargieło nr 83.

W dniu 28.XII.1964 r. została sporządzona umowa pomiędzy Radą Kościelną reprezentowaną przez Myszaka Wojciecha i Małyshę Franciszka, a właścicielem działki Małyshą Janem. W umowie, którą osobiście sporządziłem, jest napisane, że Małysha Jan sprzedaje działkę o pow. 0,50 ha na cmentarz grzebalny na wieczne użytkowanie za kwotę 7.000 zł. Nikt o tym nie wiedział, gdyż władze interesowały się wszystkim, tym bardziej sprawami związanymi z kościołem. Cmentarz grzebalny również przechodził swoje różne koleje i utrudnienia. Robiono starania o uruchomienie cmentarza, władze jednak stały uparcie i zezwolenia na uruchomienie cmentarza nie chciały wydać. Według opowiadań Myszaka Wojciecha któryś z księży doradził mu, żeby na tym cmentarzu postawić trzy krzyże, że to miało spowodować załatwienie sprawy cmentarza. Myszak Wojciech długo się zastanawiał i wspólnie z Myszakiem Marcinem wykonali trzy krzyże i w nocy zawieźli na cmentarz i zakopali je na jednym i drugim końcu oraz pośred-

ku. Kiedy władze dowiedziały się, że na cmentarzu stoją krzyże, zjechała się cała świta najwyższych władz powiatowych, jak prokurator, komendant policji i wielu ważnych osobistości. Zaczęły się dochodzenia, ale nikogo nie ukarano, gdyż nie dowiedziano się, kto te krzyże postawił. Ale zaraz tej lub następnej nocy, ktoś te krzyże wykopał i położył na ziemi. Za kilka dni w nocy znów ktoś postawił krzyże z powrotem i tak sytuacja powtarzała się trzykrotnie, ktoś wykopywał a inny stawiał z powrotem. Według opowieści Bednarza Leona, to on z Myszakiem Wojciechem te krzyże stawiali w nocy z powrotem, natomiast kto je wykopywał nie wiadomo, chociaż niektórzy wiedzą kto robił, ale nie będę ujawniał nazwiska, gdyż nikt tego nie widział, są to tylko przypuszczenia. Podobna sytuacja była, że ktoś postawił kawałek płotu przy cmentarzu, też były dochodzenia i wzywania do Urzędu Bezpieczeństwa na przesłuchania, byłem też wzywany i ja, Myszak Wojciech oraz Małyszka Łukasz. Sprawa tak się wałkowała. Ja uważam, że to co robiono na cmentarzu nie bardzo było potrzebne i tylko narażało niektórych na niepotrzebne kłopoty. Sprawa, podobnie jak z kościołem, musiała dojrzeć i być może, że postawione krzyże, które po raz trzeci zostały postawione, według relacji Leona Bednarza w Wigilię Bożego Narodzenia pozostały na cmentarzu do jego uruchomienia w 1973 r. Jak już napisałem wyżej, starania były czynione, ale władze były nieugięte. Nadarzyła się okazja, którą moim zdaniem wykorzystaliśmy w sposób właściwy. Nie pamiętam dokładnie, którego roku, ale był to rok 1970 lub 1971, zbliżały się jakieś wybory. Jak zwykle w tych czasach jeździli prelegenci po wioskach, organizowali zebrania i pytali mieszkańców jakie mają potrzeby i postulaty. Akurat do Bukowej przyjechał pan Graszka, dyrektor Zespołu Szkół Gminnych. Bardzo zacny i porządny człowiek, znany mi osobiście. Na zebranie w szkole przyszło bardzo mało ludzi, może 5 lub 6 osób. Na tym zebraniu byłem obecny i osobiście zgłosiłem postulat w imieniu mieszkańców, że na Bukowej potrzebny jest cmentarz grzebalny, odpowiednio motywując potrzebę. Postulat został przez pana Graszę przyjęty. W ciągu 15-20 dni sołtys wsi Bukowa otrzymał z Urzędu Biura Wyznań z Lublina odpis pisma skierowanego do władz powiatowych w Biłgoraju, z którego treści wynikało, że sprawę mieszkańców wsi Bukowa kierują do załatwienia

przez władze powiatowe. Nasze nadzieje odżyły, że cmentarz będzie uruchamiany. W tym czasie cmentarz w Bukowej obsługiwał ks. Kowal, który razem z ks. Mrozem proboszczem Parafii Puszcza Solska czynili starania o cmentarz w Bukowej. Była następna obawa, czy wyrazi zgodę Sanepid, gdyż cmentarz był blisko rzeki ok. 15-20 m i prawdopodobnie zgodnie z przepisami Sanepid mógł odmówić wyrażenia zgody.

W tym celu udałem się kiedyś do stacji Sanepid w Biłgoraju, by się zorientować, jak ma się sprawa. Rozmawiałem z panem Dzido, który pełnił jakąś ważniejszą funkcję, odpowiedział mi, żeby się nie martwić, gdyż muszą przyjechać, zobaczyć, ale żadnych przeszkód nie będą robić. Tak też było, przyjechali, zobaczyli i wydali opinię zezwalającą na uruchomienie cmentarza. Obsługujący kościół w Bukowej ks. Kowal wspólnie z Radą Parafialną, byłem Komitetem Budowy Kościoła przystąpili do grodzienia cmentarza. Wymurowano słupy z cegły i ogrodzono cmentarz sztachetami z drzewa. Wkrótce po poświęceniu cmentarza grzebalnego, cmentarz ogrodzono sztachetami na uprzednio wykonanych słupach z cegły białej, a w 1992 roku Komitet Kościelny zebrał ofiary od mieszkańców i zakupiono płaskownik, z którego Krzysztof Kiszka wykonał przęsła i cmentarz ogrodzono płotem metalowym. Płot zamontował również Krzysztof Kiszka. W latach 70-tych dokonano uporządkowania placu kościelnego (cmentarza), dokonano niwelacji oraz wybudowano mur od drogi i ogrodzono kościół. Wykonawcą muru był Władysław Małysza, mieszkaniec Bukowej. Działający Komitet Budowy Kościoła nosił się z zamiarem budowy plebanii, dlatego w 1958 roku zakupiono plac przy kościele od Jargiela Władysławy na plebanię. Mieszkańcy wsi ofiarowali na ten cel bale sosnowe, które zgromadzono na zakupionym placu na plebanię. Bali było bardzo dużo i była możliwość pobudowania plebanii. Kiedy w latach 80-tych w Korytkowie Dużym pobudowano i oddano do użytku kościół, utworzono Parafię Korytków Duży. W roku 1983 Bukowa została włączona do parafii w Korytkowie Dużym, otrzymała nazwę Korytków – Bukowa. Za ks. Józefa Godziszsa nazwa parafii została zmieniona na Parafia Korytków Duży, wobec takiej sytuacji Bukowa nie miała szans być parafią. Wobec tego rada parafii i mieszkańcy łącznie z księdzem Buncolem zdecydowali część

bali przeznaczyć na ramy okienne do kościoła, które wykonał Jan Kusz z Korytkowa Dużego, zaś resztę przeznaczono na boazerię na wystrój kościoła. Boazerię wykonał Józef Flis z Biłgoraja.

Rok 1993 - wykonano złozenie ołtarzy, ołtarza głównego oraz ołtarzy bocznych – koszt złozenia wyniósł 60 mln zł z ofiar mieszkańców wsi Bukowa. Wykonawcą złozenia był pan Leszek Sołtys z Kraśnika oraz pan Kazimierz Szymański z Trzydnika Dużego. Organizacją i zbieraniem pieniędzy zająłem się osobiście przy pomocy Rady Kościelnej, gdyż akurat w tym czasie ks. Buncol przekazywał parafię w Korytkowie Dużym ks. Józefowi Godziszowi, więc postanowiliśmy nie angażować nowego księdza, który pomagał nam i zachęcał mieszkańców do ofiarności na odnowienie ołtarzy. Z zebranych ofiar na złozenie ołtarzy za nadwyżkę, tzn. za pozostałe pieniądze zakupiony został dywan pod ołtarz, a kwotę ok. 1,3 mln zł. przekazano ks. Godziszowi na potrzeby kościoła. Mieszkańcy byli bardzo zadowoleni z odnowienia ołtarzy, bardzo to ozdobiło kościół.

Jeżeli chodzi o stacje Drogi Krzyżowej to obrazy te były malowane przez siostrę zakonną w Klemensowie. Nie pamiętam, za którego to było księdza i jaki koszt był ich malowania. Ławki w kościele były wykonane przez stolarza Ciosmaka, który obecnie ma zakład stolarski w Księżpolu. Było to za ks. Dubika, nie pamiętam, w jakich latach. Za ks. Podstawki wspólnie z Radą Kościelną postanowiono zamówić dwa dzwony do naszej świątyni. Dzwony zostały wykonane i na poświęcenie dzwonów przyjechał ks. biskup Pylak. Tak pokrótce przedstawia się historia powstania kościoła wsi Bukowa. Kiedy pobudowano kościół w Korytkowie i otwarto tam parafię do której włączono wioskę Bukowa, nadzieje nasze były tak jakby zaprzepaszczone, nie było żadnych widoków na otwarcie parafii w Bukowej. Każda rozmowa o utworzeniu parafii w Bukowej z ks. proboszczem Józefem Godziszem kończyła się kategorycznym: nie. Na odpust do Bukowej na święto Andrzeja Boboli, naszego patrona, przyjeżdżał ks. Zygmunt Grabiec, który przez pierwszych siedem lat po poświęceniu kościoła w Bukowej był naszym księdzem, który miał nasz kościół pod swoją opieką. Zawsze, kiedykolwiek był na Bukowej, odwiedzał swoich znajomych, bywał też i w naszym domu, gdyż przez pewien czas odstąpiliśmy księdzu je-

den pokój, w którym, kiedy przyjechał do Bukowej, przebywał w naszym domu. Kiedy był na odpuszcie w Bukowej w 2000 r. też był u nas i jakoś zeszła rozmowa na temat utworzenia parafii w Bukowej.

Ks. Zygmunt nie radził tworzyć parafii w Bukowej a nawet odradzał, żeby tego nie robić twierdząc, że wioska jest biedna i nie będzie w stanie utrzymać księdza, gdyż zakładano od początku, że wieś Andrzejówka nie wyrazi zgody, żeby była parafią w Bukowej. Ponadto, Bukowę nie będzie stać na wybudowanie domu parafialnego (plebanii) gdyż jest to ogromny koszt, a wieś jest coraz biedniejsza, a wszystko drożeje i mieszkańcy nie dadzą rady. Gdzie tylko ks. Zygmunt był, wszędzie mówił to samo. Ale w tym czasie to tylko się mówiło, ale nie wskazywało na to, że coś może się stać takiego, że nikt nawet nie mógł przypuszczać ani nawet domyślać się, że tak radykalnie zmieni się na naszą korzyść. Życie toczyło się normalnym biegiem. Ks. Krzysztof Gajewski bardzo często przyjeżdżał do Bukowej z ks. J. Godziszem z Korytkowa i wszyscy uważaliśmy, że ks. Krzysztof jest przydzielony do parafii Korytków jako wikariusz, był to już nasz ksiądz, przyjeżdżał do pomocy ks. proboszczowi.

Krażyły wieści nieoficjalne, że ks. J. Godzisz interesował się ostatnio domem Małka Wincentego czy jest do sprzedaży oraz domem z drewna, który postawił. Ładny dom drewniany Dariusz Dyjach postawił na zamówienie kogoś z Warszawy lub okolic.

No i wreszcie udało się. W dniu 9.VI.2000 r. byłem u spowiedzi u ks. Krzysztofa, który, kiedy odchodziłem od kraty powiedział mi, żebym poczekał po mszy św. na niego przy kościele. Czekałem na księdza przed kościołem i kiedy wyszedł ksiądz z kościoła poprosił mnie do samochodu na rozmowę w czasie której ks. Krzysztof powiedział mi, że jest nadzieja na otwarcie parafii w Bukowej, że przekonał ks. proboszcza, który na pewno wyrazi zgodę na jej utworzenie. Z początku wydawało mi się, że to sen i choć ks. Krzysztof przekonywał mnie, że to prawda, nie mogłem w to uwierzyć, ale z kolei nie mogłem nie wierzyć księdzu uważając, że ksiądz musiał coś wiedzieć, a raczej być pewnym, że jest szansa na utworzenie parafii w Bukowej.

Poza tym wierzyłem ks. Krzysztofowi, gdyż miałem do niego zaufanie i opowiadał mi to tak przekonywująco, że trudno było nie wierzyć. 12.06.2000 r. ks. Krzysztof powiedział mi, żebym zebrał kilku członków rady kościelnej i przyjechał do Korytkowa do ks. J. Godzisz na rozmowę w sprawie parafii.

Do ks. proboszcza przyjechało nas trzech tj. Jan Małek, Janusz Małysza i ja, Wojciech Malec.

Obydwaj księża tak jakby czekali na nas, bardzo mile nas powitali i ks. proboszcz poprosił nas do kancelarii parafialnej i tam zapytał nas w jakiej sprawie przyjechaliśmy. Odpowiedziałem w imieniu naszej delegacji, że w sprawie utworzenia parafii w Bukowej. Ks. Godzisz nie wyraził żadnego sprzeciwu i powiedział, żeby zebrać podpisy mieszkańców czy wyrażają zgodę na utworzenie parafii. Przed wyjazdem do Korytkowa przygotowałem „na brudno” podanie do ks. biskupa, które podałem ks. proboszczowi i po przeczytaniu nie wniósł żadnych poprawek, a jednocześnie kazał dopisać, że w Bukowej zakupił dom ksiądz narodowy o nazwisku Więclaw łącznie z ziemią całe gospodarstwo i to różnie może być. Oczywiście dopisałem to wszystko w podaniu. 19 czerwca 2000 r. delegacją w składzie:

1. ks. Józef Godzisz proboszcz
2. Wojciech Malec - członek Rady Kościelnej
3. Janusz Małysza - członek Rady Kościelnej
4. Plizga Jan - członek Rady Kościelnej

udaliśmy się do ks. biskupa Jana Śrutwy do Kurii Biskupiej w Zamościu. Kiedy zajechaliśmy i weszliśmy do Kurii Biskupiej, gdy tylko przyszedł ks. biskup poprosił nas do swego bardzo skromnego gabinetu i po odmówieniu modlitwy przyłączyliśmy się do rozmowy na ten temat. Przedłożyłem podanie, które zaakceptowane było przez księdza proboszcza. Ks. biskup wobec nas wszystkich odczytał treść podania i zapytał nas, co my w tej sprawie powiemy. Oczywiście zabrałem głos i powiedziałem mniej więcej to, co było napisane w podaniu. Po tej odpowiedzi ks. biskup powiedział, że był w Bukowej, że Bukowa to wieś religijna i przychyła się do naszego podania. Następnie ksiądz sekretarz przyniósł teczkę z napisem Bukowa, w której były przygotowane dekrety odnośnie parafii Bukowa, które ks. proboszcz Józef Godzisz odczytał i na tym skoń-

czyły się nasze sprawy, które mieliśmy załatwić u ks. Jana Śrutwy biskupa Kurii Biskupiej w Zamościu. Wróciliśmy do domu pełni radości, że po 43 latach doczekaliśmy się parafii.

Widocznie Bóg tak zrządził, że ks. Krzysztof Gajewski był tu skierowany, aby on właśnie zajął się organizacją parafii w Bukowej.

Było tu dużo księży, którym nie dane było zorganizowanie parafii, to na pewno ks. Krzysztof Gajewski wpadł na pomysł i przekonał ks. J. Godziszę, aby w Bukowej była parafia. To jest jego zasługa, za co mieszkańcy wsi powinni być wdzięczni i modlić się w jego intencji do św. Andrzeja Boboli patrona bukowskiej parafii, aby za jego przyczyną wszystkie zamierzenia ks. proboszcza przy pomocy Bożej doszły do skutku.

Kiedy już było wiadomo, że w Bukowej będzie parafia, mimo sprzeciwu mieszkańców Andrzejówki, którzy nie chcieli należeć do parafii w Bukowej, ks. biskup zdecydował, że sama Bukowa będzie parafią, zgodził się również ks. biskup, że proboszczem parafii Bukowa będzie dotychczasowy wikariusz parafii Korytków, ks. Krzysztof Gajewski. Podano do wiadomości, że 30 lipca 2000 r. będzie uroczyste otwarcie Parafii Bukowa i wprowadzenie pierwszego proboszcza Parafii Bukowa ks. K. Gajewskiego. Czyniono starania, by ta uroczystość była dobrze przygotowana było dużo księży i gości z okolicznych wiosek oraz mieszkańcy wsi Bukowa. Postanowiono wspólnie z ks. K. Gajewskim, że należy przygotować przyjęcie dla gości, które ustalono, że będzie w szkole. Przygotowano krótkie powitania ks. proboszcza, ks. dziekana i wszystkich gości.

Dzień 30.VII.2000 r. był dniem bardzo ładnym, pogodnym. Przyjechało bardzo dużo gości, byli rodzice ks. Krzysztofa, bracia, razem 8 osób, było dużo księży, w tym ks. Wojtasiuk, dziekan biłgorajski, który z upoważnienia ks. biskupa odczytał dekrety, które ustanawiały parafię oraz nominację ks. K. Gajewskiego na proboszcza parafii. W wejściu do kościoła ks. Gajewskiego, który siedł w asyście ks. dziekana i ks. Godziszę powitano chlebem i solą. Były również podziękowania ks. dziekanowi za pomoc w utworzeniu parafii oraz ks. Godziszowi za wyrażenie zgody i poparcie u ks. biskupa na utworzenie parafii. Ponieważ w tym czasie

wypadały imieniny ks. K. Gajewskiego złożono życzenia i kwiaty od starszego społeczeństwa, od małych dzieci, ministrantów oraz od starszej młodzieży. Po nabożeństwie zaproszono wszystkich gości oraz Radę Kościelną do szkoły na przyjęcie, które przebiegło w bardzo miłej atmosferze, było około 50-ciu osób.

Wracając do sprawy parafii ustalone było, że do czasu postawienia parafialnego domu - plebanii, ks. proboszcz będzie mieszkał w domu parafialnym w Korytkowie, na co ks. Godzisz wyraził zgodę. Będąc w gminie spotkałem się z panem wójtem (było to jeszcze przed otwarciem parafii w miesiącu czerwcu), który wiedział, że tworzy się parafię oraz wiedział, że mieszkańcy zamierzają pobudować plebanię. Był pesymistycznie ustosunkowany do naszych zamierzeń, że to jest ogromny koszt, a wieś jest coraz biedniejsza i nie będzie w stanie udźwignąć tego ciężaru. Powiedział między innymi, że w Bukowej jest wybudowana duża remiza, która nie będzie wykorzystywana oraz szkoła, również duży budynek, z którą nie wiadomo co będzie. Chętnie wyraził zgodę na odstąpienie pomieszczeń do zamieszkania przez ks. proboszcza w szkole. Po obejrzeniu szkoły ks. proboszcz wyraził zgodę na zamieszkanie na drugim piętrze, było tam dwa pokoje oraz duży przedpokój. Brak było łazienki, kuchni i pokoju gościnnego. Po zebraniu ofiar na ten cel od mieszkańców dobudowano pokój gościnny, kuchnię, łazienkę i pomieszczenia te po pokonaniu pewnych trudności, zostały wykończone i ks. proboszcz w dniu 28.XII.2000r. przeprowadził się z Korytkowa do swoich pomieszczeń w szkole i tam zamieszkał. Znalazło się również miejsce na samochód w starej remizie strażackiej.

W dalszej swojej pracy ks. proboszcz wspólnie z Radą Kościelną czynią starania wstępne o budowę plebanii. Jak na razie mieszkańcy zobowiązali się dać po 2 bale sosnowe i parę desek, gdyż plebania ma być budowana z drewna. Ponieważ w 2001 r. ma być budowany wodociąg, prace już trwają, których koszt wyniesie od domu 10 mln starych złotych, jest to duży wydatek wobec czego żadnych środków pieniężnych na plebanię mieszkańcy nie będą mogli dać. Trzeba mieć nadzieję, że przy dobrym zrozumieniu i dobrej współpracy Rady Kościelnej, mieszkańców wsi, parafian z ks. proboszczem wszystko może być zrobione, ale to potrwa kilka lat,

tak ja to rozumiem. Daj Boże, żeby to nie trwało długo, ale nie ma na to widoków. Wiś coraz bardziej biednieje, bezrobocie powiększa się, tym bardziej na wsi wszystko drożeje i nie ma się na lepiej a raczej ma się ku gorszemu.

W dniach od 4 do 11 marca 2001 roku w parafii Bukowa odbywają się misje święte, prowadzili je o.o. Błażej i Zachariasz z Kalwarii Zebrzydowskiej. Misje prowadzone są również w parafii Korytków Duży, w tym w kaplicy w Andrzejówce. W ciągu każdego dnia były dwie msze święte z naukami dla młodzieży i dla starszych. Udział parafian we mszach św. i na naukach był bardzo duży. Parafianie uczestniczyli w każdej mszy św. Nauki były pożyteczne, poruszające wszystkie tematy dotyczące życia religijnego w oparciu o Ewangelię Świętą. Ostatnie Misje Święte były w Bukowej w 1989 r. Bardzo uroczyście było w ostatni dzień Misji Świętych to jest w niedzielę 11 marca 2001 r. Parafianie przygotowali piękny dębowy krzyż, który po dekoracji wieńcem ustawiony był przed kamiennym krzyżem na wygonie, zgodnie z ustaleniami ks. proboszcza oraz ojców prowadzących Misje Św. Wierni zebrali się przy krzyżu o godzinie 11-tej, odprawili Gorzkie Żale i kilka pieśni wielkopostnych i po godzinie 11.45 przyjechali oo. misjonarze wraz z ks. proboszczem i po odprawieniu krótkich modłów przystąpiono do niesienia krzyża. Należy przypomnieć, że przy krzyżu zebrali się strażacy w mundurach oraz Zespół Śpiewaczy „Jarzębina” w strojach ludowych – biłgorajskich. Pierwsi wzięli krzyż strażacy unosząc go wysoko ponad głowami. Niesienie krzyża było przez wszystkich, przez wiernych, starszych, kobiety, mężczyzn, członków zespołu śpiewaczego, młodzież żeńską i męską a nawet dzieci. Ponieważ krzyż dębowy był ciężki przez całą drogę był pilnowany przez członków straży, aby nikomu nic się nie stało. Wzniesiony ponad głowami krzyż został wniesiony do kościoła i ustawiony przed ołtarzem. Przez cały czas mszy świętej, którą odprawili o.o. misjonarze i wygłosili ostatnią bardzo treściwą religijną naukę, członkowie straży stali w postawie na baczność adorując tym samym krzyż. Po mszy świętej krzyż wyniesiono na miejsce, które było przygotowane na cmentarzu kościelnym ze specjalnie przygotowanymi zabetonowanymi szczytłami. Mimo, że krzyż był ciężki i wysoki około 7 m nie było kłopotu z jego postawieniem.

Mężczyźni bardzo szybko wzniesli krzyż, który został przykręcony śrubami do szczudeł.

Przed postawieniem krzyża o.o. misjonarze odmówili modlitwy, podziękowali wiernym za liczny udział w mszach świętych i naukach za liczną spowiedź i komunię świętą, za ofiary i odjechali do parafii Korytków Duży również na zakończenie misji. Zakończenie misji było uroczyste, wzniosłe i pełne zadowolenia, za bardzo miły przebieg całych misji oraz za niezapomniane przeżycia o.o. misjonarzom wierni podziękowali za głoszenie słowa Bożego pełnego wiary i nadziei trzykrotnym Bóg Zapłać, Bóg Zapłać, Bóg Zapłać. Jest w zwyczaju wsi Bukowa, że wszystkim którzy przybywają głosić Słowo Boże w ten sposób składają podziękowanie.

Przygotowanie krzyża od strony technicznej, to znaczy oczyszczenie materiału, złożenie ramion, wycięcie napisu na krzyżu „Jezu Ufam Tobie” oraz przygotowanie precyzyjne otworów, które zgadzały się co do milimetra wykonał stolarz bukowski Krzysztof Jargieło nr 67 i jemu należą się za to słowa „Bóg Zapłać”

Dziwny to jest zbieg okoliczności, że w ciągu 95 dni od daty powstania parafii w Bukowej odbyły się pierwsze Misje Święte, jako w parafii. Od kilku lat wcześniej zapowiadane były misje w parafiach Korytków, a jednocześnie u nas w Bukowej, ale jakoś trudno było się doczekać. Ale nowy ks. proboszcz nowej parafii w Bukowej bardzo szybko uporał się z tym problemem i dzięki Bogu i przy jego pomocy Misje Święte odbyły się. Za to wszystko Bogu niech będą dzięki. Tak w krótkich słowach opisałem zdarzenia i przebieg prac przy otwarciu parafii oraz pomieszczeń tymczasowych dla księdza proboszcza w szkole. To wielka zasługa wójta Gminy Biłgoraj pana mgr Franciszka Piętaka, który zaproponował takie rozwiązanie, wyraził zgodę na oddanie pomieszczeń na plebanię, pomógł finansowo, zakupił potrzebne materiały na adoptowanie pomieszczeń za kwotę 1713 zł oraz przekazał cegłę w ilości 360 szt., którą pobraliśmy ze szkoły w Dereźni. Bóg zapłać za tę pomoc.

Wspomnę jeszcze o takim wydarzeniu, nie pamiętam, która to już była zapowiedziana wizyta księdza biskupa Pylaka. Władze gdzieś się dowiedziały o tej wizycie, zresztą to nie było tajemnicą. Przed

tą wizytą, może dwa tygodnie wcześniej, zadzwonił do mnie telefon, żebym się natychmiast zgłosił do Gminnej Rady Narodowej w Bukowej, gdyż wysoki urzędnik Powiatowej Rady Narodowej z Biłgoraja życzył sobie ze mną rozmawiać. Wobec tego udałem się do Urzędu Gminnej Rady Narodowej w Bukowej. Po przybyciu okazało się, że przybył pracownik Powiatowej Rady z Biłgoraja niejaki pan Kmiec znany mi z widzenia w asyście por. MO Jana Wróblewskiego, mającego bardzo dobrą opinię. Pan Kmiec powiedział, że jako mieszkaniec wsi Bukowa, mam bardzo dobrą opinię i jeżeli powiem mieszkańcom, żeby nie organizowali banderii konnej po ks. biskupa to posłuchają mnie i banderia nie wyjedzie po biskupa. Zaprzeczyłem temu kategorycznie, że tej roli się nie podejmę, gdyż gdybym to powiedział, mieszkańcy powybijaliby mi okna. Powiedziałem mu raz jeszcze, kategorycznie w ostrych słowach, (na co zwrócił mi uwagę funkcjonariusz MO żebym się uspokoił), że w tej sprawie nie zajmę żadnego stanowiska. Po ostrej wymianie słów odjechałem do pracy do Nadleśnictwa Kocudza. Wbrew zakazom banderia wyjechała po ks. biskupa a w ostatnim dniu przed przyjazdem ks. biskupa wykonano bramę powitalną i powitano go ze wszystkimi honorami. Okazało się, że w tej sprawie wezwany był również Myszak Wojciech - przewodniczący Rady Kościelnej, oraz Jargiello Wojciech - członek Rady Kościelnej.

W czasie następnego przyjazdu ks. biskupa prowadzący banderię konną, Jan Krupicz, były kawalerzysta z Andrzejówki, został ukarany przez kolegium, ale nie wiem jaka mu była zasądzona kara i czy ją w ogóle zapłacił. W każdym razie kolegium było i kara była wymierzona.

Wspomnę jeszcze o jednej sprawie, która leży mi na sercu. Kiedy pobudowano kościół w Korytkowie Dużym i oddano do użytku wiernym zachodziła konieczność zorganizowania parafii. Bukowa liczyła na to, że może będzie parafia w Bukowej, ale z góry było przesądzone, że takich możliwości Bukowa nie ma. Natomiast mieszkańcy wsi Bukowa odnosili się z dezaprobatą do przynależności do parafii w Korytkowie. Pewnej niedzieli przyjechał do Bukowej ks. Markiewicz dziekan biłgorajski oraz ksiądz Chęć proboszcz Parafii Puszcza Solska i po odprawieniu mszy św. prosili,

aby się ludzie zatrzymali, gdyż mają ważną sprawę do omówienia z mieszkańcami wsi Bukowa. Po skończonej mszy ks. dziekan powiedział, że tworzy się nowa parafia w Korytkowie Dużym i że Bukowa będzie należeć do tej parafii, pytając jednocześnie czy wyrażamy zgodę. Oczywiście, ktoś zabrał głos, nie wiem na pewno, ale chyba Małysz Julian, który powiedział, że Bukowa chce pozostać przy Parafii Puszcza Solska na co zareagował ks. Chęć proboszcz Parafii Puszcza Solska mówiąc, że Puszcza Solska nie chce Bukowej w swojej parafii. Ta wypowiedź była dla mieszkańców Bukowej przygnębiająca, ale nikt w tej sprawie nie zabrał głosu tym bardziej, że w kościele nie można było zaczynać kłótni.

Ksiądz dziekan, aby ratować sytuację na uspokojenie powiedział, że nowa parafia będzie pod nazwą Parafia Korytków – Bukowa. Mieszkańcy to odebrali z ulgą i tak jakby byli zadowoleni z tej nazwy parafii gdzie Bukowa też figuruje. I rzeczywiście pojawiła się pieczęć parafialna Korytków – Bukowa i była do czasu objęcia parafii przez sprawującego funkcję proboszcza ks. Józefa Godzisz. Kiedy objął probostwo ks. Józef Godzisz, pieczęć została zmieniona na Parafia Korytków Duży.

Wiele rzeczy ks. Godzisz chciał zmienić np. chciał, żeby w Bukowej nie było dożynek, oraz żeby Pierwsza Komunia odbywała się w Korytkowie razem, tzn. Bukowa miałby dzieci dowieźć do Korytkowa. Ks. biskup nie przyjechał do Bukowej w 1997 roku na bierzmowanie, a było 24 osób do bierzmowania, spodziewaliśmy się więc, że była wystarczająca ilość osób. Mimo pewnych oporów bierzmowanie odbyło się w Korytkowie, a starsze społeczeństwo bukowskie chciało być świadkiem tej pięknej uroczystości, której jednak nie było (w Bukowej). Nasuwa się tylko pytanie, czym sobie mieszkańcy Bukowej zasłużyli, że niektóre uroczystości chce się przenieść do Korytkowa, które od początku wybudowania kościoła tj. od 1957 roku były odprawiane w Bukowej, w kościele i nikomu to nie przeszkadzało. Przecież po to zbudowaliśmy kościół, żeby modlić się w swoim kościele i żeby wszystkie nabożeństwa jak komunie, chrzty, śluby, bierzmowania odbywały się na miejscu.

Nikogo chyba nie trzeba przekonywać jaki trud podjęli mieszkańcy, by wybudować kościół w takim trudnym czasie jak walka i prze-

śladowanie Kościoła i wierzących. Jak wspomina ks. Jan Mróz w swoich pamiętnikach, że bukowianie byli uparci i dzięki pomocy Bożej dokonali swego. To teraz mają być przedstawiani na drugi tor? Nie będzie to łatwe, bo ta upartość jeszcze tkwi w mieszkańcach. Powinniśmy się modlić do naszego patrona św. Andrzeja Boboli i Matki Boskiej Częstochowskiej, która patronuje nam w dużym ołtarzu, aby broniła naszej świątyni przed różnymi zakusami.

Przypominają mi się słowa, które powiedział śp. ks. Jan Mróz do Myszak Czesławy. Otóż była to uroczystość 40-lecia poświęcenia kościoła i z tej okazji było przyjęcie dla księży, którzy przyjechali na tę uroczystość. W rozmowie z Myszak Czesławą ks. Jan Mróz powiedział: „pilnujcie swego kościoła, bo nie wiadomo co z wami zrobią”. Trudno jest powiedzieć, co te słowa miały oznaczać, czy to, co już wyżej napisałem (był to rok 1997).

Została zapowiedziana przez ks. Godzisz wizyta Biskupa Zamojskiego w naszej parafii w Korytkowie Dużym, w czasie której ks. biskup będzie również w Bukowej. Przygotowywano dzieci do sakramentu bierzmowania. Przygotowywania dzieci do sakramentu bierzmowania prowadził ks. Krzysztof, ale do zdawania egzaminu dzieci jeździły do Korytkowa Dużego, chociaż mogłyby zdawać w Bukowej. Wszystko było przygotowane, że bierzmowanie będzie w Korytkowie. Społeczeństwo przeciwne, dlaczego bierzmowanie nie będzie w Bukowej, było przecież 24 dzieci. W założeniach było, że ks. biskup tylko odprawi jakieś modlitwy, jak w 1997 roku, kiedy został odprawiony różaniec, a bierzmowanie odbyło się w Korytkowie, jak już wyżej wspominałem. Wizyta ks. biskupa zapowiedziana była na 2.10.1999 r., na parę dni przed terminem rodzice dzieci, które miały przystąpić do bierzmowania zebrali się po mszy św. i poszli do ks. Godzisz z prośbą żeby bierzmowanie odbyło się w Bukowej. Grupie rodziców przewodził Jan Jargieło s. Edwarda. Po dłuższej rozmowie, która miał przebieg emocjonalny ks. Godzisz nie wyraził zgody i stwierdził, że bierzmowanie odbędzie się w Korytkowie. Jan Jargieło kategorycznie powiedział, że dzieci nasze nie pojedą do Korytkowa a do bierzmowania przystąpią innym razem, co zebrani rodzice zaakceptowali. Na tym spotkanie rodziców z ks. Godziszem zostało zakończone. W niedzielę poprzedzającą wizytę ks. biskupa, ks. Krzysztof podał w ogłosze-

niach, że ks. biskup wyraził zgodę i w Bukowej odbędzie się msza św. I odbędzie się bierzmowanie dzieci. Radość była ogromna, że jak gdyby wieś postawiła na swoim i wygrała. Radość była z tego, że cała nasza społeczność będzie brać udział w tej pięknej uroczystości kościelnej.

Uroczystość bierzmowania odbyła się bardzo uroczyście, dekoracje i powitanie ks. biskupa było w miarę dobre. Ks. biskup na pierwszy rzut oka wyglądał dostojnie a z jego twarzy biła radość, jego spojrzenie było miłe dla wszystkich i wydawało się, że swoim miłym wzrokiem obejmuje wszystkich zgromadzonych. Na mieszkańcach wsi Bukowa wywarł bardzo miłe wrażenie.

W dniu tym było poświęcenie kaplicy w Andrzejówce, którą mieszkańcy wsi Andrzejówka przerobili ze szkoły podstawowej i bardzo dobrze zrobili, gdyż szkołę zlikwidowano i budynek stałby bezczynny, a tak mają na miejscu kaplicę i mogą się modlić w swoim kościele.

Wracając myślą do tamtych początków istnienia naszego Kościoła, porównując z obecną sytuacją w naszym kościele wiele się zmieniło i niechęć mieszkańców wsi Bukowa do parafii w Korytkowie była prawie uzasadniona, tak jakby ludzie przewidywali, że będzie nie tak, jak być powinno. Ale od początku. Po poświęceniu kościoła w Bukowej ksiądz proboszcz Jan Mróz przydzielił księdza Grabca do obsługi kościoła w Bukowej, który opiekował się kościołem. Bukowianie wysyłali po księdza furmankę do Puszczy, na godz. 11-tą ksiądz był na miejscu. Rozpoczęcie mszy świętej o 12-tej, co niedzielę przed mszą świętą była obowiązkowo procesja wokół kościoła. Kiedy msze św. odprawiano po łacinie msza trwała ponad godzinę. O godzinie 16-tej w każdą niedzielę były Nieszpory do Matki Najświętszej, przepiękne nabożeństwo, przepiękne hymny na cześć Matki Najświętszej. Jak już wspomniałem, zorganizowaliśmy chór, który uczył się śpiewać w czasie mszy świętej, ale nauczył się też śpiewać nieszpory, gdyż w początkowej fazie nie umieliśmy tych śpiewów. Byłem członkiem tego chóru, a do mnie należało zaczynanie śpiewu. Księża, którzy tu byli, przede wszystkim ks. Grabiec, pomagał nam w tym uczeniu się śpiewać. Czasem było tak, że nieszpory śpiewano zaraz po mszy świętej, a jeśli

tak wypadło księdzu, to po mszy śpiewano Magnificat. Wszyscy byli zadowoleni z naszego śpiewu. Kiedy powstała parafia w Korytkowie, powoli zaczęło wszystko zanikać, nie pamiętam, kiedy skończyło się śpiewanie nieszporów, ale na pewno ta sprawa miała miejsce, kiedy Bukowa znalazła się w zasięgu Parafii Korytków Duży. Zaniechano odprawiania tego pięknego nabożeństwa ku czci Matki Boskiej. Jak słychać, po innych kościołach odprawiane są nieszpory, my starsi pamiętamy to nabożeństwo, nawet pamiętamy melodię i słowa, zresztą, są jeszcze zapisane w książeczkach do modlitwy w dawniejszym wydaniu a i w nowych są. Np. będąc w Leżajsku z pielgrzymką kupiłem książeczkę „Modlitewnik Leżajski”, w którym są nieszpory o Najświętszej Marii Pannie. Upłył jeszcze trochę czasu i młode pokolenie nie będzie wiedziało, że takie nabożeństwo miało kiedyś poczesne miejsce w naszym kościele, nie będzie znało przepięknych melodii do tych słów. Nasuwa się pytanie, dlaczego zaniechano odprawiania nieszporów. Wszystko wskazuje na to, że brak nam ciągle czasu, gdzieś ciągle się śpieszymy, gdzieś pędzimy a wszystko to, że postęp techniczny wymusza nam ten pośpiech i pędzenie tak jakby w nieznane.

Kiedy księża obsługiwali nasz kościół, przyjeżdżali furmanką, mieli czas spotkać się z wiernymi przed kościołem, przed nabożeństwem pogadać o różnych sprawach ważnych i mniej ważnych. Obecnie, kiedy miejsce furmanek konnych zajęły samochody i choć szybko mogą przenieść człowieka z miejsca na miejsce brakuje nam czasu na spotkanie z księżmi przed czy po nabożeństwie, a kiedyś tak było, a może jeszcze będzie?

Nie mogę zapomnieć a i pominąć sprawy bardzo dobrej współpracy z księżmi, którzy dojeżdżali z Parafii Puszcza Solska do Bukowej. Organizowaliśmy zawsze wspólnie z księżmi wspólny opłatek, wspólne jajko. Były to składkowe przyjęcia, na które księża nie żalowali grosza, były bardzo pięknie śpiewane pieśni religijne, ludowe, było trochę żartu i śmiechu. Niezapomniany jest ks. Kuncewicz, który obecnie jest w Hedwiżynie, który opowiadał przeróżne wesołe historie, było bardzo przyjemnie i swojsko. Trzeba tu powiedzieć prawdę, że na tych przyjęciach był alkohol, ale w bardzo ograniczonej ilości, księża nie pozwalali, tylko w małej

ilości.

Nie urządzano już przyjęć, kiedy przyjeżdżał własnym samochodem ks. Szerement. Na taką propozycję podaną przeze mnie odpowiedział, że owszem, ale ma nie być kropli alkoholu, byliśmy innego zdania, mając na uwadze poprzednie przyjęcia no i w efekcie sprawa upadła.

Wracając myślą do czasu lat 1956 i 1957, kiedy to budowaliśmy kościół, pragnę stwierdzić, że sami mieszkańcy budowali ten kościół. Byli zatrudniani dobrzy fachowcy a Jargieło Wojciech członek Komitetu Budowy Kościoła jako stolarz nadzorował prace przy kościele. Nie pamiętam, by ks. Mróz był przy tej budowie, by zobaczyć, co tu się robi. O postępie prac informowany był przez brackiego w Puszczy Solskiej Myszaka Wojciecha, przewodniczącego Komitetu Budowy Kościoła w Bukowej. W swoich pamiętnikach ks. Mróz nie wspominał, że tu przyjeżdżał, bo nie przyjeżdżał. Wbrew odwilży jaka nastąpiła po objęciu władzy przez Gomułkę było źle, a ksiądz był ostrożny i miał rację, nie miał się co narażać, a wiedział, że my i tak dajemy sobie radę. Zresztą ks. Mróz już był starszą osobą, posiadał motocykl, ale dojazd do Bukowej na jego stan zdrowia był motocyklem niemożliwy. Kiedy kościół został poświęcony a ks. Zygmunt Grabiec objął opiekę nad naszym kościołem, wszystkie prace związane z ozdabianiem i upiększaniem naszego kościoła uzgadniane były z księdzem. Komitet w dalszym ciągu zbierał ofiary i finansował prace.

Ks. Jan Mróz postarał się i przeznaczył dla Bukowej księgi metryk chrztów, ślubów i pogrzebów i było bardzo dobrze, gdyż wszystkie te akta załatwiano się na miejscu. Obecnie księgi te zostały przeniesione do Korytkowa i zainteresowani muszą jechać sporządzić akty do Korytkowa.

Próbowano nam również zabrać obchody święta plonów tzn. „dożynki”, ale upór bukowiaków spowodował, że ks. Godzisz pozostawił ten obrzęd i w dalszym ciągu dożynki odbywają się w Bukowej. Drugą sprawą było to, że chrzty, bierzmowania miały być wyłącznie w Korytkowie. Mieszkańcy nie wyrazili zgody i wszystkie te nabożeństwa pozostały jak dawniej. Ks. Jan Mróz miał chyba rację pisząc w swoich wspomnieniach, że bukowiacy są uparci, bo gdyby nie upór być może nie byłoby kościoła i robiono

by z nami co się komu podoba. Przypominam raz jeszcze słowa ks. Jana Mroza do Myszak Czesławy: „trzymajcie się swego kościołka, bo nie wiadomo co z wami zrobią” a jak widać już było różnie.

Jesteśmy bardzo zadowoleni ze swojego kościołka w wiejskim pejzażu, tylko drewniany kościółek ma swój urok, jest piękny i pasuje do wiejskiego otoczenia, potwierdzają to ci, którzy przyjeżdżają do Bukowej i oglądają kościółek. Jest to świadek historii trudnych czasów w których został wzniesiony. Kiedy jako radni tego roku zbieraliśmy ostatnio pieniądze na potrzeby kościoła mieszkańcy deklarowali pomoc przy budowie małej plebanii, w której mógłby zamieszkać ksiądz o umiarkowanych potrzebach. Twierdzili jednocześnie, że w Bukowej powinna być parafia. Wieś nie jest duża, ale przy dobrych chęciach dom plebanii można byłoby postawić. Z utrzymaniem księdza nie byłoby kłopotów. Uważam, że byłoby księdzu na Bukowej bardzo dobrze, trzeba byłoby aby umiał współżyć z ludźmi a takich księży nie brakuje.

Pisząc ten pamiętnik z wydarzeń, jakie tu miały miejsce, miałem na myśli, aby te wydarzenia nie poszły w zapomnienie. Przejdą pokolenia i być może zatrą się w pamięci ludzkiej jakim trudem w tak niebezpiecznych czasach przyszło mieszkańcom Bukowej budować świątynię, która mimo wszystko była bardzo potrzebna, gdyż w tych czasach kościołów było mało a mieszkańcy wsi chodzili do kościoła w Hucie Krzeszowskiej lub do kościoła parafialnego w Puszczy Solskiej. Obydwa kościoły były oddalone od Bukowej ok. 20 km, do Huty było nieco bliżej, ale wszędzie było daleko. We wsi Momoty przed II wojną światową wybudowano staraniem mieszkańców kościołek pw. św. Wojciecha, ale też odległego o 12 km. Moim zdaniem, największe zasługi przy budowie kościoła w Bukowej położył I Komitet Budowy Kościoła i jej przewodniczący Myszak Wojciech – kilkuletni radny i bracki przy kościele parafialnym w Puszczy.

Ja natomiast, jak już wyżej wspomniałem, pełniłem funkcję skarbnika w Komitecie Budowy Kościoła. Starłem się jak najlepiej wypełniać swoje powinności. Myszak Wojciech jako przewodniczący uzgadniał wszystkie sprawy ze mną. Wszyscy współpracowali ze sobą, ale my byliśmy sąsiadami i żadne sprawy nie były załatwiane beze mnie. Doświadczenia zdobyte przy budowie

kościół przydały mi się później przy budowie remizy strażackiej i szkoły w Bukowej. W obydwu budowach byłem przewodniczącym Komitetu Budowy. Jest tylko pytanie, czy ludzie to doceniają. Życie idzie na przód, przychodzą nowi działacze i tak jakby zapominają, co się tu działo i na jakie konsekwencje byli ludzie narażeni, ale tak już jest na tym świecie, że zaciera się pamięć o tych, którzy coś dla wsi zrobili. Jedyna nadzieja w Bogu, że będzie pamiętał o trudzie, jaki ponieśli ludzie stawiając świątynię, aby oddawano mu cześć i chwałę.

Wykaz indywidualnych ofiarodawców dla kościoła pw, Św. Andrzeja Boboli w Bukowej:

1. Julian Małyszka, nr domu 16 Bukowa, zakupił monstrancję z własnych środków finansowych w 1957 r. jako dar dla kościoła w Bukowej.
2. Malec Rozalia Makuchowa ofiarowała małą figurkę Pana Jezusa jako dziecko trzymającego świat. Mieszkała i urodziła się w Bukowej.
3. OSP w Bukowej żyrandol 6–cio świecowy ofiarowała w 1991 r.
4. Malec Józef ofiarował zegar ścienny dla kościoła w Bukowej w 1958 roku.
5. Pydo Maria nr 50 w Bukowej, ofiarowała pieniądze na zakup statuy Matki Boskiej Fatimskiej w 1999 roku, która odwiedzała mieszkańców wsi Bukowa.
6. Wojciech i Stanisława Malec, nr 88 z Bukowej ofiarowali obrazy 5 sztuk tajemnice radosne malowane na deskach przez malarzkę z Biłgoraja w miesiącu kwietniu 2000 r. obrazy umieszczone na suficie w prezbiterium.
7. Ks. Krzysztof Gajewski proboszcz Parafii Bukowa ofiarował świecznik z krzyżem z drzewa dębowego wykonany przez Małyszę Jana z Andrzejówki.
8. Rok 2001 zakup 5 sztuk konfesjonałów. Ofiarodawcy:
Ks. Krzysztof Gajewski
Stanisława i Wojciech Malec
Aniela i Julian Tutka
Barbara i Krzysztof Kiszka
Bronisława i Antoni Marzec
9. Wójt Gminy mgr Franciszek Piętał zakupił płytki cementowe

(kostka) przed wejściem do kościoła oraz na schody, które są wyłożone płytkami mrozoodpornymi. Wykonawcą wyłożenia płytek był pan Skakuj. Prace te wykonane były w dniach od 4 maja do 10 maja 2001 r.

Tak by można zakończyć koleje i wydarzenia jakie przeżył Komitet Budowy Kościoła i mieszkańcy wsi Bukowa, którzy wbrew różnym szykanom dzięki Bogu dopięli swego i pobudowali kościół, który jest świadkiem tych wydarzeń. Nie ma sensu oskarżać, kto przeszkadzał w jego budowie. Było jedno pewne, że rozpoczęcie budowy bez zezwolenia, należało przewidzieć, że tak się stanie. Z kolei, gdyby nie rozpoczęto tej budowy, a czekano na zezwolenie władz, być może miałyby to inny przebieg. Uważam, tak dobrze, jak się stało. Położenie plomb i zatrzymanie budowy kościoła tym bardziej ludzi zmobilizowało i ludzie nie tracili nadziei, że będzie taki czas na dokończenie rozpoczętej budowy. Przecież początek był, stał szkielet kościoła na którym był postawiony krzyż i to była cała nadzieja, że mimo wszystko upór mieszkańców doprowadzi do zakończenia budowy świątyni i dzięki Bogu tak się stało, wbrew przeszkodom jakie się piętrzyły. Cytuję raz jeszcze słowa powiedziane przez architekta powiatowego pana Ciżmę: „Chcecie budować kościół, na którym stoi krzyż a więc trzeba przejść przez cierpienie, a potem będzie wszystko dobrze”. Również ks. Jan Mróz proboszcz Parafii Puszcza Solska nikogo nie oskarżał, a napisał bardzo mądre słowa, cytuję: „budowa różne koleje przechodziła, ale dzięki Bogu Najwyższemu 10 listopada można było kościółek poświęcić”. Wszystko, co było niewłaściwe niech idzie w zapomnienie zgodnie z nakazem Jezusa Chrystusa, słowa, które mówimy w pacierzu „daruj winy jako i my darujemy naszym winowajcom”. Przypomnę raz jeszcze słowa napisane przez ks. biskupa lubelskiego Kałwę „niechże im Bóg zapłaci obfитоścią swego błogosławieństwa za tę obfитоść, a ja jako ich Pasterz i Biskup z całego serca błogosławię ich pracy już dokonanej, błogosławię ich dalszym wysiłkom około upiększenia i zaopatrzenia kaplicy polecając ich zbożne wysiłki Matce Najświętszej Królowej naszego Narodu Polskiego”.

Spis treści:

Od redakcji	5
Życiorys	7
Moja wieś Bukowa	8
Moje dzieciństwo	15
Jak przeżyłem II wojnę światową	23
Okupacja i moja działalność w ruchu oporu	34
Po „wyzwoleniu”	54
Moje wspomnienia o Żydach, którzy byli mieszkańcami wsi Bukowa	70
Działania kulturalne w okresie międzywojennym oraz po II wojnie światowej	80
Bukowskie obyczaje	84
Legenda o karczmie w Bukowej	104
Krótką historia powstania Parafii pod wezwaniem Św. Andrzeja Boboli w Bukowej	108

